

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XVII.

ROK V.

TOM I—ZESZYT III.

Marzec.

WARSZAWA.

DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,

ulica Królewska, Nr. 23.

—

1880.

SPIS RZECZY.

Omyłki w druku.

W poprzednim zeszycie „Ateneum“ za m. Luty, na str. 279, podpis autora zamieszczono omyłkowo w 2-im przypadku *Bronisława Grabowskiego*, zamiast *Bronisław Grabowski*.

Druk ukończono 1 Marca r. 1880.

WOŁANIE NIEOBECNYCH.

„Mecenas, atavis edite regibus!“

„Niegdyś panowały na téj ziemi cnota i męstwo, nakształt światła niebieskiego uświetnili ją ojcowie promiennym blaskiem wiekopomnych czynów, nie zaś stosami pism“.....

Temi słowy, w trzynastym wieku ery naszéj żyjący, zacnéj pamięci mistrz Wincenty rozpoczynał swą kronikę, zestawiając zapewne w myśli swéj szarą rzeczywistość, na którą patrzał z chwalebnemi wspomnieniami odleglejszéj przeszłości, któréj świetny obraz malowała mu jaskrawo tradycya. W mniemaniu kronikarza, pokolenia, które go poprzedziły, przewyższały swych potomków męztwem i cnotą. Trzy z górą wieki upłynęły od owéj chwili: Batory panuje sławnie na téjże ziemi, gdy wieszcz z Czarnolasu w przystępie pesymizmu, woła z goryczą:

„Nie masz dziś w Polszcze, jedno kupcy a rataje!
To największe misterstwo, kto do Brzegu z woły,
A do Gdańska wie drogę z żytem a z popioły.“

Więc generacyi, która wydała dzielnych towarzyszów króla Stefana, zarzucano kramarską cześć dla złotego cielca, kramarski wstręt do szabli. Potém znowu minęły wieki, przesunęło się niemało pokoleń, a piosenka krakowska głosiła znowu toż samo: „Wiara bracia źle teraz, Lepiéj dawniéj bywało, Oj mówiłem wam nieraz, Że dziś zuchów jest mało.“ A przecież stulecie, któremu śpiewak tak niepochlebne dawał świadectwo, widziało ziemię usianą kośćmi naszemi od San-Domingo aż do brzegów Nilu.

Ileż więc w tych wyrzutach prawdy?

Każdy z nas starzejąc się powoli, zaczyna rzucać okiem wstecz po za siebie, oglądać się na czasy swéj młodości, kiedy mu lepiéj było, bo sam był żwawszy, nadzieja lekko wiodła go po ścieżce żywo-

ta, wspomnień jeszcze nie miał za sobą; o tém, co mu wtedy dolegało, zapomniał, co go cieszyło wówczas—pamięta jeszcze; nieraz więc westchnie za przeszłością i powie: dawniéj lepiéj było, dawniéj panowała cnota. Ztąd wyrosły zapewne tradycye o wieku złotym w zamierzchłéj gdzieś przeszłości,—ztąd powstaje szacowne bardzo w sercach ludzkich przywiązanie do przeszłości i jéj pamiątek.

Te myśli nasunęły się nam mimowolnie po odczytaniu jednego z ostatnich zeszytów „Niwy" (15 Stycz. b. r.), w którym publicysta woła na *nieobecnych*, aby się prędzéj wśród nas zjawili, bo kraj tęskni za nimi, gorąco oczekuje ich powrotu i gotuje im serdeczniejsze niż kiedy przyjęcie. Zdawałoby się, że na dolegliwości nasze jedyném lekarstwem, powrót owych nieobecnych, że nim się owi, nieobecni dziś, od nas usunęli, panował wiek jeśli nie złoty, to przynajmniéj srebrny.

Niwa nie małe już położyła zasługi w prasie naszéj, staraniem swém o ciągłe przypominanie publiczności spraw i kwestyj społecznych; zdaje się nam jednak, że w kwestyach tych odzywa się często, tonem poważnym wprawdzie, ale tak niejasno, że wyrozumiéć bywa trudno, o co jéj chodzi. W ostatnim tym zeszycie poruszono kilka kwestyj społecznéj praktyki, każda z nich ważną jest dla nas, ale nie na wszystkie twierdzenia i motywa zgodzić się możemy.

Pan Ligęza naprzykład stawia żądanie, aby „pismo wypowiadało swój program i starało się go konsekwentnie przeprowadzić, a jasno wypowiadane zasady, muszą wytworzyć siłę przyciągającą dla ludzi, którzy głoszone przekonania za swoje uznawać pragną." Twierdzenie to jasne i stanowczo wypowiedziane, widać jednak, że się ono w praktyce nie tak łatwo daje rozwinąć, kiedy go i redaktorowie „Niwy" nie zawsze mogą stosować.

Prawda to, że częściéj spotykamy w pismach naszych wyrazy „nasze zasady", „nasz program", aniżeli programu tego rozwijanie, lub zasad obronę i wykład.

Ale przechodzi nam tu na myśl co przed paru laty dowcipnie bardzo wypowiedział jeden z publicystów naszych: „Brak nam dotąd było czasu i miejsca, a zapewne i zawsze ich nam brakować będzie na jasny i obszerny wykład programu, którego się trzymamy." Otóż ten brak czasu i miejsca, więcéj może niż brak talentów pisarskich, staje na przeszkodzie rozwijaniu programatów; nieraz jednak literat ulega pokusie wypowiedzenia przynajmniéj tego, że ma jakiś program, że ma zasady, a domyślnemu czytelnikowi każe dochodzić téj zagadki z całego szeregu prac swoich. Nie dziw więc, że zagadki nie zawsze odgadywane bywają trafnie. Nie wiemy, czy brak talentów wyższego rzędu pomiędzy współpracownikami, czy też oglą-

danie się na ludzi, na warunki nas otaczające, każą pismom naszym trwale trzymać się ogólników, zdaje nam się atoli, że jeżeli w praktyce tak rzadko chcą czy mogą wychodzić po za obręb ogólników, lepiéjby robiły, żeby programatów nie wypisywały, ani sztandarów, których nieść nie mogą wysoko, nie wywieszały.

Cała odezwa do nieobecnych wyraża bardzo stanowczo żądanie autorów, aby oni wrócili, bo bez nich źle się dzieje krajowi całemu; ale motywa tego żądania tak splątane są z wykładem zasad, ze stawianiem twierdzeń naukowych nie zupełnie ścisłych, że mieszają one czytelnikowi pojęcia arystokracyi i demokracyi, pojęcia o roli, jaką ludzie różnych powołań odegrywają w społeczeństwie, i dla tego o tych motywach pomówić trochę szerzéj zdało się nam potrzebném.

A najprzód, jakkolwiek nie podobać się to może szanownemu publicyście „Niwy,“ nie możemy przystać na to, że pojęcia same *najlepsi* i *arystokracya* sobie odpowiadają. Bo ani znaczenie tego wyrazu, ani nauka o społeczeństwie tego od nas nie wymagają. Znaczenie wyrazów używanych w mowie potocznéj zmienia się z biegiem czasu to prawda, ale ani w starożytności, ani za dni naszych arystokracya nie oznaczała najlepszych, ani nawet najmędrszych. Arystydesa, Focyona lub Sokratesa nikt nie nazwie arystokratami, Plato i Arystoteles nie byli tak mianowani; św. Franciszek z Assizu, ani św. Wincenty a Paulo nie są zaliczani do arystokracyi; i dzisiaj nikt nie nazwie tak chociażby najcnotliwszego człowieka, chociażby najszczytniejszego mędrca. Pojęcie *arystokracyi* zawsze mieściło w sobie element siły, potęgi, panowania; prawda, że miało oznaczać siłę inteligencyi, w przeciwstawieniu *demokracyi* jako sile liczby—ludu.

Zresztą samo pochodzenie wyrazu mało nas tu interesować może, bo nie o filologią tutaj chodzi, ale o fakt historyczny i jego znaczenie.

Tłómacząc powstawanie arystokracyi, publicysta „Niwy“ wskazuje na trzy główne czynniki, które się na jéj wytworzenie składają: na element duchowy, materyalny i społeczny.

Pomiędzy niemi dwa pierwsze, mianowicie męztwo, zręczność, wrodzone zdolności, doświadczenie nabyte a nawet mądrość i cnota, jako pierwiastki duchowe; nierówność majątkowa, prawo dziedziczenia własności, że dodamy do tego nierówność siły fizycznéj, jako pierwiastki materyalne, są to fakta zawsze i wszędzie istniejące w pośród ludzi. One są powodem, że równość absolutna w społeczeństwie nigdy nie da się osiągnąć; ale godzą się one tak samo z arystokratycznym jak i z demokratycznym ustrojem społecznym.

Przeciwko takim faktom ani od woli ludzkiéj, ani od praw przez ludzi pisanych niezależnym, żaden poważny publicysta, choćby też był najskrajniejszym demokratą, powstawać nie może. Narzekają na nie czasami poeci liryczni, twórcy utopii o przebudowaniu społeczeństw starają się dowieść, że one nie istnieją wcale, miotają się na nie dzisiaj bardzo oględnie demokraci socyalni w Niemczech, więcéj stanowczo gdzieindziéj; nasi jednak najśmielsi reformatorowie bodaj i w teoryach swoich nigdy przeciwko tym faktom nie podnosili sztandaru.

Przyrodzona nierówność ludzi dostarcza materyału do arystokratycznéj budowy, ale arystokracya jako zjawisko historyczne jest już faktem czysto społecznym, jedynie z elementów życia społecznego wykwitającym. Nie wiem zkąd poczerpniętą została wiadomość, że „każde nowo-organizujące się państwo, znajdując już na terytoryum swojém istniejącą arystokracyą.... wciągało w siebie ów społeczny pierwiastek, organizowało go i utrwalało swemi urządzeniami“...

Początki organizowania się państw są tak mało znane i tak niedokładnie zbadane, iż trudno twierdzić czy arystokracya organizowało państwo, czy państwo arystokracyą; nam się jednak zdaje przypuszczenie pierwsze zgodniejsze z prawdą, bo silniejsi musieli przecież organizować słabszych i naturalnie dla siebie pierwsze miejsce zachować nie zaniedbali. To téż w państwach już uorganizowanych, o których historya pisze, widzimy arystokracyą jako siłę opartą na przywileju. Czy to wyłączne prawo używania jakiego rodzaju lepszéj broni, czy monopol prowadzenia jakiego korzystnego handlu, czy prawo przywodzenia sile zbrojnéj narodu, wyłączny wymiar sprawiedliwości, posiadanie ziemi, posiadanie niewolników, poddanych lub wassalów, zawsze *przywiléj* był początkiem powstawania arystokracyi, jako pewnéj oddzielnéj klasy w społeczeństwie. Ludzie rozmiłowani w porządku arystokratycznym twierdzą, że silni zastrzegali sobie te przywileje w najlepszych celach, dla dobra ogólnego, ale ponieważ sam ustrój społeczny studyować zaczęto wtedy dopiéro, kiedy już mnóstwo złego i dobrego to panowanie, na przywileju oparte, zrodziło, nie dziw że inni znowu twierdzą jakoby *ci silni* zagarnęli przywiléj w celach czysto egoistycznych.

Nie myślimy bynajmniéj przeczyć temu że wszystkie arystokracye, szczególnie w czasach swego pełnego rozwoju, wiele dobrego zrobiły dla narodów; że sam ustrój arystokratyczny społeczeństw miewał swe dni piękne, i zapisał w dziejach mnóstwo chlubnych wspomnień o sobie. Samo uorganizowanie społeczeństw ludzkich w ład i porządek było już stokrotném zwiększeniem siły ludzkiéj,

olbrzymiem ułatwieniem wszelkiego rozwoju, wskazanie usiłowaniom i dążeniom ludzkim rozlicznych stale określonych celów, mogło robić każdę pracę skuteczniejszą. Długie zaś panowanie tego porządku, wśród którego poczęła się i rozwinęła cywilizacya europejska, powołanie na swe usługi i ku swéj obronie wszystkich sił duchowych i materyalnych, jakie się tylko wśród ludzi rozwijały, zrobiły to; że hierarchie kościelne, nauka, sztuka, przemysł, wreszcie opinia powszechna zrosła się z tym ustrojem, i przez czas jakiś wszystkim z tém mogło być dobrze na świecie, kiedy każdy znał i uznawał wskazane sobie w społeczeństwie miejsce, kiedy urodzenie określało już z góry powołanie każdego, a żebrak był z łaski Bożéj Jego królewskiéj mości żebrakiem, zarówno jak panujący był z łaski Bożéj wodzem i prawodawcą narodu.

Pod opieką tego przywileju uznawanego i szanowanego przez wszystkich, działy się więc rzeczy piękne i wielkie, ale działo się i krzywd niemało; znoszono je cierpliwie, bo uważano za konieczne. Jednakże wszelki przywiléj silnym jest do pewnego tylko czasu, do czasu jeno nikt nie zaprzecza mu prawa bytu; jako dzieło ludzkie nie może nosić w sobie siły wiecznotrwałéj, równoznacznéj prawom natury działającym niezmiennie i wiecznie. Nosi on w sobie samym pierwiastek rozwoju, bo ułatwia rozrastanie się organiczne uprzywilejowanych, ale nie mniéj ma w sobie i pierwiastek niszczący, rozkładający ten sam organizm, którego bujnemu rozkwitowi dopomógł. Zabezpieczając od współzawodnictwa, usypia powoli oględność, wstrzymuje działalność postępową, osłabia te sprężyny ruchu, te popędy życia, które pierwsze wybiły na wierzch ludzi silniejszych i zręczniejszych; niweczy nawet fizyologiczne i moralne wpływy dziedziczności, bo rozwinięte w organizmie wyższe siły zwraca pospolicie ku celom niższym, zabezpiecza bogactwo, znaczenie, władzę a budzi nadmiernie żądzę używania i rozkoszy, które wycieńczają życie samo powoli.

Tymczasem wśród społeczeństw ludzkich wyradzają się siły nowe, znajdują one dla siebie opiekę i poparcie w kupieniu się razem, a często i pomiędzy uprzywilejowanymi znajdują silne podpory. Cechy mieszczańskie w wiekach średnich już stanowią siły poważne, a naturalni przywódcy arystokracyi—sami królowie opiekują się niemi, podtrzymują je silną swoją prawicą. Rozpoczyna się wtedy walka społeczna, która stanowi całą dramatyczność dziejów. Obok siły nowéj, wytworzonéj przemyślnością i pracowitością miast, powstaje nowa organizacya urzędowa: biurokracya i armia stała. Odtąd w biurach pod ręką i kierunkiem panującego załatwiają się wszystkie sprawy, które pierwéj były wyłącznym powołaniem ary-

stokracyi; żołnierz staje na miejscu rycerza, wymiar sprawiedliwości przechodzi do sędziów z ręki władzy najwyższéj mianowanych, administracya rządowa obejmuje kierunek nad sprawami gospodarskiemi narodu. Obowiązki, które spełniały rody arystokratyczne, przechodzą na innych, a zatém i sama zasada arystokratycznego ustroju staje się już dla społeczeństw czczą formą tylko. Prawa nabyte, zabezpieczone przywilejem, trwają jeszcze, ale poszanowanie tych praw potrzebuje już pomocy od przymusu zewnętrznego i dni ich są policzone.

Po za mieszczaństwem bogatém i rozumném, po za biurokracyą potężną przez samę organizacyą swoję, powstaje siła nowa, bo do niéj odwoływać się zaczynają i jedni i drudzy o rozstrzygnienie sporu. Siła liczby, siła ludu, siła *demosu*, zaznacza początek nowéj ery — panowanie demokracyi.

Powaga przywileju upada, bo w pojęcia ludzkie przesiąka idea równouprawnienia, powstaje społeczeństwo nowożytne, w którém ludzie siłą fizyczną ani moralną, zdolnościami lub majątkiem nie są sobie równi, ale w którém mają, a przynajmniej mieć powinni, równe prawo do rozwijania i kształcenia téj ilości siły jaką każdy z sobą na świat przynosi, do jednakowego zabezpieczenia praw swej osoby i własności, do jednostajnego szacowania usług oddanych przez siebie innym ludziom, lub zasług względem całego społeczeństwa, do dorabiania się nietylko majątku, ale i znaczenia na świecie.

Siły równemi nigdy nie będą, ale dostęp do swobodnego ich użycia może być dla wszystkich równo otwartym; wolno więc powiedzieć, że prawa równe dla wszystkich być mogą i niewątpliwie będą, kiedy się demokratyczny ustrój społeczny ostatecznie złoży w organiczną całość. Demokracya ma także swoje ideały, niektóre z nich dzisiaj nie są możebne do urzeczywistnienia, a mianowicie pragnie ona, ażeby wszyscy ludzie mieli nietylko równe prawo, ale i równą możność rozwijania sił swoich, i nie przestaje szukać drogi do wcielenia tego ideału w organiczny rozwój stosunków ludzkich. Drogi téj jeszcze nie znalazła. Przerażające dzisiaj wszystkich objawy ruchów socyalistycznych są tylko namiętném, chorobliwém miotaniem się ku osiągnieniu tego celu; są one nierozumne, bo rodzą się nie z myśli zdrowej, ale z namiętności wybujałéj, są często występne, bo sięgają po prawo cudze, i zamiast normalnego rozwijania praw i obowiązków człowieka, chcą wszystkim narzucać pęta wymarzonych formułek, w których, jak mylnie sądzą, swój ideał zamknąć im się udało.

Ustrój demokratyczny, który owładnął światem dzisiejszym, powołał do życia wszystkie siły jakie się wśród społeczności ludzkiéj

przejawiają. W tym olbrzymim zgiełku i ściéraniu się sił żywych, jakież znaczenie mieć mogą nazwiska historyczne jeśli im osobista zasługa nie towarzyszy, chociażby najświetniejszym nimbem wspomnień otoczone?

Kto z żywiołów kłótni,
Z bitwy miejsc i lat
Harmonią wylutni,
Rytmu stworzy świat?

pyta poeta urodzony w pańskiéj kolebce i nie mogący być posądzanym zgoła o demokratyczne zachcianki. A jednakże i on nie odważa się przyznać téj roli arystokracyi i odpowiada ogólnie: „Ten, w kim ognie życia gorą;“ a przecież ogień życia wykradł bogom Prometeusz dla całego rodu ludzkiego, nie dla wybranéj tylko jego jakiéjś cząstki!

Nie mamy bynajmniej zamiaru, komukolwiekbądź zaprzeczać prawa rozmiłowywania się w brzmieniu nazwisk historycznych, ale pomimo najczulszego do pamiątek, zawsze miłych, często istotnie nawet chlubnych, przywiązania, nie widzimy, ażeby możebném było pamiątkom i wspomnieniom przypisywać równe znaczenie jak nadziejom i widokom polepszenia losu, kształcenia rozumu, szerzenia nawyknień pracowitości, wprawiania ludzi do ciągłéj pracy około pożytku własnego i dobra współobywateli.

Dla tego dziwno nam trochę słyszéć dziś publicystę, wołającego tęsknym głosem za nieobecnymi, żeby wracali, „bo kraj nigdy ich powrotu nie oczekiwał goręcéj, bo może nigdy ich obecności tak bardzo nie potrzebował.“ I dla nas nazwiska historyczne brzmią pięknie; wiemy, że wśród całego narodu zachowało się dla nich poszanowanie, dla tego, że tak długo żyliśmy samemi wspomnieniami, żeśmy się z niemi zrośli zupełnie i stanowią one cząstkę istoty naszéj, może najdrażliwszą stronę naszéj natury; otóż publicysta, który wedle słów p. Ligęzy obowiązany jest „pojąć i odczuwać kierunki, któreby społeczeństwo na manowce zaprowadzić mogły,“ nie powinienby, wedle naszego zdania, rozmiłowywać się w graniu na téj strunie, miło dla nas dźwięczącéj, ale nie dającéj czy nie chcącéj nastroić się do harmonii z tegoczesnym akordem społecznym.

Zdziwienie nasze tém bardziéj jest uzasadnioném, że chodzi tu nie o wyjaśnienie tradycyi, ale o robotę, i że czułe to wezwanie zwrócone do nieobecnych z tego powodu, iż panowie, których nazwiska kończą się na *man*, *erg*, lub *ein*, już położyli niemałe zasługi około pożytku ogólnego, więc (wniosek wyprowadzony nie na mocy praw logiki wprawdzie, ale na podstawie niedawno zaszłych faktów),

więc pomimo tych zasług, kraj cały ogląda się za innymi przewodnikami, bo na tych „z nader ruchomego i sypkiego materyału wzniesionych karyatydach“ nie możemy chętnie opierać siły i chwały naszego społeczeństwa.

Wniosek ten, a przynajmniej na ornamentacyą jego użyte wyrazy siły, chwały, losów i czci zdają się być bardzo przesadne. Publicysta ów, który umié kochać po ojcowsku i chce przecież być sprawiedliwym, skoro pomimo sentymentalnego przywoływania nieobecnych, nie szczędzi im słów prawdy i tylko jak ojciec w dzieciach rozmiłowany szuka przyczyn uniewinniających ich błędy, skoro zaprzeczając panom *ergom* i *manom* praw do udziału w kierowaniu społeczeństwem, chce uznawać ich zasługi, przyzna nam zapewne, że nazwisko historyczne, którego piastun umié tylko wykwintnie życia używać, jest pono materyałem o wiele więcéj sypkim i kruchym, aniżeli niemile dla niego brzmiące nazwisko, ozdobione i uzacnione własnemi zasługami człowieka, który je nosi. Jeżeli tradycya ma być tak dalece wielką siłą, że ona przedewszystkiem, żyjąc w sercu dziedzica historycznego rodu, zagrzewa go do pracy około dobra publicznego, to w sercu bankiera naprzykład, z nazwiskiem nieznanym w przeszłości, musi silnie pulsować miłość tego dobra publicznego, skoro on dlań nie szczędzi swych trudów, pomimo iż tradycya nie zagrzewa go do tego; a miłość taka pono nie mniéj warta od tradycyi, bo ona sama daje początek nowéj tradycyi rodowéj.

Nazwisko historyczne przypomina nam nieraz, że z całego szeregu pokoleń piastujących niegdyś zaszczyty, tytuły, pobiérających obficie chléb dobrze zasłużonych, z szeregu całego, kilku tylko szczerze i czynnie pracowało dla narodu, a reszta dbała o siebie jedynie i nieraz ludzi krzywdziła. Nie zapominajmy, że kiedy protoplaści tych rodów wybijali się z tłumu na wyższe stanowiska, nie brakło im nigdy przeciwników, którzy ludzi nowych witali szyderstwem, nazywali ich parweniuszami. Król Poniatowski był w oczach księcia na Nieświeżu tylko „panem stolnikiem litewskim,“ a pobożny tłum szlachecki z pobłażaniem wprawdzie, ale niezbyt pobożnie „dziwił się Opatrzności“ z powodu, że „ojciec w krześle, syn w koronie, a dziad — podstarości!“ Albož i dawniéj nie wytykano przodkom wielu zasłużonych rodów magnackich, że wyszli z mieszczan krakowskich; alboż do nazwiska Małachowskich nie przyczepiono szyderczego dodatku wtedy nawet, kiedy imię marszałka sejmu wielkiego ze czcią powszechną było wymawiane? tak samo dzisiaj około powstających z tłumu potentatów świata finansowego, niebrak napastników. Ani tamci wtedy, ani ci dzisiaj nie są bez zarzutu, nieraz może pobłądzili i pobłądzą, niejednéj krzywdy ludzkiéj mogą stać się

przyczyną, w świecie finansowym są i dobrzy i źli obywatele. Ale potępianie, a nawet wyrażanie wątpliwości o całym świecie finansowym *en bloc*, tyleż warte co i bezwzględna admiracya dla wszystkiego co było dawniéj, jedno i drugie może mniéj więcéj wymownie opowiadać upodobania, skłonności serca pewnych ludzi, ale się nie wzniesie nigdy do znaczenia „jasno wypowiedzianéj zasady,“ jakiéj to zasady pan Ligęza wymaga od publicysty i pisma publicznego. Wiemy z dziejów, że wielcy królowie nie podzielali podobnych uprzedzeń. Pierwszy nasz prawodawca, Kazimierz, wydobył z miejskiego tłumu głośnego finansistę Wierzynka; Zygmunt Stary osypał zaszczytami mieszczańskie dziecko, Bonara; a działo się to wczasach, które w przeszłości naszéj najpiękniejszym blaskiem chwały jaśnieją. Historyą zowią mistrzynią życia: azaliżbyśmy, my jedni, zawsze mieli być głuchymi na jéj nauki? Odrzucając je, zdradzicie się tylko z pretensyą do zamknięcia dziejów narodu na pewnéj ich karcie, do upatrzenia pewnéj epoki, po któréj już nic nowego nie ma prawa się tworzyć, i nikt na nowo nie może wstąpić w szeregi prawdziwych obywateli.

Zresztą cóż znaczyć może wzywanie nieobecnych, aby pomiędzy nas wracali? Służenie społeczeństwu, to nietylko obowiązek, to zaszczyt, a do zaszczytów ludzie nie zwykli zapraszać: pożądający powinien się o nie dobijać z własnego popędu. Nieobecni zapewne nie widzą wśród nas, lub nie czują w sobie dostatecznych pobudek do poświęcania krajowi sił swoich, wybrali sobie, inne powołanie; pozbawieni przywilejów, które stanowiły ich siłę, szukają teraz po świecie ekscytacyi rozmaitych, być może w nadziei, że siły ich przez to rozbudzą się na nowo; nie studyowali zapewne fizyologii, nie wiedzą, że sztuczne ekscytacye prowadzą nie do wzmocnienia, lecz do wyczerpania. Wątpić wolno, aby najgorętsze wezwania mogły podziałać na człowieka, który pragnie życia używać, bo w używaniu jego wykwintném, jedynie czuje się być człowiekiem wykształconym. Tacy poniewolni mężowie stanu umieją tylko dowcipnie szydzić z grubych instynktów gminu, jakby nie wiedzieli, że dla szampana i gorzałki wspólnym protoplastą jest alkohol, że między słynnym Homburgiem, uroczém Monaco, a duszącą piwnemi parami kręgielnią na Saskiéj kępie zachodzi gatunkowa tylko różnica.

Publicyści skuteczniéjby mogli zwrócić swe głosy do wielu obecnych pomiędzy nami, którzy zdają się dobrowolnie i rozmyślnie na manowce zachodzić. Za dawnych czasów ziemianie nasi cieszyli się temi samemi co i możnowładcy przywilejami, i pod tarczą przywileju stanowili jakoby jedno z nimi ciało, chociaż w politycznóm i w społecznóm życiu zupełnie odmienne mieli powołanie. W rzeczyposp-

litéj szlacheckiéj, przy ówczesnym braku zamożnego i wykształconego mieszczaństwa, obok rycerskiego swego zawodu, pełnili oni wszystkie funkcye moralnéj pracy społecznéj, które się dostały na zachodzie Europy stanowi średniemu. Wpośród ziemiaństwa po powiatach i ziemiach żyjącego, zamożnego i odpowiednio do pojęć epoki wykształconego, rozwijało się przedewszystkiém życie narodowe; ono to więcéj niż arystokracya stanowiło istotny zawiązek siły społecznéj, tam rodziły się talenta, tam przechowywała się prawdziwa tradycya narodowa, tam żyje ona dotąd. Niegdyś ziemiaństwo próbowało walczyć o lepsze z arystokracyą; nie powiodło mu się w téj walce, dało się uwieść pozorami równości, formą panowania, dało się skusić bezwzględném uznaniem przywileju władzy nad ludem poddańczym. Prawa polityczne wymknęły mu się z czasem, a potém i przywiléj panowania domowego. Ale pomimo to, nie mogli ziemianie, jak to łatwiéj przyszło możnéj arystokracyi, usunąć się na bok od społecznego powołania swego, pozostali na miejscu, żyją po wsiach swoich, i każdy dworek wiejski jest ogniskiem, słabym lub silnym, ale zawsze jest ogniskiem życia duchowego.

Nowy prąd idei, od początku obecnego stulecia przekształcający ustrój społeczny, tak samo jak był powodem upadku przywilejów, wywoływał do życia w kraju całym nowe siły: miasta nie wyrosły dotąd wprawdzie na prawdziwą potęgę, ale niemniéj dzisiaj żyją już własném życiem; ubożsi ze szlachty saméj, którzy szukali promocyi w obowiązkach służby rządowéj, wytworzyli całe poważny zastęp ludzi wykształconych, którzy żyjąc po miastach odrębny od ziemian noszą charakter; budzący się przemysł i rozwijający handel tworzą ciągle coraz to nowe majątki, które dają ludziom stanowisko często równe, a nieraz znacznie wyższe od zwykłego ziemiańskiego. Prąd ten demokratyczny, wzmagając się ciągle, sprowadził nakoniec dwa ostatnie najważniejsze fakta w społeczeństwie naszém: równouprawnienie wszystkich stanów i uwłaszczenie włościan.

Szlachta nasza przeciwko tym faktom nie stawała w opozycyi, owszem o ile to od niéj zależało przyczyniała się do ich popierania; i umiała wyrzec się swych przywilejów, z męztwem i godnością. I dzisiaj chociażby nawet miała prawo i możność usunienia równouprawnienia i uwłaszczenia nigdyby się o to nie pokusiła, ani o tém pomyślała. Ale zasady, chociaż w prawie obowiązującém zapisane, nie tak łatwo przenikają w obyczaje, nie tak łatwo praktykują się w życiu powszedniém, jak przed kratkami sądowemi naprzykład, lub wobec poboru wojskowego. W potomkach rodzin szlacheckich żyje gdzieś na dnie serca chęć ukryta wyróżniania się czémkolwiek od innych ludzi. I nicby przeciwko takiéj ambicyi powiedzieć nie można

było, gdyby się ona stawała pobudką do współzawodnictwa z ludźmi innego pochodzenia na polu pracy i zasługi. Ale pomimo wielu na téj drodze chlubnych faktów, które prasa nasza często zapisuje, widzimy zjawiska budzące obawy.

Oto w obecnych czasach coraz to szersze koła młodzieży szlacheckiéj ogarnia dziwna jakaś słabość coraz to jaskrawszego malowania i rzeźbienia herbów swoich, wyszukiwania dla siebie nie zawsze już swoich tytułów, doszukiwania się, wśród przodków swoich, ludzi, którzyby piastowali senatorskie, albo przynajmniéj ważniejsze ziemskie urzędy.

Usłużni ludzie wydają w tym celu coraz to nowe herbarze, bodaj coraz mniéj prawdziwe; upośledzeni przez los okrutny nie sięgamy wprawdzie tak daleko, jak owi hrabiowie francuscy, co się wywodzili od złego łotra, któremu Chrystus nie obiecał raju; poprzestajemy skromnie na genealogii od jednego ze stryjów zjedzonego przez myszy Popiela, a heraldyka dla wielu staje się nauką równoważną z historyą. Otóż wszystko to dowodzi, że wśród téj części młodzieży szlacheckiéj, silniéj panuje pochop do wyróżniania się zasługami przodków, aniżeli zdobywania sobie nowych laurów.

Niebaczni nie chcą rozpoznać całéj siły nowoczesnego prądu demokratycznego, który ze wschodu i zachodu, z południa i z północy i z wnętrza naszego własnego społeczeństwa, prze gwałtownie do roboty, do zasługi własnéj, osobistéj. Prąd ten ma swoje słabostki i kaprysy nawet, tak samo jak je miała arystokracya, i jak mieć je będzie każda siła żywa w ułomne serca ludzkie wcielona. W zwykłym biegu rzeczy rad on szanować pamiątki historyczne, pojmuje i przyznaje nawet ich znaczenie, burzy je tylko w chwilach podrażnienia, w gwałtowniejszych swych porywach. Ale zawsze i wszędzie zarówno w stanie normalnym, jak i w gorączkowym, nienawidzi on nadewszystko chełpienia się z zasług cudzych, strojenia się kawek w pawie piórka, wywoływania do życia sztucznego, nie już pamiątek historycznych, ale mar przeszłości, a cóż dopiero kiedy się okaże, że to nie są istotne upiory z innego świata wracające, jeno dla postrachu prostaczków, dziwacznie pozszywane, z szat cudzych, maskaradowe trawestacye.

Patrząc na ten pochód czy wyścig całych mass ludzi, pełnych zapału, ożywionych nadzieją, że zasadom w które wierzą święcie, zapewnią stały tryumf, nietylko w prawie pisaném, ale w obyczaju i praktyce życia, pytamy siebie z obawą, co się stać może z gronem chociażby dość licznéin sił młodych, które zechcą opiérać się wyłącznie na kapitale rzekomych a choćby nawet istotnych zasług, zebranym przez przodków? Grono to może być zgniecone i musi stra-

cić swoje znaczenie społeczne. Czyż nie żal tych ludzi zabłąkanych na manowce, czyż nie do nich wołać należy: opamiętajcie się, wracajcie na wielką drogę. Rozmiłowani w samych tylko pamiątkach, nie widzicie co się wokoło was dzieje; nie myślcie, że tytuł prawnie czy nieprawnie do nazwiska przyczepiony, a chociażby wydrukowany w herbarzu, może wam dać wśród dzisiejszego świata znaczenie poważne, podobnie jak wam zjednać jest w stanie uprzejmy uśmiech w salonie, lub wyższe miejsce za stołem jakiego dygnitarza. A wołamy tak, bo się nam widzi tutaj marnowanie sił, które oszczędzać i potęgować byśmy pragnęli.

Podobném do tego marnowaniem, bo zrażaniem niepotrzebném sił bardzo wiele znaczących, wydaje nam się głoszone przez publicystę „Niwy,“ nieupodobanie do nazwisk na *man*, *erg* i t. d.

Nie znamy powodów, dla których mówi poważny publicysta, o oddaniu *wyłączném* losów i czci narodu w ręce firm handlowych, ale zgadzamy się zupełnie na to, że narody tego czynić nie mogą, bo nie jest i nie będzie powołaniem firm kupieckich kierować losami lub bronić czci narodu; nie widzimy jednak zgoła, aby podobny stan rzeczy miał dla nas nastawać. Losy narodów, a raczéj skromniéj, ale bliżéj z prawdą mówiąc, drogi po których kroczą społeczeństwa nie bywają im zakreślane ani przez firmy handlowe, ani nawet przez historyczne rody, ale przez ludzi rozumnych i energicznych, którzy widzą i znają co dla pożytku ogólnego, co dla uszanowania czci własnéj jest konieczném, pożytecznem i zbawiennem.

Że ludzie tacy rodzić się mogą w rodzinach kupieckich, o tém nasz publicysta zapewne nie wątpi, kiedy umié oddawać sprawiedliwość nawet niemile dla niego brzmiącym nazwiskom. Ludzie tacy, którzy odznaczają się rozumem i uczciwością swoją, dbałością i zabiegliwością około dobra ogólnego, mają niezaprzeczenie prawo, aby głos ich był przynajmniéj wysłuchany, tam gdzie chodzi o interes ogólniejszego znaczenia. Nie widzimy dotąd, aby pomiędzy nami tak się działo, aby chciano głosy tych ludzi wysłuchać, a cóż dopiéro poddać się ich kierownictwu. Pomimo więc zasług, które im publicysta „Niwy“ przyznaje, widać, że jeszcze mało ich położyli, lub że są one tak nizko cenione, iż nie mogą zrównoważyć wspomnień przeszłości. Publiczność niechętnie nadstawia ucha na to, co oni powiadają, owszem na każdym kroku stara się zamanifestować swoję względem nich nieufność.

A z hymnu schodząc do prostéj powieści, zapytamy o co to chodziło w sprawie wyborów Prezesa komitetu właścicieli listów Zastawnych w Tow. Kred. Ziem. i w sprawie wysadzenia przy Tow. Kred. miasta Warszawy takiegoż komitetu? Chodziło o pokazanie,

że obie instytucye obejść się mogą bez udziału w nich ludzi chociażby najrozumniejszych, jeżeli oni mają znaczenie na giełdzie, albo noszą nazwiska z niemile brzmiącém dla czyichś uszu zakończeniem.

Większość prasy warszawskiéj wypowiadała obawy niekorzystnego w takim razie wpływu sfer giełdowych na prowadzenie interesów towarzystw kredytowych; obawy te nie są przecież dostatecznym argumentem do wytłómaczenia wstrętu, z jakim tak w miejskim jak w wiejskim świecie, wybór i propozycya były traktowane; obawy te bowiem o ile na zimno zapatrywać się na nie zechcemy nie wytrzymają krytyki.

Wpływać na zniżenie, lub nie dopuszczać słusznego podwyższenia udzielonych kredytów, sfery giełdowe nie będą, bo nie mają w tém żadnego interesu; stowarzyszenia kredytowe ziemskie i miejskie urządzają się dla tego, ażeby odszukać tę normę kredytu, który z matematyczną, że tak powiemy, pewnością, może się oprzéć na nieruchomości hipotecznéj, ażeby list zastawny mógł przynosić nizki procent i nigdy w żadnym wypadku nie mógł być narażonym na podejrzenie, że mu zabraknąć może dostatecznéj gwarancyi w realności na któréj się opiéra. Nasze Towarzystwa kred., bez udziału sfer giełdowych w ich zarządach, były pod tym względem może do zbytku ostrożne, przyciągnięcie do nich osób nawykłych do śmielszych obrotów finansowych, prędzéjby mogło zarządom dodać odwagi, aniżeli ich ostróżność posunąć aż do przesady.

Wszelkie pożyczki hipoteczne, udzielone na nieruchomości, po towarzystwach, mogą być dogodnym interesem dla ludzi chcących żyć spokojnie z procentu średniéj wysokości od stale i bezpiecznie ulokowanego kapitału, ale interesem ponętnym dla sfer giełdowych nigdy nie będą, bo z saméj natury swéj nie mogą obiecywać zysków wielkich.

Wpływanie na zmiany kursu listów zastawnych także nie może znęcić *chciwości* bankierów, bo listy takie, jako przynoszące pewny, zgóry wiadomy, zwykle niewysoki procent, nie mogą stać się przedmiotem spekulacyi, nie widziano też nigdy, aby listy zastawne towarzystw kred. stawały się na giełdach papiérami spekulacyjnemi.

O co chodziło ludziom, którzy zmiany wyżéj wzmiankowane w obu Towarzystwach Kred. wprowadzić chcieli? Najprzód i przedewszystkiém o pożytek samychże instytucyj, pożytek realny i dotykalny, jaki odnieść może zarząd towarzystwa z wysłuchania w sprawach ważniejszych opinii ludzi biegłych w tych materyach. Czyby to wysłuchiwanie opinii wpłynęło na większą ostróżność

zarządów, czy możeby im więcéj śmiałości dodało, tego stanowczo przesądzać nie chcemy, ale trudno odgadnąć w czémby wysłuchanie opinii biegłych mogło szkodzić interesom stowarzyszonych. Jeżeli zaś głębiéj w rzecz tę wniknąć zechcemy, możebyśmy słusznie wnosić mogli, że samym władzom towarzystw kredytowych chodziło o to, aby jeżeli nie wciągnąć w swój organizm, to przynajmniéj zbliżyć do siebie siłę nową, która się wytworzyła wśród społeczeństwa.

Że interesa finansowe dzisiaj niezmiernie ważne miejsce zajmują w życiu prywatném i publiczném, temu nikt pewno przeczyć nie będzie; że ludzie, którzy interesa te prowadzić umieją i rzeczywiście niemi kierują, stają się przez to samo czynnikiem społecznym bardzo ważnym i do coraz jeszcze większego znaczenia dążącym, to również zdaje się być rzeczą zrozumiałą. Dla czegóż więc téj siły realnéj a potężnéj nie zużytkować na korzyść stowarzyszeń kredytowych? dla czego nie wciągnąć jéj w sferę ich działalności? Wszakże siła ta musi być uosobioną w człowieku, a wybór człowieka zależy od interesowanych; w wyborze więc należałoby kierować się znajomością osoby i wszelkiemi względami uczciwości, zacności, talentów, rozumu. Ale dla czego nie chciéć przyswojenia i wcielenia w siebie tego co być może pożyteczném, a szkodliwém chyba nie okaże się nigdy? Panteon chwały jest tak obszernym, jak szerokie są rozmaite pola zasług; w téj świątyni nie obawiajmy się tłoku: znajdzie się w niéj zawsze dla nowych posągów miejsce swobodne; im żywotniejsze społeczeństwo, tém świątynia bardziéj napełniona. Otworzyć więc na oścież podwoje do niéj wiodące wypada.

Jednakże widzieliśmy co innego: miasto i wieś świeżo dowiodły, że nie chcą losów, nie już honoru swego, ale losów swego kredytu hipotecznego, nietylko powierzać ludziom do świata finansowego należącym, ale nie chcą nawet widziéć ich przypatrujących się bliżéj sprawom tego kredytu.

Za jedyny ważniejszy, jeżeli nie zupełnie poważny argument, mogło tu posłużyć, że towarzystwa kredytowe dotąd obchodziły się bez tego, i że pomimo to działo się im wcale nieźle. Prawda, i temu nikt nie przeczy; ale my wszyscy obchodzimy się dotąd bez wielu a wielu rzeczy, nie wynika ztąd jednak, abyśmy zawsze, bez tego co pożyteczném być może obchodzić się chcieli lub mogli nawet, na mocy téj tradycyjnéj przypowiastki, że co nowego niewiele warto, bo dawniéj lepiéj było.

SZALONA.

POWIEŚĆ.

TOM I.

(Ciąg dalszy).

Nazajutrz ku wieczorowi Zonia chodziła po swoim pokoiku, w dziwném jakiémś usposobieniu: twarzyczka jéj zawsze dosyć wesoła i odbijająca łatwo najmniejsze wrażenie była nie zwyczajnie rozpromienioną i uśmiechniętą szczęściem jakiémś.

Chodziła oburącz podrzucając gęste swe włosy, bawiąc się niemi, czasem stając przed małém zwierciadełkiem i sama się uśmiechając do siebie.

Roztwarta książka leżała niedbale rzucona na stoliku. Kilka razy dziewczę probowało ją wziąć w rękę, chciało się zmusić do czytania i rzucało z niecierpliwością.

Stawała zadumana, płynąc gdzieś myślami w te światy marzeń, z których na ziemię do najpiękniejszéj rzeczywistości powracać tak trudno...

Nie widać było najmniejszéj troski na jéj twarzy, lecz jakby szczęścia rozpamiętywanie... Chodziła po ubogiéj izdebce, zwycięzka, szczęśliwa, pani siebie.

Gdy w korytarzyku kroki się słyszéć dały, znać było, że ten natręt co jéj miał myśli porwać złote, gniew w niéj obudził. Z niechęcią i wyrazem nadąsania poszła prędko do drzwi, jakby precz chciała odpędzić tego, co śmiał stawać między nią a jéj marzeniem. Nie pojmowała zuchwalca, co w chwili uroczystéj takiego wniebowzięcia, zamącić się ważył jéj sen szczęśliwy.

Otworzyła drzwi gwałtownie i ujrzała w nich stojącego Ewarysta. Chłopak miał postawę tak biedną, pokorną, smutną, iż ją, nią rozbroił.

Nie miała okrucieństwa go dobijać.

— A! to wy! zawołała, to wy! proszę!

— Spodziewałaś się kogo innego! odezwał się Chorążyc.

— Nikogo, odparło dziewczę, obracając się ku niemu z powracającym gniewem. Kogóż myślicie?

— Nie wiem, rzekł Ewaryst.

To „nie wiem" powiedział tak jakoś jak gdyby chciał nie wiedzieć o nikim, a musiał się kogoś domyślać.

Zonia patrzyła nań podejrzliwie, było to złym znakiem, czuła się — winną...

— Mam list od Madzi, odezwał się Ewaryst dobywając go, dla tegom się przyjść tu ośmielił.

— A! list znowu od Madzi! zawołała, rączkę wyciągając i chwytając go Zonia. Chorążyc miał czas w tym ruchu jéj żywym dostrzedz, że na palcu miała pierścionek, ona co nigdy żadnych nie nosiła. Był to złoty wąż, którego głowę stanowił duży brylant. Zonia domyśliła się, że pierścień mógł być dostrzeżony i żywo odwróciła świecącą głowę jego do dłoni. Był to drugi zły znak, lecz czyż ich już Ewarystowi więcéj potrzeba było??

Z saméj twarzy dziewczęcia mógł wyczytać, że w sercu zaszła zmiana. Była to jakby inna istota, jak alabastrowe naczynie, w którém teraz gorejące światło przeświecało je całe.

Nigdy tak bardzo kobiétą nie wydała się Chorążycowi, dawniéj było w niéj coś dziecięcego, chłopięcego, studenckiego, teraz czuć było rozbudzoną do życia niewiastę. Różnicy między Zonią dawniejszą a nową nie każdyby dostrzegł może, chociaż była ogromną, stanowiły ją jakby nowe wlane siły, jakby jakieś poczucie własnéj doli i świadomość losu. Śmielszą była niż kiedykolwiek, wdzięczniéjszą niż dawniéj, w ruchach, w mowie przebijała się jeżeli nie zalotność to instynkt, chęć podobania się. Była tąż samą śmiałą Zonią, a jednak zupełnie inną.

Im dłużéj przypatrywał się jéj Ewaryst, tém srożéj bolał, czuł, że była dla niego straconą, lękał się by zgubioną dla siebie nie była.

— List od Madzi! powtórzyła wzdychając dziewczyna i obracając go w rękach zafrasowana. Na jednę odpowiedź trudno mi się było zebrać, zdaje się, że w niéj pomieściłam wszystko już co tylko mogłam do téj biedaczki napisać, czegoż ona może chciéć odemnie?

Spojrzała na Ewarysta i zobaczyła z jego twarzy, iż jéj tę obojętność miał za złe.

Chorążyc milczał.

Zonia list, nie otwierając go, na stół rzuciła; spojrzała w okno... Po chwilce odwróciła się znowu ku niemu.

— Siadajże, proszę, mój wybawco, dodała trochę szydersko...

— Gdybym nim mógł być, szepnął po cichu Ewaryst.

Zonia poczuła w tém jakąś dwuznaczność.

— Od czegóż i od kogo byś mnie chciał ocalić? spytała.

— Od ciebie saméj, począł ośmielając się Chorążyc.

— Zagadka? czyby mi miało od téj szalenicy grozić jakie niebezpieczeństwo? spytała.

Chorążyc odpowiedział wejrzeniem pełném znaczenia.

Zonia wskazała mu sofę, nakazująco, musiał usiąść. Stanęła u stołu, przedzielona nim od niego.

— Mów mi kazanie, a bądź wymównym, bo ta Zonia, dodała, to rogata i uparta istota. A więc? co tam ona spłatała! słucham.

Pozorna żartobliwość jéj mowy kryła źle coraz rosnący niepokój.

— Nie mam najmniejszego prawa, ani ci kazania mówić, ani dawać nauk, rzekł Ewaryst, ale, szczere moje ciche przywiązanie wytłómaczy natręctwo. Zoniu, powiem ci tylko jedno nazwisko, Zorjan.

Dziewczę zapłonęło szkarłatem. Dotąd patrzało w oczy kuzynowi, spuściło źrenice, podniosło ręce i zamyślone poczęło się wpatrywać machinalnie jakoś, w swój pierścionek.

— Zorjan! powtórzyła. Cóż myślicie o nim i o mnie?

— Zorjan się w tobie kocha, o tém wié cały świat, dodał Ewaryst.

Milczenie dosyć długie przerwało rozmowę, Zonia ciągle wpatrywała się w pierścionek, który obracała na palcu.

— Zorjan się kocha we mnie, powiadasz?... tak? zaczęła powoli. A gdybym ja też kochała jego? cóż z tego? Czy ja nie mam prawa oddać mojego serca i siebie komu mi się podoba? Jestem zupełnie wolną, nic nigdy od rodziny nie potrzebowałam, nic od niéj wymagać nie będę, ale jéj nad sobą przewodzić nie dozwolę. Wolna zupełnie, gdybym kochała Zorjana, cóż daléj, panie Ewaryście? mów?

— Byłoby to nieszczęściem! zawołał Chorążyc z uczuciem głębokiém.

— Mylisz się! przerwała mu z wybuchem jakiegoś zapału Zonia, mylisz się! A! byłoby to najwyższém szczęściem, byłoby nowém do życia narodzeniem! Miłość, przyznaję teraz, jest uszlachetniającém wielkiém uczuciem... jest tajemniczym węzłem żywota... jest apoteozą...

Porwała książkę na któréj miała chwilę rękę opartą i rzuciła nią silnie o stół.

— Kocham Zorjana! zawołała, tak jest, nie omyliłeś się, kocham go miłością dziwną, jakiéj może na świecie nie było... Zmienione

role, ja jestem kochankiem, on kochanką, kocham go sercem męzkiém, namiętnością mężczyzny, a on przy mnie jest jakby dzieweczką nieśmiałą!!

Panuję nad nim, jest moim...

To wyznanie dziwaczne, które się jéj z ust wyrwało, osłupiło Ewarysta, załamał ręce i dłońmi ściśniętemi twarz sobie zakrył.

— Powiesz żem szalona! wybuchnęła Zonia. O! wierz mi, w życiu jakie się nam dostało w udziale szał jest skarbem. Jam szczęśliwa, żem oszalała!

— Zoniu! na Boga! to istne już szaleństwo, krzyknął przerażony Chorążyc. Jakież następstwa, co za przyszłość! Zorjan jest małoletnim, a przynajmniéj pod rodziców władzą, ja znam tę rodzinę. Drobna szlachta co się ogromnego dorobiła majątku, nigdy na świecie nie dozwoli na ożenienie...

Zonia wybuchnęła śmiechem...

— Ożenienie! ale ja o wyjściu za niego ani pomyślałam! Ja chcę go kochać, to mi starczy, jestem pewna, że gdyby się zemną ożenił, toby mi moje szczęście popsuło!

Chorążyc krzyknął ze zgrozy.

— A! wy, świętoszki, faryzeusze... ludzie trupy! zawołała.

— Zoniu, ja mówić z tobą nie mogę nawet, myśli mi łzami zachodzą, przerwał Ewaryst. Szał byłby niczém, aleź ty ślepą tak, że nie widzisz następstw... Ty się zgubisz...

Gwałtowne choć krótkie wybuchy Chorążyca zdały się w końcu działać na dziewczę.

— Mój panie Ewaryście, odezwała się zimniéj trochę. Powtarzam ci, że ja mam prawo zgubić się w taki sposób jak mi się podoba... Kocham Zorjana i czuję, że on mnie kocha.

— To dziecko! przerwał Chorążyc gwałtownie. Nie wątpię, że cię kocha dziś i szaleje, ale to jest namiętność młoda, to ogień słomiany, który jutro zapłonie tak samo dla innéj.

Zonia podniosła oczy i ruszyła ramionami.

— Któż kochając myśli o jutrze? Jutro! a! mój Boże! ono do nas nie należy...

I odeszła od stołu za którym siedział Ewaryst, przybity już do ostatka i zrozpaczony...

Nierychło mógł się on zebrać na ostyglejszą odpowiedź.

— My w istocie, moja Zoniu, stojemy pojęciami od siebie tak daleko, że się nam niepodobna zrozumiéć. Nie wiem nawet czy wierzysz w tego Boga co ja, a z pewnością lekceważysz te jego prawa, które ja za święte uważam... Nie chę mówić o tém co nakazuje nam wiara, abym nie wywołał z ciebie bluźnierstwa. Lecz, oprócz Bo-

żych, są prawa ludzkie, obowiązujące, są przepisy życia, od których pod grozą kary uwolnić się nie można, jest społeczność i opinia potępiająca... Choćbyś nie chciała jesteś cząstką tego społeczeństwa i prawom jego ulegasz, nie żyjecie na pustyni...

Zonia zwróciła się głową ku niemu idąc sama ku oknu.

— Właśnie przeciwko okowom jakie ta strupieszała społeczność wkłada na nas, my chcemy walczyć. Tu nie dosyć słowa, trzeba czynów. Jeśli chcesz, moja miłość jawna, którą wy nazwiecie bezwstydną, jest taką protestacyą.

— W téj chwili ty jesteś hypokrytą, przerwał Ewaryst z pół uśmiechem gorzkim, namiętność twoję chcesz pokryć płaszczem teoryi... To fałsz!

Zonia zarumieniła się mocno.

— Może masz słuszność! odparła dumnie. Kto ma skarb, ten go broni, nawet z ołtarza chwytając co napadnie...

Wyznanie to, nieco upokorzonym tonem wypowiedziane, przejęło litością Ewarysta, porwał się z miejsca i padł przed nią na kolana.

— Zoniu! zaklinam cię! nie gub się!! krzyknął.

Brwi pięknemu dziewczęciu ściągnęły się groźno..

— Mogłabym się obrazić tym twoim strachem, przerwała. Nie rozumiem jak ty sobie wyobrażasz miłość, chyba rozpustą obrzydliwą. Krzywdzisz mnie! i jego... Miłość Zorjana dla mnie jest tak piękną, szlachetną, czystą jak moja dla niego. Kochamy się dwiema duszami bratniemi... Ewaryście.

Rumieniec wybiegł jéj na twarz i nie dokończyła.

— Wierzę w to co mówisz, rzekł Chorążyc. Chcę nawet wierzyć, iż w téj miłości idealnéj oboje wytrwacie, choć ona z waszemi teoryami się nie godzi.

Nowy rumieniec oblał twarzyczkę Zoni, która żywo odwróciła się od niego.

— Ja mogę temu uwierzyć, kończył Chorążyc, ale świat, ale ludzie co powiedzą, widząc cię chodzącą do niego.

— Alboż ja się z tém kryję? spytała Zonia.

— Ludzie to wezmą za cynizm! dodał Ewaryst.

— Niech biorą za co chcą, spokojnie ze wzgardą jakąś odezwała się Zonia, co to mnie obchodzi? Ja dla ludzi nie poświęcę ani jednéj minuty mojego szczęścia.

Odpowiedź zamarła na ustach Chorążyca; zrozpaczony odstąpił od niéj. Nie było już sposobu ani mówić z nią, ani chcieć ją przekonać. Dwoista siła czyniła tę miłość niezwyciężoną, jéj własna poparta teoryami swobody nieograniczonéj, które jéj wpojono. Przewrócona głowa dziewczęcia dopomagała rozpłomienionemu sercu.

Chorążyc stał jeszcze czas jakiś milczący, patrząc w ziemię, wziął kapelusz, skłonił się jéj z daleka i wyszedł powoli. Nie zatrzymywała go wcale.

W bramie gdy już na ulicę wychodził, nie oglądając się nawet, uczuł się za rękę chwyconym. Stara Agafia Sałhanowa z tajemniczą miną dając mu jakieś znaki, szeptała prędko.

— Heljodora Iwanowna, paniczyku, Heljodora Iwanowna, na miłość Bożą prosi was na chwilkę rozmowy do swojego pokoju. Chodźcie koniecznie.

I pochwyciwszy go za rękaw starucha, ciągnęła jakby się lękała, aby jéj ofiara się nie wyśliznęła.

Powtarzała ciągle.

— Heljodora Iwanowna!

Ewaryst nie rozumiejąc po co do niéj miał iść i mając to wezwanie za omyłkę, opiérał się nieco.

— Mylicie się może, ja tak jak nie znam Heljodory Iwanownéj, rzekł do staréj.

— Nie mylę się, nie mylę, wiem pewnie, wracacie od krewnéj waszéj; od Zonki, chodźcie na słowo!

Pociągnęła go za sobą ku domowi i przez inny ciemny korytarzyk ku drzwiom, które się natychmiast otworzyły.

Stała w nich pani Heljodora, tym razem bez papiérosa, niecierpliwa, podrażniona i ledwie wpuściwszy gościa do swojego gabinetu, zamknęła za nim drzwi na rygiel.

Pokoik niewielki był obrazem życia kobiéty, która w nim mieszkała. Największy nieład panował w tym niby eleganckim buduarze. Elegancya była chwilową i już należała do przeszłości, nieład stanowił teraźniejszość całą. Stroiki, tytuń, papiérosy, książki, cacka, listy, świstki i okrawki wstążek, ryciny na wałkach i materye w sztukach, zaczęte roboty kobiéce i zawalane seksterna, rozsypane piéniądze i gałganki pomięte, tak zajmowały wszystkie miejsca, iż usiąść prawie nie było gdzie. Ani też pani Heljodora zapraszała gościa, stanęła przed nim, załamała ręce poplamione atramentem i pożółkłe od dymu papiérosów, wołając:

— Pan wiesz! pan wiesz! co ona najlepszego robi! Sobie i mnie naprowadzi biedy! Wodzą się z sobą po całych dniach, bywa u niego, jak mamę kocham. Mówiłam jéj, niech choć nie tak jawnie... ani chce słuchać.

Chorążyc miał czas zebrać myśli.

— Pani dobrodziejko, odezwał się, wiem o tém trochę, ale, pozwól mi powiedziéć sobie, że téj pogardzie opinii i téj emancypacyi Zoni winny z pewnością nauki przez Mistrza wygłaszane. Były one

dla niéj przygotowaniem do życia i jego prawidłem. Sieliście ziarno, które schodzi.

Śmiałe to obwinienie jakby wodą zimną oblało panią Heliodorę, oburzyła się.

— Ja nic nie mam przeciwko wolnemu rozporządzeniu sercem, rzekła jąkając się nieco. Co ojciec głosi to wszystko prawda. Dosyć mieliśmy tyranii męzkiéj, kobiéta powinna być wolną. Tak, jak mamę kocham, ale żyjemy wśród świata skołowaciałego, my, nas odrobina, trzeba mieć pewną wiarę.

Ja panu wprost powiem, że to się skończy awanturą. Rodzice tego chłopca lada dzień się dowiedzą, a to są ludzie dumni, żenić mu się nie dadzą, rozdzielą ich, i ona będzie najnieszczęśliwsza.

— Ona mu ufa! przerwał Ewaryst. Heljodora porywczo się odezwała uśmiechając.

— Jemu ma ufać! otóż to nieszczęście, to chłopiec rozpieszczony, zepsuty przed czasem, rozpustnik... Zaraz po przyjezdzie do Kijowa, świadkiem stara Agafia, zakochał się był tak samo w córce gospodyni u której stał.. za co potém przypłacił, jak mamę kocham, i ledwie się odkaraskał od niéj. Wydali ją za jakiegoś kancelistę. Słyszę jeszcze i teraz się do niéj włóczy, jak mamę kocham. A ja wiem najlepiéj na sobie, bo, słowo daję, że i do mnie się wdzięczył, ale jak!! A ona biedaczka te jego amory bierze za dobrą monetę...

Rzuciła się pani Heljodora gwałtownie...

— Potém na mnie powiedzą, że z mojéj przyczyny...

Tu zatrzymała się trochę; na wpół sama do siebie, zadumana mówić poczęła.

— Co innego jéj radziłam i słowo daję, byłabym to doprowadziła do skutku. Jewłaszewski się chciał z nią ożenić, jak mamę kocham.

Proszę pana, dodała z głębokiém przekonaniem, potém niechby się była wyszedłszy za mąż kochała jak chciała, niktby jéj słowa nie powiedział.

— Nawet mąż? wtrącił Ewaryst. Wdowa się uśmiechnęła szydersko.

— Albo to mąż ma wszystko wiedziéć? dodała przez zęby.

Chorążyca już niecierpliwiło, że go tu nadaremnie zatrzymywano.

— Zdaje mi się, rzekł, że jeśli kto to pani i ten pan Jewłaszewski, który tu ma taką powagę, możecie pannę Zofią powstrzymać i skłonić ją.

— Ale kiedy się szalenie zakochała! przerwała Heljodora.

— Tak, szalenie—zakończył Ewaryst, kłaniając się na pożegnanie, lecz szałom tym nie ona sama jest winną.

Chciał już odchodzić, gdy podbiegłszy ku niemu zatrzymała go gospodyni.

— Prawdziwie panu powiadam, że ja zupełnie głowę tracę, poczęła. Myślałam, pan do familii należysz, abyście potém nie mówili, że ja przyczyną. Ja umywam ręce! ona mnie słuchać nie chce.

Spojrzała na Chorążyca, który stał nie chcąc już dłużéj przeciągać rozmowy.

— Więc widzi pan dodała, ja przed nim nie taję, to się skończy katastrofą, ja winną nie będę, jak mamę kocham.

Widząc, że Chorążyc nie otwiéra już ust Heljodora mu pomogła drzwi odryglować i szepnęła na wychodném.

— Jak dwa a dwa cztery, zobaczy pan—awantura gotowa. Chłopiec zepsuty, choć tak się wydaje jakby go dopiéro z pieluszek rozwinęli, a ona jak warjatka?

Chorążyc ogłuszony, zmęczony, wyszedł z dworku Agafii nie umiejąc znaléść drogi. Co miał począć? mógł li co poczynać?? nie wiedział sam.

Ciągnąc powoli do domu wpadł na myśl, która mu się zdawała jakąś słabiutką nadzieją, jeśli nie ocalenia Zoni, to przynajmniéj lepszego ocenienia niebezpieczeństwa na jakie była wystawioną.

Zorjana Szeligę, w pierwszych miesiącach po jego przybyciu, gdy jeszcze nie był nawrócony i wciągnięty w kółko reformatorów, poznał był Ewaryst, był nawet parę razy u niego i młode chłopię przylgnęło z razu do poważnego i przyzwoitego Chorążyca, nawykłém będąc do lepszego towarzystwa. Późniéj chociaż Zorjan zdawał się go unikać, zachowywał się jednak przez grzeczność jakby dobry znajomy. Witali się z sobą, rozmawiali o rzeczach obojętnych.

Mało go znał Chorążyc, a z tego co widział i słyszał wyobrażał sobie dosyć płochym, dziecinnym, wielce namiętnym, a nie bardzo odważnym. Na charakter młokosa w istocie mało rachować było można. Zapragnął zbliżyć się znowu do niego.

Nie było to łatwém. Towarzystwo otaczające bogatego jedynaka zupełnie się teraz zmieniło, królowali tu ojciec i jego synowie z ducha, co było najzagorzalszego i co najgorszém okiem patrzało na Chorążyca. Nie mógł on wciskać się pomiędzy adeptów, aby nie wywołać jakiegoś nieprzyjemnego zajścia.

Nazajutrz jednak, nie odkładając, pod pozorem książki jakiej, którą był dawniéj pożyczył Zorjanowi, poszedł do niego w godzinie rannéj, w któréj się nikogo spotkać nie spodziewał.

Na kwaterę akademicką, mieszkanie Szeligi było niezwyczajnie wspaniałém. Młody panicz trzymał lokaja w liberyi, miał salon, kilka pokojów i cały komfort jaki zwykle tylko starszych otacza, ulubieniec matki, pieszczoszek nawykły do wygód zawczasu już czynił z nich życia warunek.

Ewaryst zastał go jeszcze w łóżku, pijącego kawę, którą mu z całą elegancyą zamożnego domu podano. Więcéj było koło niego przyborów tualetowych i fraszek, niż papiérów i książek. Nauka była tu gościem, po którym ślady zaciérano.

Z wielką uprzejmością posuniętą do przesady przyjął dawnego znajomego Zorjan, przepraszając za to, że w łóżku go zastał.

— Jestem trochę niezdrów! dodał zakłopotany.

Pierwszą rzeczą, która wpadła w oczy Chorążycowi, była na stoliczku przy łóżku w aksamit oprawna za szkłem fotografia, w któréj na pierwszy rzut oka poznał Zonię. Kazała się ona była fotografować z książkami pod pachą, w męzkim kapelusiku, i obrazek ten uderzający oryginalnością znanym był powszechnie. Zorjan, nie dostrzegłszy, że Ewaryst miał czas nań spojrzeć, dosyć zręcznie natychmiast go przysłonił.

Służba wyszła. Korzystając z poufałości koleżeńskiéj, Chorążyc umyślnie zwrócił uwagę na obrazek.

— Pokaż że mi jaką to piękność ukrywasz przedemną tak starannie, zawołał chwytając fotografią, którą Zorjan próżno mu wyrwać usiłował.

— A! to moja kuzynka! rzekł stawiając na powrót obrazek Ewaryst.

Szeliga zarumieniony leżał milczący, zmięszany bardzo.

— Kuzynka! powtórzył—kuzynka!

— Tak jest—dodał Chorążyc, siostra jéj wychowuje się przy moich rodzicach! Wszyscy mówią, ciągnął daléj o ile mógł najspokojniéj, że wy się szalenie kochacie w Zoni! Bardzo temu wierzę, bo jest i śliczna i pełna życia a zdolności, choć główkę ma trochę przewróconą.

Zorjan słuchał pilnie, zwolna przychodząc do siebie.

— No, kochać się trudno zabronić, dodał zwolna Ewaryst, lecz, jako życzliwy ci przyjaciel, radziłbym być—ostrożnym. Wątpię, aby rodzice wasi pozwolili się żenić, a z familią mojéj biednéj kuzynki moglibyście mieć nieprzyjemności...

— Ale, proszę cię—wtrącił Szeliga, proszę cię, cóż? za co? wszyscy niemal akademicy kochają się w pannie Zofii.

— A ja też kochać się nie zabraniam—dodał Chorążyc, tylko po przyjacielsku zwracam uwagę, że to szlacheckie dziecię, dobrego domu, choć ubogie, i nie bez związków.

Szeliga widocznie pomięszany pił kawę tak niezręcznie, że mu się na poduszkę wylewała,

— Bardzo dziękuję, wybąknął. Przecie kochanie się nikomu krzywdy nie czyni!

Zaczął się śmiać, lecz śmiech był wymuszony i kwaśny.

Chorążyc nie podnosił już drażliwéj sprawy, począł chwalić mieszkanie, mówić o lekcjach, o pogodzie, o swojéj książce i udając wesołego, wkrótce pożegnał Zorjana, który po wyjściu jego leżał długo zadumany na pościeli.

Upłynęło dni parę,—a biedny Chorążyc usiłował się uspokoić, chociaż smutny był w duszy i nie widział ratunku dla zdziczałéj Zoni. Traf zrządził, że się z nią nie spotykał i z lekcyj wychodzącéj widać jéj nie było. Ciekawość go brała przekonać się czy też kroki jakie przedsiębrał przydały się na co, o tém nie miał sposobu się przekonać, chodzić na zwiady do niesmacznéj, roztrzepanéj i napastliwéj pani Heliodory nie miał ochoty.

Właśnie gdy myślał o tém jakby się mógł dowiedzieć nieznacznie o Zonię, spotkał ją w ulicy samę jednę. Szła z książkami pod ręką, z głową spuszczoną, nasępiona, blada i cierpiąca, bo twarz jéj zdradzała boleść jakąś. Nie widziała nadchodzącego Ewarysta, ktory sam narzucać się jéj nie chciał.

Była jednak tak biedną i tak mu się jéj żal zrobiło, że się przybliżył. Zamyślone dziewczę podniosło głowę przestraszone, drgnęło i nierychło zdało się rozpoznawać kuzyna.

— Nie jesteś chora? zapytał Ewaryst.

— Ja? chora? dla czegóż to? odparła chmurno patrząc na niego. Chorą może jestem, ale na duszy, a na takie choroby sam każdy sobie być musi lekarzem.

— Nic przecie nie zaszło! szepnął Ewaryst.

— Ale dla czegóż się tak troszczysz o mnie? niechętnie zawołała Zonia. Prawdziwie, że czasem przywiązanie czy jak tam się to nazywa więcéj dokuczy niż prześladowanie i staje się jedném z najnudniejszych.

Posłyszawszy to Ewaryst skłonił się i chciał odejść, oczy jéj błysnęły, popatrzała na milczącego i cierpliwie znoszącego jéj niegrzeczność—dodając.

— Ciekawy jesteś! prawda? co mi jest. Ostatnią razą widziałeś mnie tak szczęśliwą! Cóż robić, życie jak rzeka toczy się to czystemi kryształowemi wody, to niosąc z sobą brudy i śmiecia.

Mówiła powoli, idąc ze spuszczonemi w ziemię oczyma, na wpół sama do siebie, pół do tego powiernika zawojowanego, na którego mało zważała.

— Ludzie są jak psy, ciągnęła daléj, co gdy widzą, że jeden z nich smaczną kość ogryza, jeżeli mu jéj odebrać nie mogą, to choć przeszkadaćby radzi choć powalać ją... Wszystkim zawadza to, że ja kocham kogoś, że jestem kochaną i że mi z tém było dobrze. Zatruli mi już moje szczęście,—powalali...

Rzuciła okiem na słuchającego Ewarysta.

— Co o mnie mówią jemu tego nie wiem, ale przedemną oplwali biednego chłopca, aby mi go obrzydzić, zrobili go rozpustnikiem, powywlekali historye jakieś brudne o nim...

Słyszałeś i ty pewnie?

Ewaryst głową potrząsł.

— Cóż mi tam? Przeszłość to rzecz zapomniana, utopiona. Co dziwnego, że kochając serca znajdował plugawe? Nie miał doświadczenia, nie znał ludzi... Napił się może z kałuży! ale co mi tam...

— Nie śmiem ci powiedziéć moja Zofio, odparł idący za nią Chorążyc, że i ty możesz być w tym przypadku. Ja ci go obrzydzać nie chcę, ale nie znajduję, aby był godnym téj wielkiéj miłości, którą masz dla niego.

— Dla czego? zapytała Zonia.

— Bo ani umysłem, ani sercem nie dorósł ciebie rzekł Chorążyc. Znam go, jest to płochy chłopak, w którym serce na chwilę bije mocno, ale oprócz uczucia, w którego rozbiór ja wchodzić nie myślę, nie ma tam nic!

— Alboż się kocha dla czegoś i za coś? odparła Zonia, kocha się, bo się musi, widzi się głupotę własną, i to nic nie pomaga...

Powiedziała to smutno, Ewarysta pocieszyło niemal jéj strapienie, było ono znakiem jakiegoś rozmysłu, przepowiednią zwrotu. Sam smutek mówił już wiele... Wahała się, a miłość, która się waha, blizką jest ostygnięcia. Sądził, że najlepiéj ją będzie zostawić samą sobie. Przeszedłszy kilkadziesiąt kroków aż ku dworkowi Sałhanowéj, w milczeniu mało znaczącemi przerywaném pół słówkami, u wrot jego prawie pożegnał się z Zonią, która doszedłszy już tu, po rozstaniu z nim, zadumała się u wnijścia długo, papiérosy swe i książki oddała stojącéj tu staréj Agafii, a sama poszła żywo w drugą stronę. Ewaryst byłby poprzysiągł, że szukała tego nieszczęśliwego Zorjana, o którym myślała ciągle.

Naprzeciwko mieszkania zajmowanego przez Mistrza, był dom oddawna już nie najmowany, chociaż gospodarz, bogaty kupiec, świeżo go kazał odświeżyć, pomalować i starą a dosyć niepokaźną budowę uczynił wygodniejszą niż była za młodu. Obyczajem wszystkich właścicieli Jefrem Wasyljew obrachował sobie poniesione na restauracyą wydatki i wymagania jego tak były przesadzone, że długo nikt się do mieszkania na pierwszém i jedynéın piętrze nie zgłaszał. Dół zajmował Wasiljew z liczną rodziną, a że był zamożnym i rachować umiał dobrze, wolał pustką widzieć kamieniczkę niżeli ją tanim najmem skompromitować.

Jednego dnia przecież goście Jewłaszewskiego, którzy często przez okna wyglądali, dostrzegli, że naprzeciw zawieszono firanki i pewien ruch dał się widzieć u Wasyljewa.

— Otóż Jefrem przecie znalazł kogoś co mu dał ile zaśpiewał! odezwał się jeden z akademików, spoglądając naprzeciwko.

Jewłaszewski, który o prozaicznych przedmiotach, o życiu powszedniém i drobnostkach jego nierad był mówić, bo dla nich największą okazywał pogardę, tym razem mruknął.

— Mówili, że tam jakaś jejmość, bogata wdowa z Moskwy, czy nie wiem zkąd przybyła, dała się Jefremowi obałamucić.

— Bogata! wdowa! przerwał śmiejąc się Zyżycki, a! w to nam graj! może jeszcze młoda i przystojna! ho! ho!

Mistrz ruszył pogardliwie ramionami, niewiele go to zdawało się obchodzić.

Ciekawa młodzież mając z okien mistrza tak doskonałe stanowisko do obserwacyi a wiedząc, że za firankami kryła się istota płci żeńskiéj, o któréj fama chodziła, że jest wyposażoną obficie, nie zchodziła prawie z czatów.

Zyżycki, który był próżniak i lubił się lada czém rozrywać, szczególniejszą zwrócił baczność na lokatorkę Jefrema Wasyljewa. Niedosyć mu było czatować w oknie, przypatrywać się z ulicy azali czego nie ujrzy dającego wnioskować, czy gra warta była świeczki, poszedł do Wasyljewa, u którego brał herbatę i sardynki i miał z nim pewien rodzaj znajomości.

Jefrem był opasły, na pozór dobroduszny, śmiejący się, połyskujący z dobrego bytu, rumiany jak burak człowieczyna, który powszednim ludziom mógł się wydawać niezmiernie prostym burłakiem, ale w istocie był najprzebieglejszym z ludzi.

Niewiele widząc i umiejąc, bo był wychowańcem natury i własnéj pracy, Wasyljew miał ten przedziwny instynkt ludzi zmuszonych żyć w społeczeństwie nad nich wykształceńszém, obawiał się

wszystkich, nie ufał nikomu, uważał w ogóle świat za nieprzyjaciela i chytrzył...

Dosyć było od niego zażądać się czegoś dowiedziéć, aby obudzić jego podejrzenie. Nikt nigdy nie dobył nic z niego, ale nie dał poznać po sobie téj przebiegłości, owszem udawał prawdomówcę i prostaka. Każdy odchodził od niego pewien, że dobył z Jefrema co chciał, on potém śmiał się w kułak za odchodzącym.

Zyżycki zagadał naprzód o ćwierci funta herbaty, któréj miał potrzebować, potém o ostatniém pudełku sardynek, jakie ztąd wyniósł, nareście dodał.

— A no, powinszować kupcowi, wszak to pierwsze piętro najęte!..

Wasyljew się w kark poskrobał i ręką machnął.

— Cóż! dobrze? spytał Zyżycki.

— A! co za dobrze! z biedy! trzeba było... Co robić, zamruczał Jefrem.

— A komuż najęliście!

Jefrem ramionami poruszył.

— Albo ja wiem! odparł obojętnie.

Zyżycki dorzucił.

— Urzędnikowi? co?

— I! nie... jakaś baba...

Niechętnie mówił.

— Stara, młoda? z dziećmi? pytał akademik.

Ciekawość ta i chęć mieszania się w cudze sprawy nie podobała się kupcowi, zagadał coś żywo do prykaszczyka, nie dosłyszał niby pytania. Zyżycki stał na próżno, odpowiedzi nie było.

Jefrem niby o niéj zapomniał. Powtarzać pytania nie wypadało, kupiec ręce włożył w aksamitne szarawary i stał patrząc w świat, jakby o lokatorce mowy nigdy nie było.

Tym czasem złożyło się, że ta o którą właśnie dopytywał ciekawy młodzieniec, wracając z miasta wchodziła do kamienicy, Wasyljew nie mógł jéj nie powitać i nie ukłonić się, a Zyżycki nie mógł nie domyśléć się kto była, bo weszła wprost do tego domu.

A że szła powoli, rozpatrując się, Zyżycki doskonale się jéj przypatrzył.

Wiek trudno mu było odgadnąć, gdyż jejmość widocznie była odświeżoną, pomalowaną dosyć jaskrawo, ale, choć z pozoru nadawało jéj to wielką świeżość i blask, budziło podejrzenia. Rysy twarzyczki nadzwyczaj regularne, niegdyś musiały być bardzo piękne, były niemi jeszcze, szczególniéj oczy czarne i usteczka bardzo maleńkie.

Chód, ubranie, pewna wymuszoność w całéj postawie, ruchach, uśmiechach zdawały się w téj pani chętką okazania się daleko dystyngowańszą niż w istocie była. Mówiła coś, że mogła być prostą bardzo kobieciną, któréj los a raczéj piękność dały niespodziane stanowisko w świecie, kłopotliwe i utrudzające. Można było przysiądz, że ta sztywna jéjmość, zrzuciwszy bardzo wytworne stroje, nierównie by się czuła swobodniejszą i szczęśliwszą.

Oczy jéj biegały bojaźliwie, jakby się ciągle czegoś lękała... Ubiór jéj grzeszył jaskrawością, błyskotkami i brakiem smaku, ale był za to kosztowny i obrachowany tak, aby się nim wydawał. Przechodząc pani ta rzuciła trwożliwém okiem na studenta, uśmiechnęła się kupcowi i wbiegła co najprędzéj do domu, jakby jéj pilno ukryć się było.

— E! e! panie Wasyljew, wasza lokatorka—krasawica! zawołał Zyżycki.

Jefrem ruszył ramionami.

— A cóż? nie?

— Alboż mówię, nie? odparł kupiec. A! no! krasawica!

— Wdowa czy zamężna? zapytał akademik.

— Ej! ej! począł kupiec, albo to do mnie należy! Co ja miałem o to pytać!!

Ponieważ widocznie unikający dłuższéj rozprawy w tym przedmiocie Wasyljew zwrócił się z wymówkami do Prykaszczyka, Zyżycki był zmuszony ze szczupłą odciągnąć zdobyczą. Zaniósł tego dnia na górę wiadomość, że wdowa czy téż Bóg ją wié kto była kobiétą niestarą i wcale jeszcze nieszpetną.

Z okna dało się wyszpiegować, że dzieci u niéj nie było, pokazywała się stara służąca z głową chustką zawiązaną, młoda służąca bez chustki, obie mocno brzydkie, i chłopiec ubrany czysto, ale nie wytwornie; wdowa, bo wszyscy byli pewni, że nią była, nie unikała zbytecznie okazywania się w oknie. I owszem wychylała się niby dla spoglądania na ulicę, a można było posądzić, że téż trochę dla pokazania się, ciągle bardzo wystrojona i obwieszona klejnotami. Czasem przechadzała się tak wewnątrz domu, że ją mogli ciekawi postrzegacze oglądać. Nie zdawała się mieć żadnego zajęcia, a włóczkowa robota, którą czasem trzymała w ręku, była jakby dla okazu chwyconą, nie siadywała nad nią.

Jakim sposobem owa obca zupełnie tu lokatorka znalazła znajomych, nikt nie wiedział. Zaczęli tu powoli jakoś uczęszczać urzędnicy, biurokracya, mieszczanie, ludzie średniego stanu. Widywano ich tam wieczorami pijących herbatę, przechadzających się, grających wista, przyjmowanych wieczerzą.

Z drugiego piętra od Jewłaszewskiego wzrok łatwo w głąb' sięgał na pierwsze i, jeżeli story nie były pozapuszczane, salon nieznajoméj był jak na dłoni.

Jewłaszewski jakoś właśnie o tym czasie, nie wiadomo z jakiego powodu, zrobił się zamyślony, smutny i niespokojny.

Stał się nierównie nawet obojętniejszym w propagandzie swoich idei. Był jakby chory i znużony, gitara spoczywała, piosnki od niego nie można było posłyszéć. Mniéj daleko niż dawniéj uczęszczał do pani Heljodory na herbaty, częściéj się zasiadywał w domu. Ci, co go znali dawniéj i widywali w przystępach twórczości, utrzymywali, że musiał nad nowém dziełem pracować. Pytany o to nawiasowo Wańka, ruszał ramionami, śmiał się i mówił.

— E! kudyż!

Drudzy, uczniowie medycyny, wnosili z żółtéj cery, iż cierpiał na wątrobę i to go po troszę czyniło tetrykiem.

Heljodora, któréj był potrzebnym dla nadania powagi jéj salonikowi a może i jéj saméj, gniewała się prawie za te oznaki zobojętnienia, przypisując zły humor Mistrza, Zoni, która go nie tak przyjmowała jak dawniéj.

Wdowa miała obyczaj otwartego wygadywania się z myślami, nie ukrywała więc ich i przed Jewłaszewskim, chciała go wyciągnąć na otwarte tłómaczenie, nie szczędziła wyzywań, ale Mistrz a ojciec, milczał.

Frasunek, strapienie widać było na pomarszczonêm czole, cierpiał widocznie, a mówić nie chciał.

Wszyscy jego uczniowie i przyjaciele tym stanem ducha byli zaniepokojeni.

Zdało się jakby nagle zwątpił o sobie. Najgorsza polemika w kwestyach żywotnych, które dawniéj go poruszały żywo i wywoływały wybuchy, teraz znajdowała go zimnym.

Rzucił czasem jakie słowo jakby dla pozbycia się natrętów i chodził zasępiony po pokoju. Kilka razy nie zastano go w domu wieczorem, i nie wiedziéć gdzie go było szukać.

O tém mógł jeden tylko coś powiedziéć Jefrem Wasyljew, który wiedział, bo on wszystko musiał zawsze podpatrzéć, jak jednego wieczora poważnym ale mimo to, jakimś wahającym się krokiem, Jewłaszewski wsunął się do jego kamienicy i poszedł wprost na górę do drzwi owéj nieznajoméj nikomu lokatorki.

Tu, jakby się wahał czy mu wnijść czy nie, długo stał cicho, Jewłaszewski; naostatek na odwagę się zebrawszy wkroczył wprost do izby gościnnéj, w któréj owa bielona i różowana osóbka siedziała.

Wieczór był, ale jeszcze jasny, i przez okna wpadł jaskrawy blask zachodu.

Gdy Jewłaszewski wkroczył, gospodyni zwróciła na niego oczy. Nie mówiąc ani słowa, Mistrz stanął, wlepił w nią wejrzenie, spuścił ręce i patrzał.

Ona też zdziwiona w początku spoglądała nań, potém zaczęła się mięszać, na ostatek krzyknęła—Anuszka! ratuj! i upadła zemdlona.

Na wołanie to wbiegła stara sługa, plaszcząc w dłonie i zawodząc, Jewłaszewski się z miejsca nie ruszał.

Za starą natychmiast zjawiła się młoda sługa z krzykiem.. Zaczęto cucić omdlałą, która już przychodząc kilkakroć do siebie, co zobaczyła Jewłaszewskiego to oczy zakrywając rękami mdlała na nowo.

Trwało tak może z pół godziny, a Mistrz nie ustępował, kobiéty służące nadaremnie się go pozbyć usiłowały, mruczał, że z panią Eudoksją Filipówną mówić musi. Uspokoiła się ona wreście, chociaż wciąż jeszcze płakała i łkanie konwulsyjne wyrywało się jéj z piersi.

Anuszka z towarzyszką wyszły, bo im dała znak, aby ją zostawiły samę, zdaje się jednak, że dla bezpieczeństwa pozostały pode-drzwiami, bo późniéj się ta cała scena rozgłosiła tak, że coś o niéj nawet wiedział nazajutrz Wasyljew, ale nie mówił żywéj duszy, na Jewłaszewskiego tylko patrzał z ukosa bardzo i gębę krzywiąc.

Po wyjściu kobiét długo jeszcze mówić nie mógł począć Jewłaszewski, bo Eudoksia co spojrzała nań, to zasłoniła twarz rękami i zachodziła się z płaczu.

On czekał.

— No cóż, Eudoszka! odezwał się nareście, nie chcesz ty mnie znać?..

Nie było odpowiedzi, płacz tylko.

— Ja was nie znam! nie znam! tak jak wy mnie nie znali! odezwała się naostatek kobiéta z za łez. Ja was znać i wiedziéć o was nie chcę...

— To ja winien! przerwał Jewłaszewski.

— A któż? a kto? odpowiedziała ledwie dosłyszanym głosem kobiéta.

Przez czas jakiś płakała znowu, Jewłaszewski nie ustępował.

— Darmo ty się będziesz mnie zapierała, począł zwolna, widząc, że łez i łkania nie przeczeka, darmo Eudoszka, prawda musi zawsze wyjść na wierzch. Byłaś ty moją żoną, kto z nas winien, nie chcę

ja sądzić, ty czy ja czy oboje, a ot, co wyszło z tego. Lat minęło dosyć, Eudoszka, ja taki jaki byłem goły, a tyś wyszła na panią. Ja się nie żeniłem, bo o tobie pamiętałem, a ty żyłaś z drugim, jakiém prawem? Ty byłaś moją i nie przestałaś moją być.

— Nie! nie! poczęła wołać kobiéta, niech pan Bóg sądzi, niech ludzie sądzą, ja nie winna. Ja do ciebie nic nie chcę mieć, ty do mnie nie miéj téż, jak mnie porzuciłeś wówczas, tak niech zostanie na wieki.

— Héj! héj! odezwał się zimno Jewłaszewski, to darmo, bo tak nie może być. Ty byłaś moją i moją musisz być. Już ja nie pytam o to co się z tobą działo, ale przeznaczenie cię tu przyniosło... to darmo, ty mi się już nie wymkniesz!

Eudoksia Filipówna, która płakała ciągle, nagle jak zrozpaczona porwała się i podbiegła z rękami podniesionemi do stojącego uparcie Jewłaszewskiego.

— Niechaj dzieje się co chce! niech mnie biorą i krzyżują i biczują i kaźnią i sadzą do więzienia, ja ciebie nie chcę znać i nie będę...

— A to, zobaczymy! odezwał się chłodno Jewłaszewski.

— O! ja wiem! wołała kobiéta ręce łamiąc, gdybym ja tu była przyszła jak odeszłam w jednéj koszuli, bez kopiejki przy duszy, ty byś mnie ani znał, ani się o mnie upominał, ależ ty na moję biedną chudobę łokomy! Ja ciebie znam! ja się tobą brzydzę jak przeklętym szatanem. Gdy wspomnę życie moje, młodość moję, a com ja ucierpiała z tobą, gotowam dziś w Dniepr na dno prędzéj niż znowu z tobą zacząć na nowo te męki.

Jewłaszewski się nie bronił, ustami poruszał, ramionami wstrząsał, czekał aż sroga burza przeminie, kobiéta ciągle łzami się zalewała.

— Jak sobie chcesz Eudoksia Filipówna zawołał po długim przestanku, wola twoja. Zamelduję do urzędu, że jesteś żoną moją, która zbiegła przed laty i przepadła jak kamień w wodę, niechaj wyprowadzą śledztwo, ja przysięgnę, ty nie możesz duszy gubić. A przysiężesz to świadków znajdę.

Będziesz musiała odpowiadać z kim to ty żyła, gdzie, zkąd tobie przyszło to co masz. Zobaczymy!

Przeszedł się po pokoju.

— To darmo, Eudoksia, ja nie podaruję swojego, a ty mi nie ucieczesz. A chcesz pogadać w dobry sposób, poradzić się, położyć, poprobujmy.

Biedna kobiéta nie wiedząc co począć ręce łamała z rozpaczy, kobiéty stojące pod drzwiami, przerażone, wszystkich świętych znanych sobie na ratunek pani wywoływały.

Przychodziło im na myśl pobiedz do policyi i dać znać o napaści, ale lękały się, nie wiedząc o co chodziło, aby gorszéj nie nawarzyć kaszy.

Przycichać jakoś w końcu zaczęło i rozmowa, przerywana czasem tylko płaczem tłumionym, dochodziła ich uszów. Bardzo nie prędko, bo już nocą wyszedł nareście Jewłaszewski i pani zawołała Anuszki swéj, która ją znalazła straszliwie zmienioną, z twarzą łzami wymytą zbielidła i barwiczki, na pół omdlałą, nie mogącą przemówić słowa, nie chcącą wytłómaczyć nic, narzekającą tylko, że ją Bóg ukarał srodze.

Ponieważ nie miała w nikim zaufania wdowa, a sama ona i jéj kobiéty koniecznie kogoś na radę i ratunek wezwać chciały, zwołano Wasyljewa, wydającego się dobrym i litościwym człowiekiem. Kupiec poszedł na górę chętnie, ale w początku lokatorka nie miała odwagi powiedziéć mu prawdy całéj.

— Młodą, prostą, kozaczą dziewczyną, dla krasy mnie ten człowiek zaślubił, przyznała ze łzami Eudoksia, byłam dzieckiem gdy się to stało, a nie rozumiałam nic tylko, że panią będę, bo Jewłaszewski miał kawał ziemi, a kto wiedział co ona była warta. Jemu wprędce sprzykrzyła się i wieś i żona. Chciał daléj w świat, wypominając mi, że ja mu byłam kulą u nogi, kamieniem u szyi.

O! że ja tam duszy nie wypłakałam, że nie umarłam, że nie poszłam się utopić, Bóg tylko łaskawy ratował.

Nie chciał mnie znać za żonę, wypominał, że ślub był zły, że my lat nie mieliśmy, że i świadków i zapisu nie było. Pędził mnie z domu aż wygnał.

Poszłam ja ze łzami, sama nie wiedząc dokąd, bo już rodziców nie było, a braciom się pokazać srom miałam. Z węzełkiem biednym powędrowałam do miasta, gdzie? po co? na służbę! Znalazłam dobrych ludzi co mnie przyjęli, a potém poczciwego co jak żonę mnie wziął i trzymał i szanował i kochał, a umiérając mi co miał zostawił, Wasyljew słuchając opowiadania głową kręcił i dawał do zrozumienia, że sprawa zła była.

— Nie chcecie z nim żyć? rzekł w końcu, na to rady innéj nie ma, okupić mu się trzeba. Gębę mu zatkać.

Ale i on pewno niegłupi, kiedy może mieć wszystko, jakby chciał odrobiną się zaspokoić! Trudna sprawa!

Po cichéj naradzie, w ciągu któréj kupiec się od wylękłéj kobiéty dowiedział co miała, bo mu ze strachu spowiadała się ze wszystkiego, poszedł rano Wasyljew w poselstwie do Jewłaszewskiego. Zaledwie mógł zagaić gdy ten mu odparł.

— Po co wy, Jefremie Polykarpiczu, mieszacie się w nie swoje sprawy! Palca między drzwi kłaść nie trzeba. To domowa rzecz, dajcie mi z nią uporać się samemu.

Z tém go odprawił. Do wieczora dał folgę Eudoksyi i czas do namysłu. Wieczorem nie przyjmowano nikogo, poszedł on na rozmowę i siedział do późna, a gdy wychodził, ci co go po drodze najrzeli powiadali, że posępną miał twarz i brwi ściągnięte. Całą noc kobiéty około Eudoksii spędzić musiały, bo na serce chorowała z płaczu i smutku. Usnęła dopiéro nad ranem, nie wychodziła z domu, nie jadła prawie, posłała świcce do cudownych obrazów, i tak przetrwała do wieczora. Nadszedł znowu nieubłagany prześladowca, ale kobiéty mówiły, że łagodniejszym się okazywał i dobremi słowy starał się płaczącą i narzekającą uspokoić.

Przybywał i dni następnych, a Eudoksia powoli przychodzić zaczęła do siebie, czego pierwszym znakiem było, że twarz pomalowała i suknie wdziała paradne, pierścionki i klejnoty, Jewłaszewski pił już u niéj herbatę i gadali z sobą po cichu.

Tylko gdy wyszedł od niéj, wzdychała ciężko, a nocami jeszcze popłakiwała. Wasyljew choć się usunął od téj sprawy utrzymywał, że się ona skończy zgodą. Mrugał jedném okiem, śmiał się i Anuszce szeptał. A no jeszcze i chrzciny mogą z tego być!!

Stara go uderzała po ramieniu nie chcąc słuchać.

Tymczasem przyjaciele Mistrza nie wiedzieli nic, prócz, że zaszła w nim niepojęta, niewytłómaczona zmiana.

Nie poznawano tego apostoła gorliwego, teraz pogrążonego w milczeniu, posępnego, zobojętniałego na wszystko.

Stopniami przestał bywać u pani Heljodory, a nawet i u siebie przyjmować. Nie zastawano go prawie nigdy w domu wieczorami, a Wańka, choć z miny mu znać było, że coś wiedział, zaklinał się, że o niczém wcale nie wié i nie zna...

Metamorfoza ta ogromne uczyniła wrażenie na adeptach mistrza, szukano jéj przyczyn nadaremnie, a tym czasem grono, któremu przewodniczył, zaczęło się zwolna rozpierzchać.

Nikt nie mógł go zastąpić. Pragnącym wiedzy i jakiegoś postępu, który lepiéj nazwać było potrzeba poskokiem, potrzebującym wodza do walki z ciemnotą i barbarzyństwem, jak się wyrażali, jakby z nieba spadł naówczas przybywający się tu doktoryzować, uczeń uniwersytetu w Bonn, niejaki Euzebiusz Komnacki, który już stopień Magistra filozofii w Niemczech był uzyskał.

Rodem z okolic Kijowa, pan Euzebjusz znany tu był w młodości, a sława nadzwyczajnéj nauki wyprzedziła go do Kijowa. Młodzież wyobrażała sobie naturalnie, iż przyniesie jéj z sobą światło

najczystsze, u zachodniego zaczerpnięte ogniska, najświeższe wypadki nauki, badań, filozofii i teoryi społecznych.

Jewłaszewskiego już zobojętniałego, wieść o tym przybywającym współzawodniku dotknęła dosyć żywo... Podrażniona miłość własna nie dała mu cofnąć się z placu boju bez okazania się na nim przynajmniéj.

Mówiliśmy jak był zawsze ostrożnym w wypowiadaniu cząstkowém teoryj swoich i pomysłów; choć go nauka istotna trwożyła trochę i próba jaką miał przebyć miłą nie była, musiał dla czci swéj, spojrzéć w oczy p. Euzebiuszowi. Zapowiedziano mu już zawczasu nietylko jego przybycie, ale niezmierną chęć poznania tego luminarza, jakim głoszono Jewłaszewskiego.

— A! zobaczymy, zobaczymy! co to nam tu ten młokos przywiezie osobliwego z zagranic, odzywał się z zawczesnym przekąsem, bardzo rad będę ujrzéć, posłyszéć, uczyć się...

Z udaną pokorą wyczekiwał na gościa. Unikać go, uciekać od niego, byłoby uznać się bez walki zwyciężonym.

Zawczasu zdania były podzielone, jedni utrzymywali, że Mistrz wyjdzie zwycięzko, drudzy objawili pewną milczącą dwuznaczną obawę. Niektórzy zapowiadali nieprawdopodobną rzecz w młodzieńcu wprost przybywającym z zachodu, zacofanie.

— Nie potrzeba mówić sobie, dodawał Mistrz, że tam już cała mądrość. Latyńskie rasy się przeżyły, Niemcy miewają bziki, a na Słowian przypadł czas odrodzenia myślą nową strupieszałego świata! To moje najmocniejsze przekonanie!

W ten sposób obwarowawszy się na wszelki wypadek, aby gdyby został pobitym, nie uznać się za zwyciężonego, Jewłaszewski czekał.

Euzebjusz przybył nareście, niektórzy widzieli go już i mówili o nim tylko—zobaczycie. Jedni z pierwszych, którym dano było się z nim spotkać, był Ewaryst, którego rodzice z Komnackiego familią w blizkich byli stosunkach...

Na piérwszy rzut oka młody filozof wcale nie był imponującym. Średniego zaledwie wzrostu, fiziognomii nic nie mówiącéj, milczący, skromny, potulny, nie popisujący się z niczém, czynił wrażenie człowieka niewielkich zdolności. Był to jednak pozór łudzący, p. Euzebjusz niełatwo dający coś dobyć z siebie gdy został powołanym do wypowiedzenia zdania, zmieniał się zupełnie, nabiérał powagi, rozwijał niepospolity dar słowa, wychodził z powszedniego swojego stanu, przybiérając ton człowieka tak pewnego siebie i tego co głosi, że nikt mu dotrzymać nie mógł.

Miał naukę istotną, gruntowną i rozległą, na pewnych opartą posadach i w pierwszéj rozmowie z Ewarystem dał mu poznać jak daleko był od radykalizmów naukowych i społecznych. Sceptyk trochę w wielu przedmiotach, przez to samo rewolucyjnego nie miał ducha, bo do burzenia potrzeba zapału i wiary, trzeba szaleństwa pewnego, a sceptycyzm naukowy woli kroczyć powoli, bo w skutek pochodu swojego nie ufa.

Nazwaliśmy to sceptycyzmem naukowym, coby raczéj miarą i wiedzą granic rozumu nazwać należało. W nim wątpliwość w rzeczach wielu łączyła się z niewzruszoną wiarą w metodę badania i istotne nauki zdobycze.

Spotkanie się z sobą dwóch owych znakomitości, zapowiadane ciągle i z dnia na dzień odkładane, gdyż Jewłaszewski, jak gdyby go chciał uniknąć lub spodziewał się jakiéj przeszkody uwalniającéj, zwłóczył ciągle z niém; miało zrazu przyjść do skutku w mieszkaniu Mistrza. Dogadzało to jego próżności, że nowoprzybyły miał mu piérwszy oddać uszanowanie, przeciwko czemu p. Euzebjusz nic a nic nie miał; bo ani dumy, ani ceremonialności nie było w nim najmniejszéj.

Tymczasem dowiedziała się o tém pani Heljodora i całą swą strategią wymierzyła przeciwko projektowi, dowodząc, że powinni byli zetknąć się niby przypadkiem na gruncie neutralném. Szło jéj o to, aby była świadkiem tryumfu a bodaj już tylko walki i by o nich późniéj opowiadać *de visu et auditu*. Młodzież swą podkomendną wyprawiła na wszystkie strony z takiém naleganiem, sama napadła o to tak gwałtownie Zyżyckiego i Mistrza, że się jéj oprzéć nie mogli.

Zyżycki pół żartem jéj odparł z początku.

— Ale bo to, widzi pani, wiadoma rzecz, przyjdzie do jakich rozpraw naukowych, to trzeba zupełnéj swobody słowa, a przy kobiétach zawsze się człowiek za język kąsać musi.

— A cóż to, my, proste jakieś bigotki, fanatyczki, skromnisie, które lada słowo rumieni! Przecież waćpan wiesz, żeśmy bez tych głupich przesądów i że przy nas wszystko mówić można.

Koniec końcem postanowiono którego wieczora miał p. Euzebjusz przyjść do Heljodory, do któréj i Jewłaszewski się obiecał.

Zonia, choć teraz mocno zajęta sobą, smutna i podrażniona, bardzo chciała widziéć przybysza i być przytomną owéj naukowéj szermierce.

Zbiérając się na nią, nikt tylko o tém nie pomyślał, jak i kto zagai rzecz i wyprowadzi na stół. Nie znano p. Euzebjusza, który sam więcéj unikał rozpraw diletanckich o naukowych przedmiotach,

niż je wywoływał. Za niego ręczyć było można, iż gotów o pogodzie, o ulicy, o lada fraszce mówić wieczór cały, niżby miał w niepoświęconém miejscu wyrwać się z kwestyą naukową.

Jewłaszewskiemu też polemika była nie na rękę, nie był do niéj usposobiony teraz, obawiał się pedanta to jest człowieka z logiką i systemem mówiącego o rzeczy głębiéj zbadanéj; i on więc nie był skłonnym do zaczepki.

Euzebjusz nie chcąc być zupełnie sam wśród obcych, trochę znajomego Ewarysta z sobą pociągnął, który rad był, przy téj zręczności Zonię choć z daleka zobaczyć.

Pani Heljodora, objawiająca przy każdéj zręczności swą wzgardę dla form wszelkich towarzyskich, do elegancyi, do występów, jednakże tego wieczora porobiła pewne mało znaczne ustępstwa, aby się zbyt parafiańsko nie wydać gościowi.

Zwykle występowała w sukni dosyć przeszarzanéj a niedbale zapiętéj pod szyją, a często bez kołnierzyka czystego i rękawków. Tego dnia suknię włożyła nowszą i śnieżnéj białości manszetki. W izbie umieciono starannie i niezliczone resztki papiérosów wyrzucono do komina zastawionego parawanikiem. Stara Agafia zastosowała się do instrukcyi i włożyła chustkę świeżą, a suknię jedwabną. Do herbaty przysposobiono wymyślniejszą przekąskę.

Jedna tylko Zonia nie chciała się ubrać inaczéj tylko jak na codzień.

Z gabinetu przytykającego, zawsze zarzuconego gratami, wyniesiono kompromitujące rupiecie do sypialni, aby nim zwiększyć miejsce, przyłączając go do salonu.

Daleko jeszcze było do wieczora, a dzień niesłychanie upalny i gorący dokuczał, gdy już Heljodora z papiérosem chodziła niespokojnie po swoim saloniku, mającym być wkrótce teatrem walki.

Nikt jednak nie przychodził i zmierzchać zaczęło, gdy pierwsi panowie akademicy, co najmłodsi i najniecierpliwsi ściągać się zaczęli. Przybywali bardzo powoli i właśnie ci, o których gospodyni jak najmniéj chodziło.

Zonia wyszła nieprędko zadumana, blada, milcząca, z minką pogardliwą i roztargnioną. Na kilka pytań jéj zadanych ledwie pół słowami raczyła odpowiedziéć.

Gdy nadszedł Zorjan, którego gospodyni przyjęła bardzo zimno, we dwoje z nim zaczęli chodzić, szepcząc po salce.

Szeliga pokornie kroczył za Zonią, która się z nim obchodziła jak z niewolnikiem, ale razem okazywała mu poufałość taką, że nawet Heljodora ramionami ruszała.

— Bo już za oczami róbcie sobie co chcecie, powiedziała zniecierpliwiona na ucho swéj towarzyszce, ale przy ludziach trzeba się zachować skromniéj.

— A mnie co ludzie obchodzą? odpowiedziała krótko i ostro Zonia.

Było już kilku młodzieży, gdy Ewaryst wprowadził p. Euzebjusza. Choć go tu już opisywano jako niepozornego wcale, pani Heljodora nie mogła ukryć zdumienia zobaczywszy niepoczesną, skromną figurkę, wszelkiéj mistrzowskiéj pozbawioną powagi.

Chwyciła go zaraz sobie do rozmowy i jeszcze bardziéj się zdumiała, słysząc go jąkającego się i mówiącego tak proste rzeczy w sposób tak pospolity, iżby go nawet o żadną uczoność posądzić nie można.

Zobaczywszy wchodzącego Ewarysta, nieszczęśliwy Zorjan stchórzył i zdezerterował od Zoni. Ta zrozumiawszy łatwo powód ucieczki, sama go dognała i dała mu natychmiast naukę, że chce i rozkazuje, aby wcale na Dorohuba nie zważał i na krok się od niéj nie oddalał.

Pieszczone chłopię było wyraźnie na mękach. W chwili gdy Ewaryst przyszedł się z kuzynką przywitać, Zorjan powtórnie probował się wymknąć, ale Zonia głośno mu powiedziała.

— Czegóż pan uciekasz? Stój pan i nie odchodź.

Szeliga pozostał niemy i jak wkuty.

Mówiono przy kanapie i dokoła stołu o wszystkiém co na myśl przyszło, o profesorach, o materjalnych warunkach pobytu w Kijowie, o niektórych wykładach, o doktoryzacyi, którą p. Euzebjusz miał tu odbywać, ale kwestyj tak upragnionych naukowych i społecznych nie poruszył nikt. Czekano na Mistrza.

Parę razy, któryś z młodzieży z przełaju coś rzucił na stół, nikt tego nie podniósł. P. Euzebjusz opowiadał gospodyni o pięknych brzegach Renu, a studentom o pielgrzymkach ich kolegów niemieckich po nad niemi.

Po kilkakrotnych zapytaniach na migi uczynionych przez starą Agafię względem roznoszenia herbaty, na ostatek Heljodora dała znak przyzwalający i miano ją roznosić, gdy Mistrz ze swym sztabem, złożonym z kilku adeptów najśmielszych ukazał się nareście w progu. Wszystkich oczy zwróciły się na niego, blady był, wejrzenie miał jeszcze błędniejsze i staranniéj kryjące się niż zwykle, ale ubiór jego trochę staranniejszy, dawał poznać, że myślał jak się tu pokaże.

Heljodora miała przygotowany frazes przy przedstawieniu dwóch mężów wzajemném. Poczęła od młodszego, a potém dodała:

— Pan Jewłaszewski, naszéj młodzieży mistrz i ukochany ojciec, nasz luminarz, o którym niepodobna, abyś pan nie słyszał, bo sława jego daleko sięga po za nasze kresy.

Euzebjusz witał go z pewnym respektem, tłumiąc mały uśmieszek, a Jewłaszewski coś burczał pod nosem, niezupełnie będąc rad z takiego zaprezentowania.

Piérwsza chwila zakłopotania przeszła w milczeniu.

Młodzież kołem wielkiém otoczyła tych panów, oczekując na ich starcie z sobą. Jewłaszewski zaś parę frazesów rzuciwszy wnet zamilkł. P. Euzebjusz zmierzył go oczyma raz i drugi i daléj coś mówił z gospodynią.

Podawano herbatę.

Słuchacze przybyli, aby być świadkami starcia, gorąca młodzież wyczekiwała niecierpliwie napróżno.

— Ale, słuchajno, Zyżycki, odezwał się jeden po cichu, pókiż to tego będzie? trzeba im koniecznie kość rzucić aby się pogryźli... Jewłaszewski mruk jest dopóki potu nie poczuje. Nie ma rady, trzeba, aby jeden z nas podniósł jaką kwestyą...

Zgadzali się na to wszyscy, i młody Helmer, z nazwiska niby Niemiec, ale z rodu i charakteru Chochoł czystéj krwi, przystąpiwszy do stolika, począł p. Euzebjuszowi wykładać najnowszą teoryą społeczną wedle ewangelii Jewłaszewskiego, ciągle się odnosząc do niego. Nastawał szczególniéj na starosłowiańskie jakoby wydobyte z mroków przeszłości prawa i zwyczaje nowéj organizacyi gmin i podziału własności i t. p.

P. Euzebjusz słuchał bardzo cierpliwie, niekiedy nawet trochę już jąkającemu się Helmerowi podpowiadając z Haxthauzena.

Gdy wykładający dokończył stało się milczenie, Komnacki patrzał wprost pod stół, zdawał się namyślać.

— To nie są wcale rzeczy nowe, rzekł w końcu, wszystkie społeczeństwa od takich organizmów zaczynały i przez nie przeszły, ale żeby do nich powracać drogą rozumowania i teoryi, byłoby to dobrowolnie cofać się nazad ku barbarzyństwu.

Jewłaszewski słuchając zarumienił się nieco.

— Wyznasz pan, rzekł sucho i aforystycznie, że dzisiejsze stosunki społeczne w Europie nie są wcale ideałem, i że z pomocą téj niby cywilizacyi, która się przeżyła, doszedłszy do takich rezultatów, ludzkość ma prawo czegoś lepszego szukać na innéj drodze.

— Ludzkość ma zawsze prawo szukać polepszenia swojego bytu, odparł Euzebjusz, to jéj ziemskie zadanie, lecz po drogach już ubitych i zbadanych nie ma po co chodzić raz wtóry.

— Właśnie pytanie czy to są drogi już zbadane, rzekł Jewłaszewski... Każdy naród ma swe posłannictwo i we własnéj skarbnicy szukać powinien ziarna, to skarbnica nasza... Ziarno stare może dawniéj zejść nie miało czasu.

— A dla mnie to pytanie, rzekł Euzebjusz, czy ziarno jest nasze. Widzę je wszędzie w pierwotnych organizacyach społeczeństwa jako przygotowawcze i przechodowe.

Jewłaszewski wydął usta mocno, rzucił okiem po swém audytoryum z wyrazem małego szyderstwa i zamilkł.

Zrobiło się cicho.

Ostatnie słowo dawało jakby zwycięztwo przybyszowi, nikt nie miał ochoty się odzywać, gdy w miejscu Helmera, wystąpił drugi młodzieniec z patetyczném dowodzeniem o konieczności reform radykalnych, burzących, aby plac do czynu dla przyszłości oczyścić.

Odwoływał się téż w swych argumentacyach do Jewłaszewskiego, który okazywał znaki zniecierpliwienia i nieukontentowania.

Zaczepiony wprost Euzebjusz, widząc, że idzie o wyznanie wiary, nie wahał się z niém i począł spokojnie bardzo.

— Tak jest! tak jest! potrzeba reform, trzeba ulepszeń, trzeba postępu, ale zarazem jasnego pojęcia jak się on w historyi objawia. Widzimy go czasem następującym po wielkim kataklizmie, burzeniu i niszczeniu, to prawda, lecz daleko dzielniejszy, pewniejszy jest postęp stopniowy, powolny i nie rewolucyjny. Wielkie kataklizmy historyczne zawsze prawie wychodzą na korzyść nie tym co się do ich spełnienia przyczyniali, co je wywołali, ale obcym, świadkom bezczynnym... Instynkt burzenia właściwy jest narodom dziecinnym lub zdziecinniałym.

Jewłaszewski spojrzał po swoich, młodzież osłupiała, zachowała się milcząco, nie odpowiedział nikt bardzo długo.

— A tak! tak! przebąknął Mistrz popiwszy herbatą, powoli noga za nogą, kulejąc za jakie dziesięć pokoleń dojdzie się do tego, że się namaca chorobę, a za drugie dziesięć trochę ją podkuruje..

Rzekł to po cichu z ironią wielką.

— Praca około postępu skalą naszego życia nie powinna się mierzyć, rzekł Euzebjusz. Ludzkość cała, zbiorowy człowiek ma żywot jeden, którego my jesteśmy maleńkiemi czynnikami... Jednostkom może być z tém niewygodnie, ale cóż znaczą jednostki??

Znowu patrzano po sobie, nikt już nie próbował zaczepiać Komnackiego, który pozostał odosobniony, jakby między nim a otaczającymi otwarta wojna wypowiedzianą została.

Jewłaszewski nie wdawał się już w dalszą polemikę, widząc, że krańcowo od siebie teorye jego i przywiezione z zagranicy przez Euzebjusza się różniły.

Sarkastyczny uśmiech błądził po jego wargach.

Ewaryst patrzał jak Zonia w czasie téj krótkiéj wymiany słów, stała wpatrzona i wsłuchana w Euzebjusza, brwi zmarszczywszy; spojrzała potém na Jewłaszewskiego i czekała co daléj nastąpi. Młodzież gorączkowo po kątach się ucierała. Pani Heljodora siedząca przy swym gościu była, jako kobiéta, wyraźnie pod wrażeniem nowości i łatwo można było poznać, że Mistrz stracił wiele w jéj przekonaniu.

Uparte jego milczenie, bądź co bądź, kazało się braku odwagi i wiary w siebie domyślać.

Rozmowa stała się gwarną i rozdzieliła po grupach. Gość zwrócił się na klimat, porównywając ten w którym żył lat kilka z miejscowym. Wpadł na meteorologią, ktoś wtrącił żarcik jakiś i on mu dopomógł wesoło wtórując.

Słowem Mistrzowi wydał się bardzo pospolitym...

Zagadnięty w kątku przez Zyżyckiego Jewłaszewski.

— A cóż, ojcze?

— A co? młokos niedowarzony i pedant! odpowiedział Mistrz, odwracając się. Nie ma z kim gadać!

Zonia, którą jéj wielbiciel zapytał cicho o zdanie, odparła.

— Nie rozumiem go, widzę tylko, że nas z pogardą traktuje i zbywa lada czém... Wyraźnie unika polemiki.

Ścisnęła ramionami...

Wielkie oczekiwania jakiéjś walnéj bitwy musiały się na tym szarmyclu rozbić, bo nikt już nie spodziewał się, aby Jewłaszewski, albo Euzebjusz podniósł rękawicę.

Adepci Mistrza nadto byli przejęci długo ssanemi teoryami jego, aby się łatwo pobić dali i nawrócić, niektórzy jednak z nich chodzili zadumani, przeżuwając słowa Euzebjuszowe...

Zdania były chwiejne i rozdwojone.

Ku końcowi już wieczora, Zonia miała zręczność zbliżyć się do gościa i rzuciła mu kilka pytań w przedmiocie, który ją najbardziéj obchodził, co do praw kobiéty i kwestyi jéj emancypacyi.

Gorąco poczęła na niewolę niewiast utyskiwać, nalegać na potrzebę wyzwolenia, i w końcu tak nacisnęła, dosyć milczącego p. Euzebjusza, że odpowiedziéć jéj musiał.

— To co pani nazywasz kwestyą praw kobiéty, a co nią być mogło w średnich wiekach dziś nie istnieje. Prawie we wszystkich cywilizowanych narodach, kobiéta ma téż same prawa co mężczyzna.

Kwestya cała zamyka się w uzdolnieniu. Jak mężczyźni tak kobiéty nierówno są wyposażeni, nie każda być może panną Herschell, ale każdéj jest to dozwoloném. Kto w sobie czuje siły, odwagę, wytrwałość, czemużby nie miał dobijać się stanowiska, do którego czuje się zdolnym?...

W Ameryce kobiéty zajmują katedry po uniwersytetach... mogą się ich dobić i u nas!

Uśmiechnął się dwuznacznie.

Zbyta w ten sposób Zonia, nie mając się o co z nim sprzeczać zamilkła. Był bardzo grzeczny, i w wyrazach pochlebnych nader, winszował jéj zapału do nauki, o którym już słyszał.

W ogólności nadzieje pokładane na panu Euzebjuszu mocno zawiedzione zostały. Znajdowano go zimnym, unikającym rozmowy seryo, pogardliwym niemało, choć nie chybił nikomu. Młodzież mówiła, że sztywny był i krochmalny. Ci, którzy wyglądali fejerwerku, powiadali, że brakło mu na geniuszu i wymowie... Słowem, jednym można było z tych sądów wnieść, że nie zrobił wrażenia wcale, ale w głębi duszy tych co go słuchali, choć się nie przyznawali do tego, został ślad trwały, materyał bogaty do rozmyślań.

Jewłaszewski, który zawsze prawie każdego wieczora miał choć jednę chwilę „wniebowzięcia,“ natchnienia i zapału, który improwizował coś chaotycznie niezrozumiałego lecz tak zaprawnego, że upajało, tego dnia chodził ostygły i jak nie swój.

Już było po dziesiątéj, gdy na dany przez Euzebjusza znak, Ewaryst poszukał kapelusza, aby się wymknąć z nim razem. Znaczniejsza część zgromadzenia pozostała jeszcze z panią Heljodorą, i dopiéro po wyjściu Komnackiego towarzystwo się ożywiło, wybuchnęły zdania, sądy i przekąsy.

Mistrz ponury, milczał. Gospodyni słuchała nie mówiąc swojego zdania; młodzież zbywała żarcikami.

Oczekiwano długo nim nareście Jewłaszewski przygotowawszy się zawołał z powagą nakazującą.

— Otóż to są owoce zagranicznego wychowania! Młodzież powraca nam obca wszystkiemu co nasze, nie rozumiejąca ani potrzeb, ni tradycyi, z umysłem przykrajanym do niemieckiéj lub francuzkiéj mody, a my w pokorze ducha padamy na twarz przed wielkim geniuszem zachodu!!

Sąd ten, w którym była odrobina prawdy, wydeklamowany pięknie, wywołał ogolne uznanie. Mistrz zwyciężył, otoczono go ze czcią, był rad z siebie i pieczęć tę przyłożywszy do historii pamiętnego wieczoru, natychmiast się oddalił.

Pilno mu było, a prawdę mówiąc Euzebjusz, postęp, nauka mniéj go teraz daleko obchodziły od własnéj sprawy. Biedny człek walczył dotąd z bardzo ciężkiém zadaniem życia ubogiego, podtrzymywanego rozmaitemi zarobkami niewidomemi, zjawienie się téj, która była niegdyś jego żoną, przybywającéj jakby umyślném losu zrządzeniem dla wyzwolenia, stawiło go w położeniu nader wiele dającém do myślenia.

Mógł nagle biorąc tę kobiétę życiem znękaną, zwiędłą i mniéj ponętną niż była kiedykolwiek, uzyskać przez nią niezależność. Tłómaczył się sam przed sobą, że bogactwo było środkiem, który w jego rękach obfite mógł wyrobić owoce... Głodny dostatku pokonał się sofizmatami... Kości były rzucone, postanowił opanować jak swą własność Eudoksyą razem z jéj majątkiem.

Kobiéta przestraszona broniła mu się jak mogła, znając go z przeszłości, wreście zdała się już ulegać i zgadzać na wszystko. Trwoga ją zmogła.

Układano się tym czasem, próbowała jeszcze Eudoksya okupić się od niewoli, Jewłaszewski nie przyjmował żadnéj ofiary, trzymał się prawa.

W Wasyljewie nie znalazłszy doradzcy, kobiéta tak jak ze świecami udawała się do wszystkich świętych i błogosławionych w pieczarach i po cerkwiach, tak myślami szukała między tymi, których poznała w Kijowie człowieka coby ją mógł ze szpon Jewłaszewskiego ocalić.

Przyszłe życie z tym człowiekiem, gdy myślała o niém, wydawało się męczarnią, miała zostać z pani niewolnicą, skazaną na wieczne wypominanie przeszłości, na surowe zamknięcie w domu... Kto wié? na niedostatek może?

Tonący brzytwy się chwyta, chodząc myślami po ludziach, do których listy sobie przywiozła i poznala ich w Kijowie, wpadła na ostatek, na myśl zwierzenia się panu Radzcy Jabłykinowi. Był to człowiek, który niegdyś żył w przyjaźni z przybranym mężem Eudoksyi. Znajomość z nim odnowiona teraz sięgała lat dawnych. Ponieważ Jabłykin rzadko do niéj przychodził, bo był teraz na wysokiém stanowisku i tylko przez pamięć dla przyjaciela jego przyjaciółkę odwiedzał, posłała do niego Anuszkę z zaklęciem, aby przybył na chwilę rozmowy.

Jewłaszewski bywał co wieczora. Radzcę więc w dzień koniecznie proszono.

Człowiek był poważny na oko, w prywatném życiu lubiący wygódki i wesołe towarzystwo, dobrego serca, małéj głowy, a wielkiego poszanowania dla praw i formalności z niemi związanych. Lat

już około sześćdziesięciu, a nierad by je na nim czytano, zawsze wygolony świeżo, dosyć otyły, Radzca stęknął, że musiał wśród dnia na pierwsze piętro się drapać po ociążającém śniadaniu.

Przyjęto go tu ze czcią wielką, posadzono wygodnie, a Eudoksya zaczęła od tego, że padła przed nim na kolana, na cienie nieboszczyka zaklinając, aby ją biedną sierotę ratował.

Łzawe było opowiadanie przeszłości, bolesna spowiedź, bez któréj obejść się nie mogło. Radzca słuchał z uwagą natężoną.

W czasie powieści ruchy rąk tylko oznajmywały, iż stary wątpił, aby Eudoksyą ratować było można.

— Sprawa wasza ciężka bardzo, nie zgryźć jéj jak orzech, ani wyplunąć jak skórynkę chleba... Wszystko zależy od tego człowieka jaki on jest i czy z nim co zrobić można, jak nic, poddać się potrzeba...

— A uciekać za kraj świata! uciekać! zawołała Eudoksya.

— Zapewne, rzekł Radzca, gdyby można, czemu nie? Myślicie, że on lapę zagiąwszy na was już nie pilnuje noc i dzień? albo gonić nie będzie? A nuż listy gończe pójdą, a pochwycą gdzie?

Jabłykin ręce rozstawiał szeroko i składał je na żołądku, okazując, że nie widział ratunku. Prosiła go jeszcze Eudoksya, aby pośrednikiem był i mówił z Jewłaszewskim. Zaklinała się, że nie miała więcéj całego majątku nad pięćdzisiąt tysięcy rubli, z tych połowę gotową była oddać mężowi, byle ją swobodną zostawił.

Radzca przyrzekł wdać się w tę sprawę, ale szepnął na ucho Eudoksyi. E! mateczko, mówicie o pięćdziesięciu a ja nieboszczyka kieszeń znałem!! E! e! Zakryła sobie oczy jéjmość, usiłując wytłómaczyć, czego już Radzca nie słuchał, szedł natychmiast do Jewłaszewskiego.

Trzeba było przyjaźni jaką miał dla nieboszczyka, aby go po śniadaniu ona drugi raz na wschody drugiego piętra wyciągnęła. Gdy stanął u drzwi ocierał pot z czoła, z brody, z szyi i dyszał aż go żal było.

Jewłaszewskiego zastał na konferencyi z Wańką, który srodze miał potarganą czuprynę. Sposób ten wychowywania ludu nie wchodził w teorye Jewłaszewskiego, lecz w praktyce okazywał się czasem niezbędnym.

Radzca bardzo mało był znanym Mistrzowi, a urzędowe jego stanowisko i wstręt od pospolitowania się wizytę czyniły bardzo dziwną. Jewłaszewski się jéj celu odrazu domyślił.

Posadził dygnitarza w krześle, Wańka uciekł, zaczęła się rozmowa od gorąca i od nieszczęśliwości tych co na drugie piętro są skazani.

Preludya do rozmowy zajęły z kwadrans czasu, dając Jewłaszewskiemu możność rozmyślenia się co miał począć. Radzca poufnie i w tonie przyjacielskiem począł rozmowę.

— Ej! stary, rzekł do niego, ja jéj przyjacielem, ale i tobie nie wrogiem. Na co tobie się to zda. To wziąć kobiétę starą, która do was serca nie ma? a co to będzie za życie? męczarnia dla niéj, męka dla ciebie. To proste kobiécisko, ty jéj pokazać nigdzie nie będziesz mógł, ma swoje narowy, które tobie będą niemiłe. Nie lepiéj ci wziąć dwadzieścia pięć do kieszeni i zostać swobodnym?... Ona z oczów zejdzie... ty się będziesz mógł ożenić...

Oparł się Jewłaszewski przywiązując do litery prawa, do obowiązków męża i żony, ale Jabłykin słuchać tego nie chciał.

— Co ty mnie takie rzeczy mówić będziesz? odezwał się, albo my ciebie nie znamy, albo to ty nie zapisany jako liberał i wolnodumiec u którego żadnéj wiary nie ma? albo to nie wiadomo, że ty i młodzież bałamucisz? a tu, nagle taki religijny się stałeś i tak szanujący prawo. Bodajeś był zdrów...

Ostatni argument bladością okrył twarz Mistrza, który nadzwyczaj gorąco począł się wypierać swych przekonań.

Jabłykin głową kręcił.

Trwało jeszcze chwilę, ale już z coraz mniejszym ze strony Jewłaszewskiego oporem, ucieraniem się o żonę, przystawał wreście na indemnizacyą trzydziestu tysięcy rubli z powodu, jak mówił, że ta kobiéta więcéj go daleko kosztowała...

Radzca zwyciężył...

Wszystko to, wystąpienie do żony, negocyacye z nią, układ ostateczny, wypłata piéniędzy przez ręce Radzcy, pokwitowanie i podpiska dana przez Mistrza w takiéj tajemnicy się odbyły, że nikt z przyjaciół Jewłaszewskiego nie domyślał się nawet całéj sprawy. Wasyljew nikomu o niéj nie mówił.

Jednego wieczora gdy Zyżyński był u Mistrza spostrzegł zdziwiony mocno, że mieszkanie niedawno zajmowane przez malowaną panią stało puste.

— A to, proszę cię, ojczulku, zawołał, albom ślepy, albo co, wszak u Wasyljewa ta jéjmość co stała na piętrze, ani śladu. Cóż to jest? umarła!

— Albo ja tam wiem! odparł zimno Jewłaszewski.

Wasyljew zapytany przez ciekawego studenta, powiedział mu, że wdowa za interesami pilnemi odjechała do Petersburga, wzdychając, iż na mieszkaniu wiele stracił.

Większe jeszcze było zdziwienie Zyżyckiego, gdy w kilka dni potém przybywszy do Jewłaszewskiego zastał go pakującym się i wybierającym jak w drogę.

— Cóż to jest? zapytał.

Mistrz namyślał się z odpowiedzią.

— Wiesz co, rzekł wyciągając rękę i palcem dotykając piersi jego, ja dla ciebie nie chcę mieć tajemnic... Przestrzeżono mnie, że jestem notowany i na oku, muszę zmienić sposób życia, mieszkanie, wszystko... Poświęcę się nauce, zamknę, odosobnię... Mój wpływ uważany był za szkodliwy, to mogło mieć dla mnie i dla was groźne następstwa. Z boleścią serca, ale usuwam się, usuwam, muszę.

To mówiąc uściskał Zyżyckiego i otarł suche oczy...

— Bądź zdrów! przyjacielu, rzekł, zobaczymy się w lepszych czasach.

Nazajutrz szeptano sobie pocichu nowinę, że Jewłaszewski był *zmuszony* się usunąć. Nikt prawie nie wiedział o tém, że zajął mieszkanie na przeciwko opróżnione i zapłacone przez Eudoksią. W ulicy wieczorem gdy wychodził mało go kto mógł poznać, bo wdziewał oficyalny cylinder, włosy miał ułożone jak inni podstarzali kawalerowie, buty długie znikły i owa chłopska fizyognomia ustąpiła jakiéjś nowéj przypominającéj urzędnika.

Z domu wychodził bardzo rzadko i to tylko na wista do Radzcy, który go polubił bardzo.

Klepał go po ramieniu i szeptał mu na ucho. E! ty mały! jaki ty rozum miał, że Eudoksyi Filipownéj nie wziąłeś, a toby ci z nią życie zbrzydło! Pół dnia pokłony bije, a pół dnia się maluje!

Zonia tak unikała Ewarysta, że prawie jéj nie widział przez parę miesięcy, a pytać o nią nie miał kogo, iść zaś do niéj sił mu brakło. Gdy pomyślał o zgubionym dziewczęciu płakać mu się chciało.

Madzia, któréj siostra na listy nie odpisywała, lub odpowiadała tak, że nic z jéj pisma oprócz obojętności i lekceważenia wyczytać nie było można, zgłaszała się o wiadomości do Chorążyca, ten odpisywał ogólnikami, aby nie obwiniać, unikając szczegółów, lecz nie tając, że Zonia była bardzo dziwaczną, mało przystępną i t. p.

Zmuszony wreście coś donieść o niéj, choć nie widział jéj od tak dawna, Ewaryst jednego dnia zmusił się pójść do dworku Salhanowéj. Robiło mu przykrość niezmierną zblizka patrzeć na tę istotę dla któréj miał niewymowną sympatyą, a ratować jéj nie mógł.

We wrotach już zdala zobaczył starą Agafią zaczepiającą przechodzących dla upragnionéj gawędki i śmiechu. Stara była bardzo wesoła, a bez ludzi żyć nie mogła i chwili.

Zobaczywszy go poznała zdala starucha i witać zaczęła, zabierając się prowadzić do gospodyni.

Już weszli w korytarz, gdy Ewarystowi zmierzającemu do pokoju Zoni, Agafia pokazała drzwi bawialni. Myśląc, że ją tam znajdzie wszedł Ewaryst.

Heljodora sama leżała rozciągnięta na sofie z książką w ręku i cygaretką w ustach. Zerwała się prędko zobaczywszy Ewarysta.

— Myślałam, że pana w Kijowie nie ma, rzekła, tyle czasu go nie widziałam...

Ewaryst oczami szukał Zoni.

— A Zonia gdzie? spytał.

Zdumiona mocno, wdowa rozśmiała się szydersko.

— A to pan nic nie wiesz! odezwała się, już tygodni ze sześć jak jéj u mnie nie ma!

Rażony jak piorunem Dorohub poskoczył ku gospodyni.

— Gdzież jest? zawołał.

— Wyniosła się, poczęła Heljodora. Już przyznasz pan, że ja jéj tu nie krępowałam w niczém, miała swobody ile chciała, robiła co jéj do głowy przyszło, ale, dziwaczna!! sprzykrzyło jéj się tu, no, wyniosła się, nawet nie wiem dokąd, bo jéj nie widuję.

Zaniemiał Chorążyc. Był to cios, którego się nie spodziewał.

— Nie może być, rzekł, abyś pani całkiem nic nie wiedziała o niéj, zmiłuj się pani nademną, powiedz...

Wdówka dziwnie pokręciła głową.

— Pan także się w niéj kochałeś, słowo daję, odezwała się, dziewczyna ta ma osobliwe szczęście, wszyscy przepadają za nią i Jewłaszewski.

Nie wiesz pan może co się z nim stało? zapytała.

— Nic niewiem.

— Jak w wodę wpadł! Osobliwa też rzecz, nagle zwinął chorągiewkę. Powiadają, że jest w mieście, że po urzędnikach na wieczory chodzi, a nikt go z dawnych przyjaciół nie widzi. Takiéj dezercyi, przyznam się, żem się po nim nie spodziewała! Pokiwała głową, patrząc w oczy Chorążycowi.

— O Zoni tyle wiem, szepnęła ciszéj poufnie, niech pan się tém nie martwi, że Zorjana Szeligę puściła.... Zwodził ją, taką śliczną dziewczynę, a miał razem drugą kochankę i to jeszcze kogo! Jak się dowiedziała plunęła w oczy i kazała iść precz.

Najęła sobie mieszkanie osobne... sama jedna ze służącą. Słyszę schodzą się tam u niéj wieczorami, siedzą do późna, co mówią to

powtarzać nie chcę. Na dole w tym samym domu mieszka Teofil Zagajło Litwin, akademik, medyk, ten, słyszę, nie wychodzi od niéj, pokochali się bardzo.

Byle tylko znów tak nie było jak z Zorjanem.

Umilkła, patrząc wciąż na zbolałego Ewarysta, który ze spuszczonemi oczyma siedział zabity, niemy, bez ducha prawie, powtarzając po cichu.

— Nieszczęśliwa! zgubiona!

Widząc go tak znękanym żal się zrobiło kobiécie, która serce miała aż nadto dobre i miękkie, wzięła go zwolna za rękę i dodała pocieszając.

— Już to prawda, jak mamę kocham, że za nic i za nikogo ręczyć nie można. Człowiek sam za siebie nie wié czyby ręczył! No ale co do Zoni, ja panu powiadam, ona taka zuchwała jest, szalona, lecz rozum ma i wziąć się tak nie da! O! nie! Cóż z tego, kiedy ludzie patrząc co wyrabia, myślą sobie nie wiedziéć co i szkalują ją. A ona o to nic a nic nie dba. Patrzy śmiało wszystkim w oczy, plećcie co chcecie.

— Coż to znowu za Zagajło! spytał słabym głosem Ewaryst, pani go zna?

— Widziałam go, chłopiec niczego, roztropny bardzo, ale zawierucha, mówiła Heljodora—porywczy, gorączka. Ubogi bardzo... wygląda dosyć dobrze, gada dużo, kłucić się lubi...

Mnie się zdaje – dodała, że ona i z tym niedługo zerwie, bo czego chce trudno odgadnąć!!

Ewaryst nie miał już co mówić, a wdowa ciągnęła daléj.

— Czemu pan bo czasem nie zajdziesz do mnie! Ot byś sobie wieczorek przepędził spokojnie, bo u mnie teraz tak dużo osób nie bywa, od czasu jak Jewłaszewskiego nie stało... Czasem tam parę znajomych, a częściéj nikogo... Mnie pana żal, tak żyjesz samotnie a zadurzyłeś się niepotrzebnie w tym trzpiocie...

Grzecznie podziękowawszy Ewaryst po krótkiéj rozmowie pożegnał gospodynią, która go aż w korytarz ciągle zapraszając na herbatki wyprowadziła.

Nietrudno było dowiedziéć się o nowe mieszkanie Zoni, gdyż stara Agafia zaczepiła go na wychodném i wskazała mu je bardzo dokładnie. Ewaryst nowém niebezpieczeństwem biédnéj dziewczyny rozbudzony, postanowił tegoż dnia jeszcze pójść do niéj.

W kamienicy pokazano mu mieszkanie na tyle od dziedzińca, w którém się już świeciło. Służąca niepozorna otworzyła drzwi nie oznajmując.

W pokoju siedziała Zonia sama, opodal od stołu zmęczona i tak smętna jak gdy ją widział ostatnią razą.

Gdy Chorążyc wszedł podniosła się powoli, idąc ku niemu i przywitała zimno...

— Dawnośmy się nie widzieli, rzekła przypatrując mu się.

— Tak dawno, wyjąknął głosem zbolałym Chorążyc, żem nawet nie wiedział gdzie szukać panny Zofii.

— A! a! porzuciłam Heljodorę, odezwała się żywo, dobra kobiéta, ale ograniczona a panować chciała nademną i dawać mi rady! Ja tego nie lubię.

Wskazała krzesełko.

— Teraz jam sobie sama pani!

Ewaryst nie mogąc pochwalić tego, milczał.

— Wam, ludziom starego świata wydaje się to szkaradą jakąś— Panna! sama jedna i przyjmująca mnóstwo młodzieży, a na dole w tym samym domu akademik.

— Pan Teofil Zagajło! wtrącił Ewaryst.

— Już wiesz? podchwyciła rumieniąc się Zonia, jestem pewna, że Heljodora to zwiastowała, dodając, że jest moim kochankiem!

Nagle wstrzymała się i dodała.

— A! powinnam się wytłómaczyć z mojéj zerwanéj przyjaźni z panem Zorjanem, bo przypominam sobie, żem się nawet niegdyś przyznawała przed panem, że go kocham. A! kochałam go szalenie choć wart tego nie był. Istota jakaś ślimaczéj natury, bez energii, bez serca, zbydlęcona... pfe! pfe!

A! jak nas ludzie okrutnie zawodzą, mówiła coraz żywiéj. Jak orzechów tych ludzi, więcéj pustych i robaczliwych niż dobrych, zęby na nich psują, aby mieć usta pełne pruchna!!

Pfe!

Od czasu jakeśmy się widzieli zostałam straszną pesymistką! Życie jak komedya bez sensu, snem jakimś i zmorą.... ciąży, dolega a nie opłaca się niczém... Plugawa kałuża ten wasz świat!

— Zoniu moja, wtrącił Ewaryst, tak on się może wydaje tym co na niego oczyma skoszonemi patrzą.

— A! zapewne! wy patrzycie nań prosto! idealiści karmiący się mrzonkami. Aby nie żyć w téj brudnéj rzeczywistości stworzyliście sobie świat, którego nie ma... piękny jak bańka mydlana, ale pusty!!

Daj mi z nim pokój!

W téj chwili ze śpiewką na ustach i cygarem w ręku, bez ceremonii w kurtce jakiéjś bez chustki, w pantoflach na nogach wszedł

pan Teofil Zagajło. Zobaczywszy go w tym stroju, Zonia się zarumieniła, on zaczął się przypatrywać Ewarystowi.

— Pan Teofil, mój sąsiad, który w negliżu sobie pozwala mnie odwiedzać, co mu się przebacza, bo pracowity bardzo, nie ma czasu się ubierać.

— A! pewnie! odparł pan Teofil, z kolegami nie robi się ceremonii.

Piérwszy raz zblizka widział Chorążyc tego kolegę. Był to młodzieniec silny, zdrów, szerokich ramion, rozkwitły bujno, z twarzą nie tak piękną jak rozumną, ale razem wiejącą zawczesnym chłodem. Na wygładzoném czole, w spojrzeniu jasném i sięgającém do głębi malowało się pojęcie łatwe, inteligencya żywa, lecz jakby przedwczesną starością zwiędła. Poezyi młodości, jaką ma każda prawie twarz w tym wieku jaki miał Teofil, nie było śladu w nim. Starła ją nieubłagana walka z losem, zawczesne pojednanie się z rzeczywistością czy samo dziwne, wewnętrzne usposobienie człowieka, który nie musiał nawet czuć potrzeby uciekania się do żadnych ideałów, dla ukraszenia sobie życia.

Było w nim coś rubaszno żołnierskiego, coś co zowią chłopskiém, szedł po świecie pewien swéj siły i nie wątpiąc, że nad nim zapanuje. Łagodności i przymilania się nie było w nim znaku, raczéj umyślnie przybrana szorstkość i wyraz siły stojącéj do popisu.

Z Ewarystem przywitał się dosyć obojętnie i poufale, tak samo i z Zonią, z którą zdawał się obchodzić nie tak jakby z kobiétą należało.

Siadł zaraz w krześle, rzucając na stolik czapeczkę i paląc daléj cygaro. Zonia była jakby zakłopotana tą poufałością zbytnią, z którą się u niéj rozsiadał jak w domu, ale wprędce przyszła do siebie i zwróciła się z rozmową do Ewarysta. P. Teofil mięszał się do niéj pół słowami szyderskiemi, z jakąś wyższością trochę dziwaczną.

W ogóle nie był to człowiek wstrętliwy, mimo gburowatéj swéj powierzchowności, zdawało się, że nań rachować było można i że pod tą powłoką chropawą było i serce poczciwe i umysł zdrowo rozwinięty. Ewaryst mógł sobie łatwo wytłómaczyć przewagę jego nad Zonią, poczuciem siły, jaką Żmudzin objawiał. Obcując z nim, potrzeba było albo mu się poddać lub go podbić, a ostatnie musiało być równie trudném dla serca jak dla ducha, bo Zagajło miał w sobie coś, co go do panowania nad drugimi wyznaczało.

Mówił z taką śmiałością i siłą przekonań, iż spór z nim wieść było próżném. W równym wieku z Ewarystem, obchodził się z nim jakby z młokosem zgóry nań spoglądając. Z Zoni pozwalał sobie

żartów delikatnych, ale tak dla niéj nieprzyjemnych, że ciągle rumienić się i nie cierpliwić musiała.

Rozmowa o sprawach ogólnych, wywołała z jego strony surowe krytyki wszystkiego o co potrącono, nie przebaczał ani nauczycielom, ani współuczniom. Mówił zwięźle, stanowczo i prawie nie chcąc słuchać opozycyi. Zonia z widocznym niepokojem słuchała go, patrząc jakie wrażenie czyni na Ewaryście, który więcéj mu dawał mówić, niż sam się odzywał.

Wspomniano coś o Jewłaszewskim.

— Komedyant! zawołał Zagajło, skończył jak oni wszyscy schowawszy się za kulisy. Nigdy nie byłem wielkim jego wielbicielem, bo często cały wieczór go słuchając, gdym kwintesencyą chciał wycisnąć z tego co wygłaszał z taką prozopopeją, kropli nie wydusiłem z tego próchna.

U mnie człowiek jest w czynie, a słowo!.. to zdawkowa moneta tych, którzy grubéj nie mają.

Widząc, że gościa tego, który tu był jak w domu, nie przesiedzi, i z Zonią się już nie będzie mógł rozmówić, Chorążyc pożegnał ją, zostawując pana Teofila, który wołał służącéj właśnie, aby podawała herbatę.

Cały obejście się jego u Zoni, rażące było jakąś samowolą zbyteczną, którą ona znosiła bez szemrania. Czasem tylko brwi się jéj ściągały i sznurowały usta jakby chciała wybuchnąć, lecz wprędce siła tego człowieka brała górę.

Z przykrém wrażeniem, które zawsze wynosił z sobą ile razy Zonią widział, powrócił pan Ewaryst do domu. Niewymówny żal téj zbłąkanéj dziewczyny nie dał mu długo niczém się zająć. Myślał, wzdychał i znużony tém dumaniem bezowocowém, wziął się, do jedynego lekarstwa, którego zwykł był używać gdy mu co dolegało. Zasiadł do książek i pracy.

Wieczór już był późny, dzień jesienny, ciepły i piękny. Noc nadeszła niepostrzeżona, a jéj cisza nadto sprzyjała pracy, którą był zajęty Ewaryst, by mu się ją chciało przerywać.

Pozbył się natrętnych myśli, zatopił cały w swych studyach i ani zważał jak zegarek na kominie stojący wybił północ. W domu wszystko już, jeśli nie spało, to się uciszyło. Okno jego pokoju otwarte wychodziło na ulicę, w któréj głuche milczenie małego miasteczka ledwie kiedy niekiedy krok spóźnionego przechodnia przerywał, zbliżając się i ginąc potém w oddali.

Około pierwszéj było, gdy wśród tego uśpienia niezwyczajny jakiś szmer z ulicy, uderzył jego ucho. Szedł ktoś a raczéj biegł krokiem nierównym, przerywanym, pośpiesznym to omdlewającym.

Coś jak jęk głuchy, głos stłumiony na wpół płaczem odezwał się też u drzwi kamienicy, w które słabe uderzenie słyszéć się dało.

Ewaryst wyjrzał i w mroku zobaczył kogoś stojącego u wnijścia. Była to kobiéta... ręką bezsilną biła we drzwi, opiérając się głową o nie. Jakiémś przeczuciem wiedziony Ewaryst chwycił świécę i zbiegł co prędzéj ze wschodów z kluczem, aby zobaczyć kto to mógł być.

Gdy drzwi otworzył, ujrzał przed sobą Zonię, z rozpuszczonemi włosami, nieubraną, okrytą chustką narzuconą na prędce. Twarz jéj miała wyraz obłąkania, oczy biegały wkoło przelękłe, usta nie mogły wydać głosu. Rękami drżącemi wskazała po za siebie.

— Zabiłam! krzyknęła, ratuj mnie. Nie wiem... nie wiem co mam zrobić z sobą—zabiłam.

Nie mogła mówić więcéj i oparła się o ścianę, czoło gorące tuląc do niéj jakby je chciała ostudzić.

Chorążyc nie mogąc pojąć co się jéj stało, na pół zemdloną ujął za rękę i siłą niemal poprowadził z sobą. Szła bezmyślna i posłuszna, jęcząc i dysząc, a gdy się znaleźli na górze padła w krzesło, zakrywając sobie oczy.

Ewaryst podał jéj wody, odtrąciła ją.

— Mów, na Boga co się stało! zawołał.

— Zabiłam go! odparła gwałtownie, porywając się z krzesła Zonia, alem niewinną!

Tak, mówiłam mu sto razy, że rewolwer zawsze mam przy sobie, że nie powinien się ważyć progu mojego przestąpić w téj godzinie.

Położyłam się w łóżko, niepoczciwa służąca otworzyła mu drzwi, śmiał wnijść do mnie po nocy. Lampka się paliła, bo niecierpię ciemności, zobaczyłam go wprost idącego do mnie. Zawołałam, że strzelę, nie słuchał, śmiał się, rzucił się ku mnie.

Zakryła sobie oczy.

— Padł we krwi się tarzając! Zabiłam go! tak! a takem go kochała. O! ja nieszczęśliwa! Widzę go jak padł z jękiem, za piersi się chwytając i krzycząc.

— Szalona!—Tak! Byłam szalona, byłam niegodziwa... a teraz sobie chyba odbiorę życie.

Jęku i płaczu jéj niepodobna było utulić. Ewaryst nie wiedząc sam co ma zrobić, wahał się czy iść dowiedziéć się o Zagajłę, czy pilnować ją tutaj, aby sobie życia nie odebrała.

W téj niepewności gdy jeszcze walczył z sobą, Zonia się zerwała nagle i krzyknęła.

— Chodź ze mną!

Tak, ja tam powinnam być na miejscu i nie uciekać, ani kłamać. Com spełniła tego się nie wstydzę, ale żałuję! ach żałuję. Bez niego żyć na cóż mi życie...

I otulając się chustką, poczęła niecierpliwie biedz ku drzwiom nagląc.

— Zemną, chodź zemną! chodź tam! ja muszę tam być...

Chorążyc, nie wiedząc prawie co czyni, bo czasu do rozmysłu nie miał, chwycił czapkę, ciągnęła go gwałtownie, wołając zdyszana.

— Chodź! idźmy!

W ulicach było pusto, biegiem prawie pędziła Zonia, nie rozpoznając drogi, padając co chwila, tak, że ją Ewaryst przytrzymywać musiał i prowadzić.. Gdy się zbliżyli ku mieszkaniu, Zonia się zatrzymała z trwogą patrząc na kamienicę...

Chorążyc postrzegł na pierwszy rzut oka, że wypadek nie musiał być tak strasznym jak się wydał Zoni, gdyż około kamienicy żadnego nadzwyczajnego znaku życia, ani zbiegowiska nie było. Stała czarna, milcząca, i drzwi tylko wchodowe na pół otwarte, któremi wybiegła Zonia, świadczyły, że po niéj nikt nie wychodził później, ani spostrzegł, że stały otworem.

Milczenie to dziwném się zdało i jéj nawet, uspokoiła się nieco, ciągnąc za sobą Ewarysta. Gdy weszli w podwórze, znaleźli je milczącém i pustém także, na piętrze tylko drzwi mieszkania Zoni otwarte były całkiem i świeciło w nich. Z trwogą posuwała się ona ku nim, sięgając okiem w głąb', tu, nie było nikogo, sprzęty tylko porozsuwane, nieład, krwawe szmaty porzucone, a w drugim pokoiku przy łóżku Zoni na podłodze, ogromna plama krwi zaschłéj. Zobaczywszy ją, Zonia się cofnęła z krzykiem do pierwszego pokoju.

Ewaryst posadziwszy ją w krześle, sam zbiegł co prędzéj szukać sługi i jak się domyślał rannego pana Teofila.

Wiedział, że ten stał na dole i po głosach, które z wnętrza się słyszéć mu dały, doszedł łatwo mieszkania Zagajły.

Ruch w niém był widocznie tłumiony umyślnie, aby nie pobudzić sąsiadów. Ewaryst wsunął się śmiało. W dosyć obszernéj jedynéj izbie za parawanem słychać było żwawą rozmowę i krzątanie. Służąca Zoni biegała z wodą i płatkami. Ewaryst ujrzał na łóżku leżącego rannego p. Teofila, któremu dwu z sąsiedztwa zwołanych studentów ranę opatrywało. Zagajło leżał z ustami zaciśniętemi, z zamkniętemi oczyma, blady, pomazany krwią, ale z wyrazem męztwa i obojętności, dowodzącém wielkiéj siły chrarakteru.

W tém jeden z opatrujących ranę, odrwóciwszy się postrzegł i poznał Ewarysta.

— A pan tu co robisz? zapytał.

— Łatwo się domyśléć, rzekł Chorążyc—mówcie, jest niebezpieczeństwo?

— Ba! odparł jeden z opatrujących, o włos a byłaby go położyła trupem. Szczęściem kula siły wielkiéj nie miała, ośliznęła się po żebrach, ale będzie miał lizać się z czego?

Leżący otworzył oczy, skierował je na Ewarysta, poznał go i rzekł głosem suchym, prędkim.

Powiedz—że jéj pan, że nie ma nic—głupstwo! Ja winienem! Żart był niedorzeczny! Gotowa sobie co zrobić, powiédz jéj, że rana nie znacząca—trochę krwi.

Zamknął szybko oczy, a Ewaryst co prędzéj pobiegł na górę. Zonia jak ją porzucił, siedziała w krześle, z głową z poręczy zwieszoną... Usłyszawszy zbliżającego się, porwała konwulsyjnym ruchem, oczyma chciała z twarzy wyczytać co przynosi.

— Uspokój się, rzekł Ewaryst, daję słowo, że jest zaledwie ranny, żadne niebezpieczeństwo mu nie zagraża... ma dwóch co go opatrują. Przytomności nie stracił wcale, krwi tylko mu ubiegło trochę.

Zdaje się, że w domu nikt nawet strzału nie słyszał.

Razem z Chorążycem służąca onieśmielona pokazała się w progu, jakby pani w pomoc przyjść chciała. Zobaczywszy ją, gniewna Zonia ruchem ręki wskazała jéj, aby szła precz.

Chciała coś powiedziéć.

— Precz, zawołała dziewczyna, idź nie pokazuj mi się.

Wiadomość, którą Ewaryst jéj przyniósł, zwolna zdawała się ją uspokajać. Siadła znowu w krześle zadumana. Teraz dopiéro gdy wielka trwoga odeszła, poczuła znużenie i blizką będąc mdłości, zażądała wody.

Chorążyc sam jeden musiał nie bardzo umiejętnie przyjść na ratunek. Niepodobna było ją tak opuścić samę, służąca bowiem, znając swą panią, natychmiast zabrawszy co miała wyniosła się tak, że w pół godziny jéj już nie było.

Wyszedłszy z mdłości, Zonia zwolna odzyskała przytomność i sama zajęła się sobą. Ewaryst chciał ją namówić, aby się położyła, ofiarując pozostać na straży, choćby za drzwiami.

— Krew—krew! ja tam nie pójdę! odparło dziewczę.

Dniało już gdy Chorążyc szepnął jéj, że mógłby odprowadzić do Heljodory. Myśl tę pochwyciła żywo, poprawiła ledwie ubranie i wyszli. W sieniach stanęła na chwilę u drzwi Teofila, niepewna, jakby do niego wnijść chciała, lecz Ewaryst ująwszy ją za rękę silnie, gwałtem prawie uprowadził.

Przez całą drogę szła milcząca i jak nieprzytomna, słaniając się... Dopiéro u dworku Sałhanowéj, który stał jeszcze zamknięty, wskazała okno, do którego zastukać było potrzeba, aby staruszkę obudzić.

Przybycie Zoni o téj godzinie, w tym stanie jakimś nieprzytomności, poruszyło wnet dom cały. Agafia poszła zbudzić panią Heljodorę, która nierychło, bledsza niż zwyczajnie, cała drżąca, okryta szlafroczkiem jakimś, bosa zjawiła się w salonie, a zobaczywszy Ewarysta cofnęła z krzykiem. Długiego czasu było potrzeba nim się przezedrzwi można było zrozumiéć.

Zonia zaledwie wszedłszy do saloniku powlokła się ku sofie, położyła na niéj i jakby cudem, natychmiast usnęła...

Chorążyc więc miał czas, nieco już ogarniętéj w sąsiednim gabinecie, pani Heljodorze opowiedziéć wszystko.

Wdowa słuchała zdumiona tak, że tylko pół słowami mu przerywała...

— A mówiłam, odezwała się na ostatku, ochłonąwszy nieco, mówiłam zawsze, że to się okropnie skończy. Ta Zonia! no, proszę ja pana! z pistoletem! jak mamę kocham! Co to będzie! co to będzie. Uchowaj Boże śledztwa!

— Sądzę, dodał Ewaryst, że się to wszystko cicho skończy. W domu nikt podobno nie słyszał i nie wié, a pan Teofil chwalić się nie będzie z rany, na którą zasłużył.

Heljodora wciąż ramionami rusza.

— Jak mamę szczerze kocham, odezwała się po cichu oczy spuszczając,—ja myślałam, że oni z sobą byli już tak, że proszę pana, to nie do uwierzenia. Niech pan sobie przypomni co ja mu mówiłam... z nią nie ma co żartować! To dziewczyna szalona.

Co teraz z nią począć?

Dzień się robił gdy Chorążyc wyszedł od wdowy, która mu przyrzekła czuwać nad Zonią. Na palcach przesuwając się przez salonik zobaczył ją leżącą na sofie jak była padła na nią i głęboko uśpioną. Zmarszczone brwi i bolesny wyraz ust, jakby marzenia przykre zdradzały... Heljodora stanęła nad nią z załamanemi rękami, a stara Agafia nie rozumiejąca nic jeszcze czekała pożerana ciekawością, aby się dowiedziéć co się stało z tą „hołubką.“

Nazajutrz niewiele spocząwszy, Chorążyc powrócił około południa do pani Heljodory, u któréj dotąd pozamykane były okiennice. W bramie Sałhanowa powiedziala mu na ucho, że „hołubka“ spała jeszcze.

Wzdychała ciężko starucha i potrząsała głową.

— Oj to, panoczku, czasy! to czasy! chyba niedługo czekać na antychrysta! Co to się dzieje! Jakie to teraz chłopcy, jakie dziewczęta. Prawda, bywało i dawniéj różnie, od czego młodość! ale się choć Boga bali, panoczku, a pokutowali—a teraz!

Rzuciła ręką.

W sieniach wyszedłszy ku niemu pani Heljodora oznajmiła, że Zonia twardym snem kamiennym spała jeszcze. Jęczała tylko przez sen i wyrazy się jéj wyrywały niezrozumiałe. Wdowa nie chciała ją budzić, spodziewając się, że tak snem przejdzie wszystko.

Tego dnia więc Ewaryst się już nie dowiadywał, zapewniwszy, że Heljodora o biednéj mieć będzie staranie. Rano znalazł okiennice otwarte i starą Agafię z rękami w kieszeniach u wrot na swém stanowisku.

— A co, przychodzicie się o hołubkę dowiedziéć? nie prawda? odezwała się—no, ja już nic nie powiem, bo ja nie rozumiem nic, idźcie do pani, ona wam wytłómaczy, kto ich dziś zrozumié!

Z poplątanéj mowy Agafii, Ewaryst tylko domyślił się, że Zoni gorzéj nie było.

Heljodora wyszła do niego z papiérosem.

— Jak się ma Zonia? zapytał.

— Cóż? zdrowa, rzekła obojętnie wdowa. Wyspała się, siły jéj wróciły. i co myślicie, zrobiła gdy wstała? Pierwsza rzecz, że ona powinna tam być, u łóżka chorego, aby go pilnować!

Com się naprosiła, co naperswadowała! Z nią wszystko groch na ścianę, bo to upór jakiego drugiego nie masz. No i koniec końcem, powlokła się, jestem pewna, że teraz przy chorym siedzi!

Kwaśno dokończywszy wdowa, chciała dłużéj rozpowiadać o sobie, jak się w nocy nastraszyła gdy ją obudzono, jakie miała uczucia, wrażenia, jak ją późniéj okropnie głowa bolała i t. p., lecz Chorążyc podziękowawszy za przyjacielską pomoc pośpieszył szukać Zoni.

W mieszkaniu jéj, w którém nowa służąca, polecona przez Agafię gospodarowała, nie było nikogo. Powiedziała Chorążycowi pomywająca właśnie podłogę niemłoda kobiéta, że panna była na dole u studenta.

Ewaryst wchodzić tam teraz nie chciał, prosił, by ją wywołano; Zonia wyszła już zupełnie spokojna, bledsza tylko niż zwykle i z ustami spalonemi.

— Widzisz, odezwała się do Chorążyca, miejsce moje przy nim. Dzięki Bogu że żyje, bo jabym go nie przeżyła. Nie odstąpię od łóżka, póki zdrów nie będzie.

Jest tak poczciwy, że mnie nie obwinia i nie gniewa się na mnie. Kocham go więcéj może niż dawniéj.

Chorążyc nie wiedział co odpowiedziéć, tłómaczyć jéj niestosowność tego postępowania było daremném, bo zrozumiéć nie mogła i nie chciała co nie było po jéj myśli.

Krótko podziękowawszy Ewarystowi za pomoc i opiekę, podała mu rękę, spojrzała nań okiem jakiémś obłąkaném, zeszkloném, i śpiesznie weszła nazad do chorego izdebki.

KONIEC TOMU I.

(c. d. n.)

J. I. Kraszewski.

OBYCZAJE EKONOMICZNE

WE FRANCYI. (1)

II.

Przemysł i wyrobnicy.

Ducarre. Rapport sur les conditions du travail en France; 1877.—Malinrand. Rapport sur le congrès ouvrier de 1876; 1877.—Nadaud. Les sociétés ouvrières; 1877.—Roux. Les associations ouvrières; 1876.—Pelletan. Les associations dans le passé; 1874.—Ameline. Des institutions ouvrières au XIX siècle; 1866.—Le Play. Les ouvriers Européens; 1856—1879.—Les ouvriers des deux mondes; publié par la société d'Economie sociale, 1855—1877.—Desportes. Enquête sur les Associations syndicales; 1874.

Jeżeli do rozpatrzenia się w obyczajach ekonomicznych ludności roboczéj *wiejskiéj* we Francyi podnietą był dla nas *dzisiejszy* stan kraju naszego i rola przeważna jaką w jego ekonomii odgrywa gospodarstwo rolne, to, przystępując do niniejszych studyów, pamiętaliśmy o *przyszłości* i miejscu, jakie z czasem obok gospodarstwa rolnego, zająć musi na ziemi naszéj *przemysł*.

W przyszłość tę o niedościgniętych widnokręgach wkroczyliśmy już zresztą, w ostatnich zwłaszcza czasach, nie małoznaczne w jéj kierunku postawiliśmy kroki. Upadek naszéj waluty, działając nakształt najenergiczniejszego cła protekcyjnego, stał się opatrznościowym bodźcem dla naszych rękodzielni. Między trudnościami różnorodnemi, z któremi walczyć przyszło rozbudzonéj przedsiebierczości krajowéj, znalazła się jedna nie najmniéj ważna, i dotąd nieprzezwyciężoną zaporę stanowiąca a w ścisłym będąca związku z przedmiotem obecnego studium. Wskazana wyżéj doraźna i sztuczna przyczyna mogła otworzyć produkcyi krajowéj rynek zapchany dotąd przez towar przywozowy, mogła nawet dostarczyć téj produkcyi potrzebnych kapitałów, przynęconych z zagranicy korzystnemi warunkami wekslowemi, ale nie była w stanie wytworzyć w je-

(1) Patrz „Ateneum" z r. 1879, t. II.

dnéj chwili odpowiedniéj *klasy roboczéj*. Zaczém tradycyjne u nas utyskiwanie na *brak rąk*, głośniejszém niż kiedykolwiek rozległo się echem; i szersze niż kiedykolwiek przybrało rozmiary tradycyjnie również praktykowane rekrutowanie robotnika zagranicą. Że jak najśpieszniejsze położenie końca temu brakowi i téj praktyce, że przyłożenie ręki do wykształcenia swojskiego zastępu rzemieślników, że nakoniec pokierowanie wykształceniem ich w sposób dla nich najodpowiedniejszy stanowią zadania postawione samą siłą okoliczności na porządku dziennym naszéj pracy społecznéj, na to zgodzi się każdy—a więc zgodzi się i na to może, iż studia tego rodzaju jak te, które tu podejmujemy, w porę zgłaszają się do uwagi czytającéj publiczności polskiéj.

Nie idzie zatém, aby *miejski* robotnik francuski sam wykształconego już zgoła typu posiadał cechy. Typu takiego nie szukać w XIX wieku nigdzie, w żadném społeczeństwie i w żadnéj warstwie społecznéj. Wiek bieżący jest przedewszystkiém i wszędzie, we wszystkich społeczeństwach i we wszystkich kierunkach życia społecznego, epoką przejściową i epoką *wykształcenia się* tutaj, epoką *przekształcenia się* ówdzie. Ulana w pewną stałą formę, aż do schyłku zeszłego wieku, organizacya pracy rzemieślniczéj na ziemi francuzkiéj, przelewa się obecnie w formę inną, razem z całym ustrojem społecznym. Nie kusimy się też o przedstawienie w niéj wzoru do bezwarunkowego naśladownictwa; ale w tym procesie przeobrażenia, przebywanym przez nią za dni dzisiejszych, na drodze prób i doświadczeń różnorodnych, spodziewaliśmy się znaleźć obfite źródło cennych wskazówek lub przestróg.

Przedewszystkiém zakreślić wypada granice niniejszego działu studiów, niezarysowane same przez się tak jasno jak w dziale stosunków rolnych.

Podług danych statystycznych zamieszczonych w raporcie przedstawionym w r. 1875 przez p. Ducarre byłemu zgromadzeniu narodowemu, w imieniu komisyi wyznaczonéj do zbadania *warunków pracy* we Francyi, na 36 milionów ludności w tym kraju 2 miliony tylko (6%) żyją wyłącznie z dochodów swoich; 34 miliony (94%) zaliczyć się więc dają do klasy pracowników. Podług tych samych danych zatrudnienia rolne zajmują i wyżywiają 52% ludności, czyli 18.515.325 mieszkańców; zatém na klasę pracowników miejskich przypada cyfra:

15.484.675;

w cyfrę tę atoli wchodzą takie kategorye pracowników, których zatrudnienie z jednéj strony nie jest właściwą *pracą rąk*, odpowiednio do klasyfikacyi na wstępie niniejszych studiów podanéj,

a które z drugiéj strony nie dadzą się podporządkować pod rubrykę *klas roboczych* bez pogwałcenia utartych wyobrażeń.

I tak handel, banki, transporta zajmują we Francyi 1.498.068 osób, razem zaś z rodzinami 5.332.946 (15%); profesye wyzwolone: 1.815.000 (5% ludności); profesye nieznane lub nie podpadające pod klasyfikacyą: 1.200.000; wszystkie te trzy kategorye odsyłają się do następnego działu. Do uwzględnienia przeto w tym dziale pozostaje ludność robocza, żyjąca z właściwego przemysłu a licząca: 8.136.729 głów, w któréj to cyfrze $^2/_5$ czyli ściśle 3.131.989 przedstawiają liczbę rzeczywistych pracowników (czeladników, majstrów i pryncypałów) reszta zaś rodziny tychże.

Do ugrupowania ludzi odnoszących się do téj czwartéj kategoryi, bardzo rozmaite obejmującéj żywioły, niezbędnym jest pewien podział; ten atoli, który w pierwszéj części tych studiów zastosowany został, nie da się żywcem przenieść do części niniejszéj. Jeżeli bowiem wszystkie formy pracy na roli mogły tam być podporządkowane pod cztery odrębne i odrębnie badane typy pracowników, tedy inaczéj się dzieje z ludnością roboczą miejską. Typ wiejskiego *najemnika* (*journalier* lub *tacheron*) nie ma częstokroć nic wspólnego, prócz sąsiedztwa, z pracującym obok na własnym kawałku ziemi, drobnym *właścicielem* rolnym; zaczém jeden z nich da się przedstawić oddzielnie od drugiego, a nawet nie da się przedstawić inaczéj skoro wszystkie warunki bytu odmienne są dla obu. Przeciwnie *czeladnik* oddzielnie od *majstra* nie jest typem uchwycić się dającym, bo warunki bytu wiążą właśnie nierozerwalną spójnią te dwa ogniwa jednego łańcucha. Żadnego skądinąd zastosowania nie może mieć do ludności roboczéj miejskiéj klasyfikacya *strefowa*, ważną w zastosowaniu do klas rolnych odgrywająca rolę. Różnice dające się dostrzedz w organizacyi pracy rzemieślniczéj, aczkolwiek *miejscowe* częstokroć, nie odpowiadają żadnemu geograficznemu podziałowi.

Natomiast innego rodzaju podział narzucca się badaniom nad klasami roboczemi miejskiemi, przez samę naturę podstawy, na któréj klasy te byt swój opiérają. Podstawa ta, tj. przemysł, daleką jest od powszednéj, lekkiemi zaledwie odcieniami tu i owdzie nacechowanéj jednostajności, właściwéj rolnictwu; lecz przybiéra owszem najrozmaitsze kształty i na wielorakie rozpada się gałęzie. Głównych gałęzi rozróżniają najnowsi francuscy ekonomiści trzy:

1) Przemysł wydobywający z ziemi surowe produkta (*industrie extractive*) do którego, rolnictwo na bok odkładając, należą kopalnie wszelkiego rodzaju.

2) Przemysł przekształcający surowe produkta na przedmioty użyteczne (*grande industrie*) do którego należą fryszerki, giserie i tym podobne zakłady, wymagające wielkiego skupienia rąk i kapitałów.

3) Przemysł rozdzielający między konsumentów przedmioty przez poprzednią gałąź dostarczone, po zastosowaniu ich do potrzeb i upodobań tychże konsumentów (*petite industrie*).

I tak, naprzykład, przemysł „wydobywający" (kopalnia) dostarcza rudy żelaznéj wielkiemu przemysłowi (hucie). Wielki przemysł (huta) wytapia z téj rudy żelazo, które oddaje drobnemu przemysłowi (ślusarzowi), a ten, ze sztaby, wyrabia klucz lub okucie do okna.

Klasyfikacya ta łatwéj podlega krytyce. Nietrudno o zakład ślusarski lub inny,oddający swe produkta bezpośrednio do rąk konsumentów, a przecież wielkim podniesiony nakładem i zużywający wielką siłę mechaniczną. Nawzajem surowe produkta, np. jedwab', przerabiać może na przedmioty użyteczne pojedyńczy, na jak najskromniejszą skalę założony warsztat. Zarzuty wszelako tego rodzaju dadzą się zastosować do wszystkich niemal klasyfikacyj. Odnośnie zaś do specyalnego celu niniejszéj pracy, kategorye wyżéj wyszczególnione dostarczają bądź co bądź pewnéj linii granicznéj, po obu stronach któréj praca rzemieślnicza w odmiennéj rzeczywiście występuje formie.

Ten sam atoli cel specyalny zamierzonych badań wymaga w zastosowaniu do nich klasyfikacyi o któréj mowa, pewnych zastrzeżeń.

I tak dwie piérwsze jéj kategorye, nie przedstawiające z właściwego tym badaniom punktu widzenia charakterystycznych różnic, będą w sposób więcéj przedmiotowi odpowiedni połączone w jedne. Odpowiedniejszą również przedmiotowi podstawą klasyfikacyi zdają się być rozmiary zakładów przemysłowych i ich organizacya niż gatunek lub przeznaczenie płodów w nich przerabianych.

Tym sposobem przyjęty ostatecznie przez nas podział grupować będzie pod dwoma rubrykami *wielkiego* i *drobnego* przemysłu, z jednéj strony pracowników wielkich i gromadnych zakładów kopalnianych lub fabrycznych, z drugiéj strony-rzemieślników pojedyńczo lub drobnemi grupami pracujących; przyczém i wyszczególnione na wstępie typy i formy organizacyi, właściwe całéj roboczéj klasie, znajdą odpowiednie miejsce i stosowne rozróżnienie.

Tu jednak miejsce rozprawić się z pewną właściwością nomenklatury francuskiéj w przedmiocie klas roboczych, którą pominąć mo-

żna było w dziale stosunków rolnych, obecnie zaś uwzględnić koniecznie wypada. Właściwość tę stanowi teoretyczny, ale i w praktyce znajdujący pospolicie zastosowanie, podział *sui generis* całéj klasy pracowników na dwie kategorye pod dwoma nazwami *ouvriers* i *patrons*. Piérwszéj nazwie odpowiada dokładnie polska nazwa *robotnik*; druga nie ma odpowiedniéj w języku polskim. Tém trudniéj zaś brak ten zastąpić, iż znaczenie francuskiéj nazwy jest podwójne. Piérwsze znaczenie, odnoszące się do pewnéj formy organizacyi, zarówno wiejskim jak miejskim stosunkom właściwéj, określone już zostało na wstępie. W drugiém znaczeniu *patronem* jest każden przedsiebiorca, zużytkowywujący pracę drugich pracowników. Właściciel obszernych posiadłości, tak samo jak dzierżawca drobnego kawałka gruntu, którego przecież uprawić bez pomocy rąk obcych nie jest w stanie, założyciel olbrzymiéj fabryki, tysiąca rąk potrzebującéj, tak samo jak majster szewcki, jednego przybierający sobie czeladnika, są w tém pojęciu *patronami*. Mniéj ważną odgrywające rolę w stosunkach rolnych rozróżnienie to między *ouvrierami* i *patronami* panuje nad całym działem stosunków miejskich, przeto pominąć go nie mogąc a o przekład koniecznie niedostateczny się nie kusząc, postanowiliśmy przenieść żywcem orzeczenie *patron* do niniejszego studyum (1).

Przystępując obecnie do tego ostatniego, koniecznem się zdało, ze względu na wspomnianą już rozmaitość przedmiotu, rozpocząć od ogólnego, szczegóły poprzedzającego obrazu, nietylko samych stosunków roboczych miejskich, ale i za podstawę im służącéj produkcyi przemysłowéj francuskiéj.

*

* *

Statystyka urzędowa przypisywała w r. 1873 produkcyi przemysłowéj francuskiéj wartość 15 miliardów franków, z tém jednak zastrzeżeniem, że gdy niektóre produkta przez kilka rękodzielni przechodzące, tyleż razy w rachunek wprowadzone być mogły, wypada może powyższą cyfrę zredukować do 12 miliardów.

Inny ekonomista, p. Maurycy Block, w swéj, *Statystyce Francyi*, przyjmuje między temi dwoma krańcowemi danemi średnią daną 12.792 milionów i oblicza, że z ogólnéj téj cyfry 6.360 milionów przypada wielkiemu przemysłowi, resztujące zaś 6.442 milionów drobne-

(1) Pan, gospodarz, chlebodawca, pryncypał.

mu. Tym sposobem siła produkcyjna olbrzymich ognisk przemysłowych, w zawodzie ze skrzętnością drobnych, ale na całéj przestrzeni Francyi gęsto rozsianych warsztatów, w tyle pozostaje o 80 milionów.

Inne urzędowe dane statystyczne, powtórzone w wyżéj wspomnianém sprawozdaniu Ducarre'a, z cyfry 12—15 miliardów zaliczają 60% na wartość surowych materyałów; 40% przedstawiają udział pracy (*main-d'oeuvre*).

Ten tedy udział, po odtrąceniu jeszcze pewnego procentu na ogólne koszta fabrykacyi, rozdziela się między 3.131.989 głów, które znowu statystyka urzędowa z r. 1872 rozkłada jak następuje:

Gałęzie przemysłu.	*Patronów.*	*Robotników.*
Przemysł wydobywający . . .	14.717	163.819
Wielki przemysł	183.227	1.112.006
Drobny przemysł	596.776	1.060.444
	794.720	2.337.269
	3.131.989.	

Rozkład ten przypuszcza między *patronami* i robotnikami stosunek 8 do 24 i średnią stosunkową cyfrę 1 *patrona* na 3 robotników, a mianowicie:

W piérwszéj gałęzi przemysłu 1 patrona na 11 robotników; w drugiéj gałęzi 1 patrona na 6 robotników; w trzeciéj 1 patrona na cokolwiek mniéj jak dwóch robotników.

Miasto Paryż objęte jest tym rozkładem; wyjątkowa przecież cyfra jego ludności i produkcyi daje mu we wszystkich statystykach miejsce osobne. Statystyka urzędowa wylicza w jego obrębie mniéj więcéj 123.369 *patronów* i 520.557 *robotników*. Z tych ostatnich wszakże 62 tysiące kwalifikować się zdają raczéj do piérwszéj kategoryi. Są to rzemieślnicy, oznaczeni specyalną nazwą *façonniers*, a pracujący u siebie, pospolicie z pomocą jednego czeladnika lub terminatora. Stosunek więc zachodzący tutaj między robotnikami a *patronami* oznaczają cyfry 52 : 12 = 4½ robotników na 1-go *patrona*.

Inny wykaz urzędowy z r. 1874 wyszczególnia rodzaj i znaczenie stosunkowe rozmaitych przedsiębiorstw w dwóch piérwszych gałęziach przemysłu i wylicza 131.616 robotników w piérwszéj a 667.014 w drugiéj; uwzględnione w nim bowiem zostały tylko *mechaniczne zakłady*. Ogólnéj cyfry przedsiebierstw w piérwszéj gałęzi nie podają urzędowe wskazówki; w drugiéj wynosić ma ona 150.000. Cyfry przedsiebierstw w trzeciéj gałęzi przedstawia mniéj więcéj dokładnie cyfra *patronów*. Klasyfikacya zaś rodzajowa byłaby tu zbyt uciążliwą.

Podana w tymże wykazie cyfra 320.955 koni odnosi się jedynie do maszyn parowych; zastosowane obok tych ostatnich motory hydrauliczne dają nadto siłę 260.000 koni mechanicznych równoważących zarówno jak tamte każdy sile trzech koni żywych czyli 21 ludzi. Stanowi to razem siłę roboczą odpowiadającą téj jakiéjby dostarczyć mogło w świecie starożytnym *12 milionów* niewolników.

Do olbrzymiéj téj cyfry, cyfra dzisiejszéj ludności roboczéj znajduje się w stosunku 1 do 4 prawie. Przecież i te 3.131.989, a razem z rodzinami 8.136.729 głów stanowią świat obszerny i głęboki, w którym rozejrzyć się szczegółowo nie łatwém jest zadaniem.

Rozpatrzenie się w ogólnym planie budowy tego świata piérwszym zda się krokiem na drodze do tego celu. Wspomnianą już została dawna forma, w któréj klasy robocze francuskie przetrwały do schyłku XVIII wieku, a którą burza ówczesna obaliła razem z całą budową społeczną. Formą tą był *cech (corps de métier, communante)*, budowa wzniesiona w XIII wieku przez kodeks rzemieślniczy (p. t. *Livre des métiers*) Stefana *Boileau*, burmistrza paryzkiego pod panowaniem Ludwika IX, na fundamencie wolnych stowarzyszeń zwanych czasami *gildyami* z epoki feodalnéj, opatrzona w kraty żelazne, zamki i rygle przez edykt Henryka III-go z roku 1581, i następne regulaminy *Colberta*, w ogólnych swych rysach zbliżona do naszego dawnego cechu.

W dniu 17 Marca 1791, Zgromadzenie narodowe francuskie uchwaliło prawo, którego artykuł 7 brzmiał jak następuje:

„Począwszy od 1-go Kwietnia przyszłego wolno będzie każdéj osobie prowadzić taki handel, trudnić się taką profesyą, kunsztem, lub rzemiosłem, jakie wybierze; z obowiązkiem wszakże uprzedniego zaopatrzenia się w patent, opłacenia tegoż podług niżéj wyszczególnionéj taryfy, oraz zastosowania się do przepisów policyjnych, wydanych lub wydać się mogących.“

Artykuł ten równał z ziemią całą budowę Stefana Boileau, Henryka III i Colberta. Nie poprzestało przecież na nim Zgromadzenie narodowe. Fundamentem starożytnym téj budowy były, jak nadmieniono, wolne stowarzyszenia rzemieślników, szukających w zespoleniu sił obrony przeciwko uciskowi feodalizmu. Nienawiść do saméj budowy uczyniła i fundament wstrętnym. Zasadnicza różnica dzieliła przecież te dwie połowy wiekowego gmachu, i odrębne im miejsce w rewolucyjném ustawodawstwie zapewnić była powinna. O ile jedna była dziełem despotyzmu, o tyle źródłem drugiéj była wolność. Pędzona przecież długo zbierającą się nawałnicą uraz i niechęci, zaciekłość reformatorska zamknęła oczy na to. W trzy

miesiące ustawa z 17 Marca uzupełnioną została drugą następującéj treści:

„Artykuł I. Gdy zniesienie wszelkiego rodzaju korporacyj złożonych z obywateli jednakowego stanu i profesyi jest jedną z podstaw konstytucyi francuskiéj, zabrania się przywracać takowe pod jakimkolwiekbądź pozorem i jakąkolwiekbądź formą.“

„Artykuł II. Obywatele jednego stanu i profesyi, przedsiebiercy, utrzymujący sklepy, robotnicy i towarzysze jakiegokolwiek kunsztu nie będą mogli, zgromadziwszy się, obiérać sobie prezydentów, sekretarzy lub syndyków, ani utrzymywać regestrów, ani wydawać rozporządzeń, uchwał lub regulaminów w przedmiocie *rzekomych interesów wspólnych*.“

Wątpliwą jest rzeczą, czy całe ustawodawstwo przemysłowe z epoki despotyzmu od Stefana Boileau do Colberta popisać się może równie despotycznėm rozporządzeniem.

A rezultat tych uchwał Zgromadzenia narodowego? Ich rezultat to przez wiek już blizko ciągnący się łańcuch krzywd rzeczywistych i skarg urojonych, sprawiedliwych żądań i bezrozumnych uroszczeń, dobroczynnych usiłowań i ekscentrycznych wybryków, którego ostatniém ogniwem za dni naszych: *internacyonałka* i *komuna*. Związany pierwéj tak z patronem jak z towarzyszami pracy węzłem nietylko hierarchii i karności, ale także opieki, solidarności, wzajemnéj pomocy i wzajemnego wpływu moralnego, robotnik znalazł się naraz osamotnionym. Mógł pracować jak i kiedy chciał, ale gdy mu pracy zabrakło lub choroba niezdolnym go do niéj uczyniła, miał radzić sobie *jak chciał* także. Służyło mu prawo dopominania się u *patrona* o wyższą płacę, cóż gdy znajdował *patrona* uzbrojonego w równe prawa obniżenia dowolnie takowéj. Niezależność rozprzęgniętych żywiołów silnie spojonego piérwéj organizmu, za niezależnością idąca obojętność względem wzajemnych potrzeb i antagonizm wzajemnych interesów, to cała *kwestya robotnicza!*

Nie mógł téż innym wywdzięczyć się rezultatem zamach rewolucyjny, który obalając nie stawiał nic na miejscu tego co obalał. Ustanowione prawem z 22 germinal'a XI roku *Izby doradcze sztuk i rękodzielni* (*Chambres consultatives d'arts et manufactures*), a prawem z r. 1806 *Rady arbitrów* (*Conseils des Prud'hommes)* i z pół tuzina drobiazgowych ustaw w przedmiocie kopalni, zakładów szkodliwych zdrowiu, terminatorstwa, pracy dzieci w rękodzielniach, długości dziennéj pracy i koalicyj, oto wszystko na co się zdobyło prawodawstwo francuskie od owéj epoki. *Izby doradcze* objaśniać miały rząd o potrzebach handlu i przemysłu; *Radom arbitrów* powierzone zostało „załatwianie na drodze pojednawczéj sporów codziennie powsta-

jących bądź między fabrykantami a robotnikami, bądź między majstrami, czeladnikami i terminatorami; oraz sądzenia, do wysokości 60 fr. bez form i kosztów proceduralnych i bez apelacyi, sporów względem których droga pojednawcza okazałaby się bezskuteczną. W tym ostatnim względzie kompetencya *Rad arbitrów* podniesioną została przez prawo z r. 1853 do 200 fr. bez apelacyi i do nieograniczonéj wysokości z możnością odwołania się do trybunału handlowego. W skład tych Rad wchodzą członkowie obrani przez podsądnych, t. j. przez patronów i przez robotników. Obiedwie instytucye oddają niezaprzeczone usługi, ostatnia zwłaszcza. W 1807 już roku kilkanaście miast upomniało się o nią; obecnie zaś 112 Rad funkcyonuje na terytoryum francuskiém z zupełném powodzeniem, bo załatwiają zgodnym sposobem 90% spraw zanoszonych przed nie. Ale są to oczywiście instytucye jednostronne, po za dobroczynną ich działalnością pozostaje jeszcze ogrom niedotkniętych zagadnień społecznych.

Nie zabrakło wprawdzie w ciągu kilkudziesięciu lat pokuszeń, często odnawianych nawet, jakiéjś na szerszą skalę założonéj rekonstrukcyi społecznéj. Stawiano programata, układano plany, budowano na papiérze nowy układ społeczeństwa, Marot, Babeuf, St. Simon, Fourier, Cabet, Ludwik Blanc, Proudhon, wysilali się na te systemata, przez chwilę nawet *warsztaty narodowe*, urządzone w pałacu Luxemburskim zaraz po rewolucyi lutowéj, miały niby doprowadzić do praktycznego rozwiązania kwestyi robotniczéj; ale teorye przebrzmiały bez śladu, próby praktyczne nie powiodły się, a na zwaliskach tych wszystkich mniéj więcéj potwornych kleceń, niwelacyjne ustawy 17 Marca i 17 Czerwca r. 1791 pozostają prawem obowiązującém.

Tak to zwykle łatwiejsza robota z oskardem niż z kielnią, i dzieło zburzenia mniejszym niż dzieło odbudowania obchodzi się mozołem.

Wszelka niwelacya stosunków przez prawodawstwo z r. 1751 dokonana nie ostała się w zupełności. Nie dopisały osobne teoretyczne rekonstrukcyjne zamachy, z lepszém natomiast spotkały się powodzeniem pojedyńcze usiłowania praktyczne. I stało się tu to samo, tylko na odwrót co się stało w owym przez Zgromadzenie narodowe wywróconym budynku. Jak tam, na fundamencie zwolna przez obyczaje założonym, despotyzm zbudował swoję więzienną turmę; tak tu, na fundamencie despotycznéj niwelacyi, wzniosły się powoli potrzebom wolności odpowiadające lepianki. Posłużył w znacznéj części do tego nowego budownictwa pozostały z obalonéj budowy gruz, którego prąd niwelacyjny z roku 1791 i lat następnych

wynieść nie zdołał, w jaki sposób? wykaże to historya owych lepianek.

Zauważyć najpiérw wypada, że uchwała Zgromadzenia narodowego z 17 Czerwca 1791 jeżeli główńie miała na celu stowarzyszenia, w przyszłości między ludźmi jednego rzemiosła wytworzyć się mogące na *wolnéj* stopie, tedy wymierzoną była także przeciwko pewnéj formie stowarzyszeń już istniejących *na téj stopie* obok urzędowych korporacyj i w zupełnéj od nich niezależności. Datę zawiązku stowarzyszenia zwanego *compagnonnage* oznaczyć trudno. Tradycyjne legendy niektórych stowarzyszeń tego rodzaju odnoszą ją do czasów Salomona. Nic prawdopodobniejszego zresztą jak to, że jakikolwiek węzeł łączył te stowarzyszenia z dawniejszemi *gildyami*, jak te znowu, przez Franków zaszczepione na ziemi galijskiéj, przechowywać musiały w pewnéj mierze skarb germańskich tradycyj, ale i wiązać się w pewnéj też mierze z tradycyą rzymskich korporacyj. Cała bowiem historya jest w ten sposób nigdzie nieprzerwanym łańcuchem.

W każdym razie epoka rewolucyjna znalazła już *kompanionaż* w pełnym rozwoju. Wiązał on, siecią stosunków pokrywającą całe terytorium Francyi, wszystkich robotników jednego fachu, ale tylko *robotników* z wykluczeniem *patronów.* Zapewnić wędrującym i przybywającym do obcego miasta robotnikom niezbędną pomoc i zatrudnienie, oto cel główny stowarzyszenia skupiającego przeważnie rzemieślników do budowniczego fachu należących, jako obowiązanych prawem zwyczajowém do wędrówki po kraju *(Tour de France).* Sam atoli skład stowarzyszenia czynił zeń obóz przeciwny obozowi korporacyj urzędowych, w których arbitralną niemal władzę sprawowali *patronowie*, i podsuwał mu inne cele. Zdarzało się, iż *(compagnon)* pokrzywdzonym się mieniąc przez swego *patrona* zanosił skargę do swego towarzystwa *(compagnonnage)*; że towarzystwo, biorąc na się rolę sądu, potępiało *patrona,* i że skutkiem tego potępienia (*damnation*) było opuszczenie warsztatów potępionego przez wszystkich towarzyszy, aż do naznaczonego przez towarzystwo zadośćuczynienia. Zdarzało się daléj, iż tego rodzaju potępienie wyrzekaném bywało na całe miasto, które miało nieszczęście zasłużyć na niełaskę towarzystwa; zaczém wszyscy towarzysze opuszczali potępione mury, aż do chwili w któréj przywiedziony do ostateczności magistrat zniewolonym był przybyć do sąsiedniego miasta dla ułożenia warunków podniesienia interdyktu.

Zdarzało się jeszcze, po rozpadnięciu się towarzystw jednego fachu na kilka odrębnych kółek, że kółka te zwane *Obowiązkami* (Devoirs) stawiały między sobą na kartę, lub wyznaczały jako premium dla *Obowiązku* popisującego się najprzedniejszym majstersztykiem

kiem, eksploatacyą na pewien przeciąg lat pewnego miasta lub pewnéj okolicy. Więc w r. 1720 kamieniarze grają między sobą o eksploatacyą Lyonu na sto lat; wygrywa *Obowiązek* t. z. „Cudzoziemców“ i przez sto lat towarzysze „Wędrowcy“ mają wstęp do tego miasta zamknięty. Zdarzały się nakoniec łatwe do przewidzenia między towarzystwami i między *obowiązkami*, między „Dziećmi Salomona“ a „Dziećmi majstra Jakóba,“ między „Wilkami“ i „Dobremi dyabłami“ kłótnie i zatargi, prowadzące częstokroć do starć krwawych, do prawdziwych bitw. Wiązała się z tém wszystkiém praktyka pewnych tajemniczych obrzędów, znaków i godeł, przyczyniająca się do pokrywającéj całą tę organizacyą grozy jakiéjś tragicznéj, dotąd w ponurych i krwawych legendach przechowanéj.

To téż przed ustawą jeszcze z roku 1791, przyszło w roku 1778 do wydania w parlamencie dekretu, którym Zgromadzenia „Towarzyscy“ formalnie wzbronione zostały. Przecież i tego dekretu i póżniejszéj ustawy taki w kilkadziesiąt lat daje się widziéć skutek, że gdy wydaleni z Lyonu na lat sto, jak wyżéj wzmiankowano, towarzysze „Wędrowcy“ pokuszają się po upływie oznaczonego czasu o powrócenie do praw utraconych, towarzysze „Cudzoziemcy“ uzbrajając się w jakiś dziwaczny wykład zapadłych w Parlamencie i Zgromadzeniu Narodowém uchwał, odpychają przybyszów i przychodzi do walki, w któréj kilka pada ofiar.

Jeżeli zaś wzmiankujemy tutaj o historyi stowarzyszeń *obowiązkowych*, to dla tego, że w ich organizacyi, z całym właściwym jéj przyborem tajemniczości i kabalistyki, dziś jeszcze nie należącą do innego czasu mumią obyczajową widziéć należy, ale, wbrew literze prawa, żywą formę społeczną. Wbrew literze prawa, robotnik osamotniony i czysto indywidualném żyjący życiem, taki jakim go miéć chciało to prawo pozostał wyjątkiem. Silniejsze od wszelkich przepisów prawnych ciążenie moralne wciągnęło go wszędzie niemal w koło pewnych towarzyskich kombinacyj. Jedną zaś z takich kombinacyj pozostał *kompanionaż*. Uzbrojone w prawodawstwo z roku 1791 rozporządzenia merów i prefektów znużyły się w walce z upornie broniącą się organizacyą jego. *Kompanionaż* utrzymał się i, zostawszy w ten sposób dziedzicem *urzędowéj* formy stowarzyszenia, przejął niektóre jéj atrybucye, które w dawnéj jego formie obcemi mu były.

Czém stał się on na téj drodze, o tém dadzą wyobrażenie zebrane tu wskazówki, odnoszące się do *towarzyszy* fachu ciesielskiego, jednego z najpotężniéj stowarzyszonych.

Obejmuje *kompanionaż* w tém rzemiośle dwa odrębne kółka. Najsilniéj zorganizowane, najliczniejsze i najdawniejsze téż jest kółko

Towarzyszy wędrujących, inaczéj zwanych *Towarzyszami obowiązku*, zajmujące w Paryżu prawy brzeg Sekwany. Na lewym brzego usadowione kółko *Towarzyszy wolności* zdaje się składać z odstępców od piérwszego kółka. *Towarzysze wędrujący* dzielą się na trzy klasy, odpowiadające trzem hierarchicznym stopniom. Pierwszą i najniższą jest klasa terminatorów (*apprentis*), zwanych „Królikami“ (*lapins*). Po odbyciu odpowiedniéj próby ci ostatni przechodzą do klasy aspirantów czyli „lisów;“ z téj zaś dopiéro do klasy rzeczywistych towarzyszy, w któréj przybierają zazdrośnie przez „królików“ i „lisów“ pożądane przezwisko „psów.“ Przezwiskom tym odpowiada nazwa „małpy,“ powszechnie dawana w ciesielskim fachu *patronowi*, bez żadnéj ubliżającéj myśli.

Obowiązujący do niedawnego czasu artykuł ustawy *Towarzystwa obowiązku* wykluczał zeń robotników żonatych, jako nie mogących należéć w sposób nieograniczony do towarzystwa. To spowodowało założenie osobnego kółka *Dawnych Towarzyszy*, którym z niewiadomego źródła dodane zostało przezwisko: *Agrichons*. Obecnie wykluczenie to, które przez *towarzyszy wolności* nigdy w praktykę wprowadzone nie zostało, nie ma już miejsca. Stolicą *Towarzystwa obowiązku* jest miasto Lyon; tam, w uświęconém siedlisku władz Towarzystwa, przechowywują się święte jego ustawy i archiwa, zniszczone niestety w części przed kilkunastu laty. Uświęconém tém siedliskiem jest oberża, trzymana przez wybraną głosami towarzyszy damę, która pod nazwą *Matki*, odpowiedniemi téj nazwie hołdami zaszczycana, uosabia niejako Towarzystwo. Obok *Matki*, gwoli załatwianiu spraw Towarzystwa, znajduje się dodany jéj do pomocy kancelista (*commis*) i tak zwany *Rouleur*, którego więcéj specyalnym obowiązkiem jest przyjmowanie i zaopatrywanie w pracę przybyszów: obaj z pomiędzy towarzyszów wybrani.

Wybór *Matki* podlega pewnym tradycyjnym formom. Wybraną może być tylko kobiéta zamężna; przecież raz już wybranéj nie wyklucza po wyborze zdarzona strata męża. Obok tego warunku uczciwość i przykładność obyczajów w piérwszym stają rzędzie między kwalifikacyami do matkowania towarzyszom. Instalacyi obranéj *Matki* dokonywują komisarze, delegowani przez ogólne zgromadzenie towarzyszy. Za ich staraniem spisanym zostaje akt notaryalny, zapewniający Matce posiadanie domu na siedlisko centralne Towarzystwa przeznaczonego, oraz kontrakt ustanawiający obowiązki Matki względem Towarzystwa. Po uroczyście dokonanym obrzędzie przyjęcia, nowo-obrana odbiéra wszędzie gdzie się pokazuje pełne uszanowania hołdy; obecność jéj niezbędną jest przy wszystkich innych

uroczystościach i obrzędach, w których piérwsze zawsze należy jéj się miejsce.

Wspomniani wyżéj asystenci Matki nie mają udziału w tych honorach. Piérwszy *(commis)* jest rzeczywistym urzędnikiem Towarzystwa poświęcającym mu cały swój czas i odpowiednio wynagradzanym (około 1.800 fr. rocznie). Do niego należy prowadzenie księgi, w któréj wpisaném bywa przybycie i oddalenie się każdego towarzysza; utrzymywanie rachunków, zbieranie wiadomości względem prowadzenia się towarzyszy i nakoniec zwoływanie w oznaczonych terminach ogólnego zgromadzenia. Jest on przytém naturalnym piastunem wszystkich podań i tajemnic towarzystwa, a więc i arbitrem w odnoszących się do tego przedmiotu kwestyach; w czém jednak odwoływać się zwykł częstokroć do najstarszych członków.

Urząd drugiego asystenta Matki *(rouleur)* jest tygodniowym tylko, kolejno przez wszystkich towarzyszy i bezpłatnie sprawowaną służbą. Oprócz obowiązku względem przybywających wchodzi jeszcze do téj służby kwitowanie oddalających się towarzyszy, t. j. opatrzenie ich świadectwem, iż nie zostawiają w daném miejscu żadnych zaległości. Cel téj formalności zaraz poznamy.

Nie jest bowiem całe powyżéj skreślone urządzenie jednemu stołecznemu miastu właściwém. W téj saméj formie, aczkolwiek na mniejszą stopę, powtarza się ono we wszystkich miastach należących do tak zwanéj *wędrówki naokoło Francyi*, któréj odbycie jest każdego towarzysza obowiązkiem. Miast takich, mających każde swoję *Matkę* i odpowiednie bióro, jest prócz Lyonu trzynaście. Inne miasta leżące na przebiegu *wędrówki*, ale dla szczupłéj ilości towarzyszy nie zdolne utrzymywać *Matek*, zwane są „bękarciemi miastami."

Wędrujący od jednego do drugiego z miast uprzywilejowanych towarzysz nietylko nie powinien zostawić w żadném z nich najmniejszéj zaległości, ale nadto wyrachować się jest obowiązanym z czasu na przebycie z miejsca na miejsce zużytego. Kwit wskazujący datą swoją dzień, w którym ostatnie miejsce pobytu opuszczone przezeń zostało, służy przybywającemu towarzyszowi do téj podwójnéj legitymacyi, któréj dopełnienie w miejscowém biórze pierwszą jest jego czynnością.

Zebrania odbywają się co miesiąc w każdém *Matkę* posiadającém mieście, dla obrad nad interesami towarzystwa i uregulowania rachunków. Układa się na tych zebraniach budżet Towarzystwa. Nie wchodzą atoli do tego budżetu żadne stałe składki. Trzy razy do roku, na Św. Józef, na Św. Piotr i na Wszystkich Świętych ma sobie zebranie oznajmioną przez utrzymującego rachunki urzędnika wysokość obciążających Towarzystwo wydatków; poczém następuje

odpowiedni rozkład między członkami potrzebnéj sumy i natychmiastowe uiszczenie należności. W Paryżu wynosi ona od 3 do 4 fr. miesięcznie.

Cel organizacyi wskazany już w części został samym jéj opisem. Zastępuje ona organizacyą cechową w jéj nadzorczéj działalności; ale i opiekuńcza, dobroczynna rola téj ostatniéj nie jest jéj obcą. Pozbawiony przez chorobę lub kalectwo sposobu zarobkowania, otrzymuje z kasy Towarzystwa stałą zapomogę w sumie najmniéj 2 fr. dziennie. Ma też towarzystwo swoich, roczne wynagrodzenie pobierających doktorów, i opłaca wszystkie apteczne wydatki. Nakoniec zadłużonych bez własnéj winy towarzyszy, wspiéra Towarzystwo i wydobywa z rąk lichwiarzy.

Najoryginalniejszą atoli i nie najmniéj na wzgląd zasługującą rolą Towarzystwa, jest edukacyjna jego rola. Chwyta ono początkujących w zawodzie ciesielskim wyrostków i, przez stopnie swéj hierarchii ich prowadząc, stawia ich po latach kilku w rzędzie *towarzyszy* jako wykwalifikowanych rzemieślników. Werbunek odbywa się naturalnie przy pracy na jednym warsztacie; przyjęty w krótkim czasie do klasy *aspirantów* młodzieniec pracuje od téj chwili pod okiem, kierunkiem i kontrolą starszych *towarzyszy*, którym to przyjęcie zawdzięcza. Nie poprzestaje wszakże towarzystwo na téj praktycznéj edukacyi. W godzinach wieczornych biegli w swym fachu i łatwością wykładu odznaczający się *towarzysze* uczą w przeznaczonych *ad hoc* salach tak zwanego *trait*, obejmującego rysunek linijny i zasady obrysów ciesielskich. Do takiéj szkoły obowiązanym jest uczęszczać *aspirant*. Wstęp do niéj podlega małéj opłacie, oraz obowiązkowi dostarczania papiéru, ołówków, linij i świéc. Paryż i jego okolice liczą 6 szkół podobnych, otwartych od Wszystkich Świętych do końca Marca, od 6-téj do 10-téj godziny co wieczór.

Czas szkolnego wykształcenia łączy się nadto dla *aspiranta* z czasem obowiązkowéj również *wędrówki*; zarazem obznajmia się on z różnorodnemi metodami i poznaje najbieglejszych majstrów.

Po kilku latach *aspirant* podaje się na *towarzysza*. Pracowitość, uczciwość i *wolność od długów* koniecznemi są do kandydatury kwalifikacyami. W podziemnych salach, w których, gwoli tradycyjnemu, ale niewinnemu jak się zdaje zgoła upodobaniu do tajemniczości, odbywają się wszystkie zebrania Towarzystwa, kandydat podlega przed trybunałem z biegłych towarzyszy złożonym, egzaminowi trwającemu od 1 do 2 godzin.

Wytrzymujący tę próbę (pospolicie wytrzymuje ją połowa kandydatów) przechodzi natychmiast do specyalnéj sali przyjęć, gdzie wzmiankowany już urzędnik Towarzystwa (*commis*), mając przy

boku jednego ze starszych towarzyszy, przypuszcza go do tajemnic *kompanionażu*. Jednocześnie, za zgodą dwóch przyjmujących go dygnitarzy, przybiéra nowy towarzysz jedno z właściwych *kompanionażowi* przezwisk, w którém z przypomnieniem rodzinnego miejsca towarzysza łączy się wybitny rys jego charakteru. Późniéj, w warsztatach przyczepianym bywa jeszcze do tak złożonego przezwiska przydomek, zawiérający wskazówkę jakiéjś moralnéj lub fizycznéj właściwości, np. *Dauplesiois le Courageux dit le Grand-nez; Maçonnais la vertu, dit le Brun*; *Manceau la prudence dit la Grande—Soupière* itp.

Przybrane przez nowego towarzysza przezwisko wpisane zostaje razem z właściwém imieniem do księgi towarzyszy; przyczém wykładane mu są jego obowiązki. Jednym z piérwszych jest płacenie punktualne wszelkich należności. Za najmniejszą skargą zaniesioną do *matki* urzędnik Towarzystwa powołuje przed siebie oskarżonego i stara się o załatwienie sprawy, namową, groźbą, lub niezbędném wsparciem. W razie nieskutkowania tych środków krnąbrny towarzysz może być wydalony z Towarzystwa i wymazany z jego księgi.

Nowo-przyjęci towarzysze biorą udział w uroczystości patronalnéj, z którą zwykle łączy się ceremonia przyjęcia. Honorowe miejsce przeznaczone im jest u biesiady, przy końcu któréj zwykli sławić swoję nową godność w humorystycznych śpiewkach.

Nic bardziéj jaskrawo nie odbija od ogólnego tła obyczajów nad te drogie *towarzyszom* obchody. W dzień ś-go Józefa paryzcy *towarzysze obowiązku* zbierają się między 10-ą a 11-ą u *matki*. Nieobecni płacą 5 fr. kary, jeżeli nie tłómaczy ich słuszna wymówka. Obowiązkowym jest strój świąteczny, wykluczający bluzę i czapkę, chybaby znowu nie miał towarzysz innego odzienia. O 11-éj odbywa się uroczysty pochód do kościoła Ś-go Wawrzyńca na mszę. Wśród szczupłéj liczby paryskich robotników, zachowywujących religijne uczucia i obrzędy, towarzystwo obowiązku największy stanowi procent; i ci jednak z jego członków, którzy wśród powszechnéj obojętności lub nawet niechęci dla porzuconego kościoła nie stanowią wyjątku, przecież do *mszy Ś-go Józefa* jako część tradycyi Towarzystwa stanowiącéj, wielką przywiązują wagę. *Matka* postępuje na czele podawszy rękę jednemu z najstarszych towarzyszy; za matką idzie muzyka, która i w kościele przygrywa; za nią kroczą towarzysze dwoma szeregami, w godła swe przybrani, pośrodku zaś kilkunastu towarzyszy niesie *majstersztyk*. Jest to model ciesielskiéj roboty, wykonany w 1842 przez najbieglejszych ówczesnych majstrów i gromadzący wszystkie główne trudności rzemiosła umiejętnie pokonane. W kościele *majstersztyk* stawia się naprzeciwko wielkiego ołtarza.

Matka zajmuje miejsce na chórze. Kazanie, w środku mszy wypowiedziane, mieści obowiązkowy panegiryk rzemiosła ciesielskiego.

Po mszy orszak wraca i obnosi chléb poświęcony po domach mera, adjunktów, komisarza policyi, proboszcza parafii, kilku kupców i nareszcie dwóch handlarzy drzewem, sprawujących względem Towarzystwa rodzaj przyjacielskiego patronatu, nader pożytecznego w stosunkach z władzami i wpływowemi osobami. Potém następuje składkowy obiad u *matki*. Przy końcu obiadu *matka*, miejsce honorowe zajmująca w otoczeniu najstarszych towarzyszy, zdaje sprawę w przygotowanéj mowie ze stanu Towarzystwa, poczém świeżo przyjęci towarzysze popisują się swemi śpiewkami. Oprócz *matki* żadna inna kobiéta nie bywa przypuszczoną do téj biesiady.

Od stołu wstawszy idą towarzysze ubiérać się na *bal*, który ma miejsce w wynajętéj na ten cel sali. Każden towarzysz ma prawo do dwóch biletów, a każden mężczyzna wprowadzić może dwie damy. Wciska się niestety tym sposobem pewna liczba kobiét lekkiego prowadzenia, których obecność jest tolerowaną, o ile przyzwoicie się zachowują. *Matka* otwiera bal, tańcząc z jednym ze starszych; poczém przechadza się, wśród otaczających ją wszędzie hołdów. Po kilku godzinach oddala się przykładem monarchiń; bal zaś przeciąga się do rana.

Mniéj wesoła uroczystość zgromadza również obowiązkowo wszystkich towarzyszy w jedném mieście zamieszkałych z matką na czele na pogrzeb jednego z nich. Na grobie odprawiają się pewne tradycyjne obrzędy wśród śpiewów i krzyków dziwacznych.

Niegdyś obowiązkowém było jeszcze odprowadzenie gromadne opuszczającego miasto towarzysza, dające najczęściéj przy zalewających żal rozstania się libacyach, powód do kłótni i krwawych nieraz bójek między współzawodniczącemi stowarzyszeniami. Ta okoliczność i przewrót sprawiony w obyczajach przez koleje żelazne sprowadziły zaniechanie tego obrzędu. Zastępują go pożegnalne toasty, wypijane w przeddzień odjazdu u *matki*.

Wspomniane wyżéj *godła*, przez towarzyszy noszone, zmieniają się stosownie do uroczystości. W dzień Ś-go Józefa występują wszystkie i długa laska z gałką noszącą tajemnicze litery V. G. T. U; dwa kolczyki z zawieszonemi z jednéj strony kompasem i węgielnicą na krzyż złożonemi, z drugiéj strony małém dłótkiem obosieczném (*besaigue*); nakoniec wstążki wkoło kapelusza okręcone, czerwone, białe i czarne po 4 każdego koloru. Na wstążkach tych błyszczą złotem drukowane: cztery litery wyżéj wymienione, imię towarzysza obok symbolicznych podobieństw kompasu i dłóta, i zwykle kilka rysunków do męki Jezusa Chr. się odnoszących. Wstążki te „sprze-

dają się jedynie w miejscowości pewnéj departamentu Var, kędy stary towarzysz usadowiony został i otrzymał przywiléj od wszystkich *kompanionaży* francuskich dostarczenia tychże współtowarzyszom wszystkich fachów. Miejscowością tą jest wieś *Manimin* w blizkości groty zwanéj *La Sainte Beaume*, którą tradycya wskazuje jaką ostatnie schronienie Ś-téj Magdaleny, i która jest miejscem świętém wszystkich *kompanionaży*, corocznie przez dwóchset mniéj więcéj towarzyszy odwiedzanėm. Wstążki kupione na miejscu, lub od urzędnika (commis), który ich w depozycie pewną ilość zwykł miewać, ocierane bywają o statuę Ś-éj Magdaleny, przyczém odźwierny sąsiedniéj pustelni przykłada na książeczce pielgrzyma pieczątkę, świadczącą o jego bytności w miejscu świętém.

Wstążki używane bywają w rozmaity sposób; barwa czerwona jest świąteczną barwą; biała i czarna pogrzebową; czerwoną samę kładzie towarzysz przy pożegnalnych obchodach. Z laską natomiast nie rozstaje się w żadnéj uroczystości; ani téż zabrać mu jéj nie można bez wyrządzenia mu zniewagi, która przez całe towarzystwo pomszczona być powinna.

Takim jest *kompanionaż* w rzemiośle ciesielskim; takim we wszystkich innych, w których się dotąd przechował. Że, jak nadmieniliśmy, należy w nim widzieć żywotną formę społeczną, świadczy najwymowniéj to iż rok 1832 jest datą założenia nowego stowarzyszenia tego rodzaju, które w r. 1855 liczyło już 4.000 członków. Założyli je robotnicy tkacze szalów w Lyonie, poróżnieni ze swemi majstrami i obrony swych interesów w téj formie szukający. Tu więc punktem wyjścia nowego stowarzyszenia jest ten cel, który dawnym stowarzyszeniom dopiéro w ciągu ich działania sam się nasunął. Natomiast cel zasadniczy tych ostatnich, wędrówka naokoło Francyi, pominięty został w nowém stowarzyszeniu. Każde miasto, w którém znajduje się jakikolwiek nieco na większą skalę urządzony zakład tkacki, policzone jest do rzędu miast związkowych (ville du Devoir); ale *towarzysze—tkacze* mogą udawać się do tych ostatnich bez pilnowania się systematycznego porządku i bez obowiązku odbywania drogi od jednego do drugiego miasta w czasie oznaczonym. Pospolicie emigracye z jednéj do drugiéj miejscowości fabrycznéj postanawiane bywają w skutek wskazówek otrzymanych z bióra informacyjnego, ustanowionego w każdém z miast związkowych. Bióra te komunikują się między sobą w pewnym promieniu, starając się o rozdzielenie sił roboczych rozporządzalnych między znajdujące się w tym promieniu miejscowości fabryczne, odpowiednio do zapotrzebowań tych ostatnich. Zresztą nowe stowarzyszenie ukształtowało się na wzór dawnych, nawet pod względem form zewnętrznych i pod

nazwą: *Ferrandiniers* (od tkaniny zwanéj *ferrandine*) przyjęte zostało w r. 1842 za pośrednictwem towarzyszów—siodlarzy, do grona *stowarzyszeń obowiązkowych.*

Z téj ostatniéj wzmianki i kilku innych poprzednich pokazuje się, że *kompanionaże* mają pewną ogólną organizacyą, łączącą wszyskie doń należące stowarzyszenia; związek atoli z téj organizacyi wynikający, czysto moralnéj zdaje się być natury, bez żadnego materyalnego znaczenia.

Rzecz oczywista, że w skreślonéj tu formie stowarzyszenie, *kompanionaż* jest czynnikiem społecznym dodatnim, ale i to nie mniéj oczywistą jest rzeczą, że nie zastępuje on dawnego cechu w całym zakresie jego działalności, a tém samém nie daje rozwiązania *kwestyi robotniczéj*, wyrosłéj jak wyżéj wskazano na gruzach téj obalonéj formy urzędowego stowarzyszenia. Znika tu osamotnienie robotnika, ale pozostaje antagonizm względem *patrona.* Owszem, staje się sam kompanionaż, jak to wymownie wykazał przykład towarzyszy-tkaczy Lyońskich, tegoż antagonizmu objawem, narzędziem wojennėm, wymierzonėm przez obóz robotników przeciwko obozowi *patronów.*

Skądinąd, jeżeli żywotność kompanionażu faktem jest niezaprzeczonym, nie mniéj faktem jest także to, że charakter téj organizacyi, ten dziwaczny amalgamat tradycyi, religijności i przesądu, nie odpowiada dziś już wyobrażeniom i upodobaniom większéj liczby robotników, że większa liczba dziś już usuwa się od niéj, a przeto nietylko nie należy upatrywać w niéj formy społecznéj mogącéj powszechnie i trwale zapanować nad stosunkami robotniczemi, ale przeciwnie należy przewidywać jéj całkowity, w mniéj lub więcéj oddalonym czasie, upadek. Upadek ten zapowiadają już w łonie samych stowarzyszeń *obowiązkowych* nieomylne symptomata. Jak zwykle strona zewnętrzna, godła, hasła i obrządki pozostają nietknięte, w niwecz idzie duch instytucyi, jéj praktyczne materyalne i moralne rezultaty. W domach przez *matki* utrzymywanych znajdują po dawnemu towarzysze gromadne uroczystości i bankiety, ale nie znajdują po dawnemu pracy, tj. środków do znalezienia zajęcia, i władze coraz mniéj przychylném okiem patrzą na te zbiorowe punkta, coraz mniéj chwalebnych zbiegowisk.

Nie idzie zatém, aby razem ze stowarzyszeniami *obowiązkowemi* upaść miała sama zasada stowarzyszenia. Owszem i to stanowi właśnie doniosłość główną upadającéj formy, oraz usprawiedliwienie chwil poświęconych przez nas jéj naszkicowaniu, nietylko zasada, ale owe praktyczne rezultaty, które z jéj pomocą osiągnąć potrafił kompanionaż, odnajdują dziś już tylko w innym kształcie mniéj lub więcéj

szczęśliwe zastosowania między stroniącymi od stowarzyszeń obowiązkowych robotnikami. Jak powiedziano wyżéj, robotnik osamotniony t. j. nie należący do żadnego stowarzyszenia, wyjątkiem jest w społeczeństwie francuskiém, wyjątkiem w dwóch tylko stołecznych miastach w poważnéj występującym liczbie, w Paryżu i w Lyonie, gdzie téż kwestya robotnicza najgroźniejszy przybiéra charakter.

Jaką znów doniosłość mają nowe te, spadek po *kompanionażu* obejmujące formy stowarzyszenia, jak dalece stanowią one lub są zdolne stanowić rozwiązanie *kwestyi robotniczéj* o tém czytelnik zawyrokuje sam, rozpatrzywszy się w ich szczegółach.

Między spadkobiercami tymi w pierwszym rzędzie postawić wypada „Stowarzyszenia wzajemnéj pomocy“ (*sociétés de secours mutuels*). Nie żebyśmy chcieli pominąć innego głośniejszego, niestety spadkobiercę: *Stowarzyszenie międzynarodowe*; ale to spadkobierca nieprawny, płód cudzołożniczych stosunków robotnika z polityką. Objął on też część tylko spadku, tę mianowicie, która w *kompanionażu* samym niezupełnie prawnym była nabytkiem. *Stowarzyszenie międzynarodowe* dla robotnika jest tylko obozem uzbrojonym do walki z kapitałem, niczém więcéj. Od kilkudziesięciu lat już ciągnące się dzieje téj walki znane są wszystkim. Od czasu do czasu organizują się wielkie zapasy, które zwą się *bezrobociem*. Na dane hasło robotnik opuszcza warsztat, obiecując sobie żyć z pomocą zasiłków z kasy stowarzyszenia zaliczanych. Podwyższone składki do kasy, z podwyższonego po zwycięztwie zarobku, wynagrodzić mają za te zaliczki. Znane są także wszystkim dotychczasowe rezultaty walki. Zasiłki z kasy stowarzyszeniu dostarczone wyczerpują się prędzéj niż opór ufnych w potęgę kapitału patronów. Głodem przyciśnięty robotnik wraca do warsztatu, zdając się na łaskę i niełaskę. Dotkliwe straty po jednéj stronie, dotkliwsza niż przedtém nędza po drugiéj, oto buletyn bitwy. Pojedyńcze tryumfy, jak ten np., który w r. 1845 zapewnił robotnikom ciesielskim podwyżkę 0,10 c. na cenie godziny pracy w rzadkich z tego tła ponurego przeświecają odstępach. A i te jakże drogo bywają opłacane! Bezrobocie z r. 1845 podwyższyło zarobek robotników ciesielskich, ale, wydoskonalone w ciągu bezrobocia, pod naciskiem potrzeb przezeń stworzonych, żelazne wiązania dachów zadały dotkliwy cios całemu przemysłowi ciesielskiemu. Zniewoleni zostali patroni do płacenia wykwalifikowanym „towarzyszom“ 5,50 dziennie, cóż gdy w ścieśnionym zawodzie odpowiedniego zajęcia nie znajdując, towarzysz ujrzał się zmuszonym do licytowania *in minus* własnéj pracy i do najmowania się w charakterze prostego „królika“ za 4 i 3 fr. W ogóle walka nie opłaca się. Wiedzą o tém kierownicy; celem organizowanych przez nich bezroboci

nie jest téż pospolicie zwycięztwo, lecz tylko rozjątrzenie umysłów, gwoli daléj położonemu, ogólniejszemu celowi stowarzyszenia, t. j. przewrotowi całego społecznego układu. Coby taki przewrót przyniósł robotnikowi, to pozostaje dotąd zagadką, skoro stowarzyszenie międzynarodowe nie zdobyło się dotąd na żaden praktyczną doniosłość mający program. Uroczysty kongres robotniczy niedawno zebrany w Lyonie, a za parlament niejako *międzynarodowego* państwa uchodzić mogący, rozszedł się po wygłoszeniu axyomatów bardzo ważnych, że każden robotnik powinien mieć podostatkiem jadła do zaspokojenia głodu i podostatkiem napoju do zaspokojenia pragnienia. Nazajutrz po dokonanym przewrocie robotnik znalazłby się też w obec tego rodzaju formułek, albo w obec kombinacyj pokrewnych z pomysłami Baboeufa, Cabeta i Proudhona. Nie na téj drodze, nie na drodze jednostronnych bezwzględnych postulatów znaléść można jakąkolwiek logiczną formę społecznego układu, który musi koniecznie być kompromisem wielostronnych interesów.

Z praktycznego przeto stanowiska *stowarzyszenie międzynarodowe* tylko ujemném jest zjawiskiem, które dłużéj zatrzymywać tu czytelnika nie powinno. Dodać jednak należy, że odpowiedzialność za jego istnienie spada w znacznéj mierze na prawodawstwo z r. 1791. Z jednéj strony bowiem stworzyło ono stan dla klasy roboczéj nieznośny, z drugiéj strony odjęło jéj możność szukania na legalnéj i jawnéj drodze środków jego polepszenia. Cóż dziwnego, że robotnicy rzucili się na drogę nielegalnych i tajnych nurtowań, ta zaś nielegalność i tajemniczość będące plagą stowarzyszeń, z cieniu podziemnych lochów na światło dzienne wydobyte ujawniłyby prędko płochość swą lub monstrualność dążeń. Przejrzeli to prawodawcy francuscy, ale za późno, bo dopiéro w roku 1852 przyznali dobrodziejstwo legalnego bytu *stowarzyszeniu wzajemnéj pomocy*, i to nie zupełnie, bo ograniczając je do stowarzyszeń tego rodzaju, otoczyli nadto zastrzeżeniami paraliżującemi w znacznéj mierze jego doniosłość.

Datą założenia pierwszego *stowarzyszenia wzajemnéj pomocy* jest rok 1819; pierwszymi uczestnikami bronzownicy Paryscy, stowarzyszeni pod hasłem: „*du bon accord*“; celem stowarzyszenia zapewnienie stałéj pieniężnéj zapomogi stowarzyszonym, pozbawionym możności zarobkowania przez chorobę. Tolerowane przed rząd Restauracyi, mniéj więcéj jednostajne naśladownictwa tego prototypu wzrosły w roku 1830 do liczby 300. Więcéj tolerancyjnym jeszcze okazał się rząd Ludwika Filipa. Co ważniejsza, zyskały stowarzyszenia wzajemnéj pomocy potężnego opiekuna w duchowieństwie francuskiém, zwłaszcza na południu. Zaczém w roku 1847 liczono już około 2.056 stowarzyszeń, rozporządzających kapitałem 5.500.000 fr. Opieka je-

dnak i rządowa tolerancya, z literą prawa sprzeczne, chwiejną zawsze i od kaprysu merów i prefektów zależną była podstawą. Rewolucya roku 1848 dopiéro stała się dla stowarzyszeń wzajemnéj pomocy prawdziwym aktem emancypacyjnym. W jednéj chwili téż pokryły one całą Francyą, rozszerzając jednocześnie pola swéj działalności, ustanawiając kasy emerytalne, organizując bióra informacyjne itd. Niebawem jednak rząd uląkł się własnego liberalizmu; i oto prawo z roku 1850, zapewniając ostatecznie sankcyą rządową emancypowanéj instytucyi, poddało ją pewnym przepisom. Przepisy te ograniczały mianowicie liczbę członków i nie dopuszczały zakładania kas emerytalnych. Nie stosującym się do tych przepisów stowarzyszeniom darowaném było wprawdzie życie, ale pod ustawiczną groźbą rozwiązania prostym dekretem, za zgodą Rady stanu wydanym. W dwa lata późniéj nowe prawo stworzyło trzecią klasę stowarzyszeń „*aprobowanych*“. Tym ostatnim przyznaną została z niejakiemiś zastrzeżeniami możność zakładania kas emerytalnych, ale pod warunkiem zostawienia rządowi wyboru prezesa, nie udzielania zapomóg świętującym robotnikom i *przyjmowania członków honorowych.*

Ten ostatni warunek rzucał stowarzyszenia na nowe tory; wprowadzał do nich nowy żywioł, którego obecność odmienny im całkiem nadać miała charakter: Były do téj pory stowarzyszenia te *związkami robotników*; obecnie łączyć miały dwa bieguny warstwy społecznéj z przemysłu żyjącéj, bo owi *członkowie honorowi* narzuceni przez prawo stowarzyszeniom, kimże mogli być, jeżeli nie przedewszystkiém *patronami?*

Stało się jak chciał prawodawca. Z założonych po roku 1850 stowarzyszeń 9/10 przyjęło formę rządową. Na 5.581 stowarzyszeń, statystyka r. 1866 podaje 3.924 *aprobowanych*, liczących przeszło 800.000 członków a w téj liczbie 100.000 kobiét i 100.000 członków honorowych, wyłącznie prawie patronów. Kapitał rozporządzalny stowarzyszeń wynosił pod tą samą datą 9.830.673 fr., fundusz emerytalny 10 milionów, a w zakres ich działalności weszły pod kontrolę osobnéj komisyi, ad hoc przed rząd ustanowionéj, najrozmaitsze przedmioty. Założone bióra korespondencyjne, przesyłające sobie nawzajem wykazy nazwisk i profesyi stowarzyszonych szukających zajęcia, podjęły rolę pośredników między robotnikami a patronami, gwoli zapewnienia pierwszym odpowiedniego zarobku, drugim odpowiedniéj ich potrzebom liczby rąk. Kasy stowarzyszeń udzielać zaczęły subsydia nietylko robotnikom samym pozbawionym pracy przez chorobę lub kalectwo, ale wdowom i dzieciom zmarłych stowarzyszonych.

A przecież ten sam rok 1866 i następnych lat kilka, epoka najszerszego rozwoju upadającéj już późniéj instytucyi, jest także epoką posępnéj i krwawéj nawet pamięci w dziejach bezrobocia!

Dla czego? Dla tego, że ani w założeniu swojém ani w rozwoju następnym, do którego rząd je doprowadził, stowarzyszenia wzajemnéj pomocy nie stanowiły rozwiązania kwestyi robotniczéj. W założeniu odpowiadać mogły niektórym potrzebom robotnika, ale nie odpowiadały jego potrzebie, najgłówniejszéj potrzebie mianowicie porozumienia się z *patronem* i zakończenia rujnującéj obie strony walki, kompromisem wzajemnych interesów. W późniejszym stadium swego istnienia, pod kierunkiem rządowego prezesa, pod kontrolą rządowéj komisyi, pod formą rządowych regulaminów, pod opieką nakoniec narzuconych przez rząd honorowych członków, przybrały one postać jakiéjś skomplikowanéj machiny z charakterem w połowie *urzędowego bióra dobroczynności*, a w drugiéj połowie *urzędowego bióra nadzorczego*, wznawiającego z ich najantypatyczniejszéj strony potępione cechowe tradycye. Do téj machiny, potrzebą do uległości zniewolona, garnęła się jedna część roboczéj klasy, tak jak do dawnych *biór dobroczynności* i *banków pobożnych*; część druga, najliczniejsza, odwróciła się od niéj ze wstrętem. Być może, iż na wolnéj swéj piérwotnéj stopie, były stowarzyszenia wzajemnéj pomocy przyjaznym gruntem, na którym rozwinąć się mogła z czasem organizacya, czyniąca zadość postulatom wszechstronnym; ale interwencya rządowa wyjałowiła ten grunt. Obecnie utrzymują się one tylko w zakresie, dobroczynnéj istotnie, ale jednostronnie dobroczynnéj, z domami schronień, ochronkami i tym podobnemi zakładami spokrewnionéj instytucyi, gromadzącéj najłatwiéj dyscyplinie się podające, najsforniejsze żywioły, a więc te, które i po za instytucyą najmniéj dla spokoju społeczeństwa byłyby groźnemi. Tak np. łączy w Paryżu stowarzyszenie wzajemnéj pomocy wszystkich służących hotelowych, poważną w ludności stołecznéj stanowiących cyfrę. W zamian za składkę miesięczną w sumie 2 fr., kasa stowarzyszenia wypłaca: 1) 2 fr. dziennie czasowéj zapomogi chorobą dotkniętym stowarzyszonym, oraz koszta doktora i apteki; 2) 2 fr. dziennie stałéj emerytury po 25 latach w stowarzyszeniu przebytych. Sam ten program stowarzyszenia wystarcza do określenia jego charakteru. Każdego cokolwiek obeznanego z mechanizmem kas wkładowych i emerytalnych uderzyć musi nieproporcyonalność wkładów do wydatków kasę obciążających. Wyczerpałaby się też ta kasa wprędce, gdyby nie zasiłki członków honorowych, któremi są właściciele wszystkich niemal znaczniejszych hotelów. Z pomocą zasiłków pod kierunkiem

wyznaczonego przez rząd prezesa, poważnego kapitalisty, pod opieką nakoniec Izby Syndykalnéj właścicieli hotelów, stowarzyszenie cieszy się zupełném powodzeniem, a nawet coroczny bal w najętéj na ten cel sali urządzany gromadzi stale najwytworniéj ufryzowanych garsonów i najzgrabniejsze subretki. Że pp. garsonom i subretkom dobrze z tém stowarzyszeniem to rzecz pewna, ale i to zdaje się nie mniéj pewném, że nawet bez tego stowarzyszenia, karna ta ze swéj natury warstwa społeczna nie zamąciłaby społecznego pokoju.

Tu i owdzie napotkać wprawdzie można stowarzyszenia więcéj niezależnym cieszące się bytem. Te atoli najwymowniéj świadczą jak skromne, aczkolwiek chwalebne zawsze rezultaty, osiągnąć jest w stanie w obecnéj swéj formie, zostawiona saméj sobie instytucya stowarzyszeń. Oto np: dziesięcioletni bilans istniejącego od r. 1840 w *Clichy* (pod Paryżem) stowarzyszenia wzajemnéj pomocy robotników rozmaitych rzemiosł: Liczy stowarzyszenie członków 130, z których 4 honorowych nie wyzyskujących nigdy praw swoich i kilku dostatniejszych, w rzadkich tylko odstępach upominających się o nie. Stowarzyszenie nie udziela w przypadku choroby wsparć pieniężnych, a tylko pomoc lekarską zapewnia; nie wypłaca również pensyi emerytalnych, przychodząc w pomoc jedynie wdowom i sierotom stowarzyszonych, jednorazową zapomogą w sumie 200 fr.

PRZYCHODY.

	Fr
Wkłady 136 członków rzeczywistych (w ciągu lat 19)	24.612 80
Wkłady 4 członków honorowych „ „	1.156 00
Wkłady członków zmarłych lub wykreślonych .	8.710 80
Procent od kapitałów będących własnością towarzystwa a umieszczonych bądź w kasie oszczędności, bądź w rencie rządowéj	3.694 30
Kwoty wypłacone przez rozmaitych członków za uwolnienie od pewnych obowiązków kolejno pełnić się mających	0.119 00
Składki na dorocznych uroczystościach wniesione . .	1.373 00
	40.271 90

ROZCHODY.

	Fr.
Sumy wypłacane na rzecz stowarzyszonych	21.902 30
Koszta administracyi	2.842 00
Kapitał w kasie	15.527 00
	40.271 90

Podane w rozchodach sumy na rzecz stowarzyszonych wypłacane tak rozkładają się w jednym roku:

	Fr.
Koszta doktora i apteki na rzecz 39 stowarzyszonych (dla jednego stowarzyszonego koszta te wyniosły przeszło 300 fr. dla 4 innych przeszło 100) . . .	2.327 35
Artykuły rozmaite, dostarczone stowarzyszonym dotkniętym kalectwem i innym	0.023 00
Koszta pogrzebu dwóch stowarzyszonych	0.144 00
„ „ żon dwóch stowarzyszonych	0.072 00
Suma wypłacona wdowie stowarzyszonego zmarłego w ciągu roku	0.200 00

O dźwignięciu stowarzyszeń wzajemnéj pomocy z tego, albo mizernego, albo na wstrętnych większéj połowie klasy roboczéj subsydyach opartego bytu, mowy już podobno być nie może. Przekonania, nawyknienia i sympatya robotników inną poszły drogą.

Punktem wyjścia tego nowego kierunku są reformy r. 1862 i lat następnych. Wiadomo, że w téj epoce cała polityka drugiego Cesarstwa przerzuciła się z konserwatyzmu w postępowość i reformatorstwo. Względem roboczéj klasy, inaugurował Cesarz ten reformatorski zawód, pozwalając robotnikom gromadzić się w Paryżu grupami rozmaite rzemiosła przedstawiającemi, celem obrania delegowanych dla zwiedzenia wystawy Londyńskiéj. Za tém pozwoleniem poszło w następnych latach w ogólny sposób przyznane robotnikom prawo zgromadzenia się a daléj zniesienie artykułów kodeksu karnego potępiających *zmowy robotnicze*. Rzecz dziwna! ustawom potępiającym *stowarzyszenie* zachowano jednocześnie moc obowiązującą, z piérwéj już wprowadzonym wyjątkiem na korzyść stowarzyszeń wzajemnéj pomocy. Czyli pozwalano robotnikom zbierać się dla doraźnéj obrony swych interesów, a nie pozwolono zbierać się dla ich stałego zabezpieczenia. Otwierano im szranki do walki z kapitałem, a zamykano drogę pokojowego dochodzenia praw swoich. Rezultatem tego prawodawstwa było wzmiankowane już rozsrożenie się bezrobocia w ostatnich latach Cesarstwa. W braku legalnych stowarzyszeń nielegalne *stowarzyszenie oporu* niebawem zcentralizowane przez *stowarzyszenie międzynarodowe* podjęły morderczą broń *zmowy* przez rząd podaną. Ale już w r. 1865 opamiętali się robotnicy; opamiętał się sam rząd. Przejrzeli pierwsi, że wojująca forma stowarzyszenia przyniosła im tylko klęski; przejrzał rząd, że bezwzględny opór prądowi towarzyskiemu opłacił mu się tylko niemożliwością kontroli nad *tajnemi* towarzystwami. Ztąd powstało prawo z r. 1867 o współkach kooperacyjnych"; zasada kooperacyi potępiona, sądzić było można, na zawsze odkąd zastosowanie jéj w *warsztatach narodowych* z roku 1848 tak

niepomyślnym wywdzięczyło się skutkiem, pozostało przecież ideałem ruchliwéj i myślącéj warstwy w klasie rolniczéj. Winę doświadczonego niepowodzenia przypisywano wykonaniu zasady, a głównie warunkom, w których do tego wykonania przyszło. I zdało się teraz bolejącym od świeżych ran bohatérom bezrobocia, że w warunkach odmiennych, z pomocą niedawno uzyskanych przywilejów, ideał swój uchwycić potrafią, a rząd otwarcie sprzyjał temu zwrotowi. Pod jego opieką, z jego zasiłkami nawet współki kooperacyjne powstawać zaczęły w latach 1865—1867 i rozwijać się aż w trzech różnych kierunkach; współek wytwórczych, spożywczych i wzajemnego kredytu *(sociétés coopératives de production, de consommation* i *de crédit mutuel)*, a to z taką szybkością, że uchwała Izb z 24 Lipca roku 1867 przyznająca im prawo bytu na równi ze spółkami cywilnemi lub handlowemi, trzysta ich już blisko zastała na terytoryum francuskiém. I tym razem jednak, po prędkim rozkwicie najpiękniejszych nadziei, przyjść miało równie prędkie rozczarowanie. W krótkim przeciągu czasu, dzielącym nas od owéj epoki, przyszło apostołom wspólności patrzéć na upadek większéj części pod tak pomyślnemi wróżbami założonych współek i stracić co najmniéj wiarę w możność przeistoczenia z ich pomocą całéj organizacyi przemysłowéj.

Założony składkowym funduszem robotników warsztat, równy udział wszystkich robotników w administracyi i równy podział zysków, oto forma idealna współek wytwórczych. Ideałem w niéj jest przedewszystkiém, dla marzących przy twardéj pracy głów, zasada równości; ona właśnie tymczasem stanowi szkopuł, o który rozbijają się wszystkie wspólne przedsiebierstwa wytwórcze. Ona sprawia, że nie znajdą dla siebie miejsca w takiéj współce ani najlepsi robotnicy, którzy nie otrzymują tam dostatecznego wynagrodzenia swéj umiejętności i pracy, ani najgorsi, którzy kosztują za drogo. Ona sprawia jeszcze, że robotnik, posiadacz zebranego krwawą oszczędnością kapitału, wzdryga się z przelaniem do wspólnéj kasy, z któréj nic już nie otrzyma więcéj nad to, co dostanie się na mocy równego podziału, temu lub owemu stowarzyszonemu z mniejszym o połowę kapitałem, lub nawet bez kapitału wcale, przypuszczonemu do współki.

W chwili entuzyastycznych zapałów i uniesień praktyczne te względy w cień ustępują na czas jakiś, ale wracają niebawem w pełném świetle przed wytrzeźwione oczy, a za niemi niezadowolenie, spory i niesnaski wchodzą do zawiązanych pod hasłem braterstwa stowarzyszeń.

Zrozumieli to wprawdzie niektórzy założyciele współek i zasadę równości zastąpili zasadą *proporcyonalności*. Na téj ostatniéj zasadzie ugruntowane zostało paryzkie ogólne stowarzyszenie wytwórcze robotników krawieckich, zajmujące się wszystkiemi gałęziami przemysłu i handlu krawieckiego. Każdemu ze stowarzyszonych pracujących bądź w warsztacie stowarzyszeń, bądź gdzie indziej na jego rachunek, zatrzymuje się $^1/_{10}$ zarobku do przelania na jego osobiste koszta wkładowe. Każden stowarzyszony winien swoję pracę towarzystwu, i pod karą wydalenia z towarzystwa, wzbronione mu podejmowanie na rzecz własną jakiéjkolwiek roboty w zakres towarzystwa wchodzącéj. Pracowanie w domu dozwolaném być może stowarzyszonym.

Towarzystwo jest współką komandytową; zawiadujący niém (gérant) może zawsze być odwołanym. Oprócz *stowarzyszonych* obejmuje towarzystwo *kandydatów* i *pomocników* (*postulants et auxiliaires).* 50% zysków rozdzielają się między te trzy klasy proporcyonalnie do ilości pracy każdego, dostarczonéj a przedstawionéj przez zarobek. 50% zostające włączają się do funduszu zapasowego. *Kandydaci* i *pomocnicy* nie mają udziału w stratach, ale z przypadającego im udziału zysków, połowa zatrzymywaną bywa i tworzy wspólny fundusz, z którego podnosi się suma potrzebna do pokrycia strat. Pozostałość, jeżeli jest, tworzy fundusz niepodzielny aż do likwidacyi towarzystwa.

W przypadku strat, stowarzyszeni zobowiązani są uzupełnić przypadającą na nich sumę wkładową, gdyby ta nie została do téj pory wniesiona do kasy w zupełności; albo ponosić potrącenie $^1/_{10}$ swego zarobku aż do uzupełnienia rzeczonéj sumy.

Stowarzyszenie otwiera nadto uczestnikom rachunek bieżący; przyjmuje wnioski od 5 fr. począwszy i płaci procent od 4 do 6%, stosownie do długości pożyczki. Stowarzyszonym właściwym dostarcza towary (niefasonowane) do ich osobistego użytku, po cenie kosztu z potrąceniem komisowego $2^1/_2$%.

Dołączony do ustawy stowarzyszenia regulamin udziela stowarzyszonym wiele zdrowych rad i przestróg, zachęcając do posłuszeństwa i porządku a potępiając energicznie pijaństwo, lenistwo, kłótnie, gwałty i obelżywe lub nieprzyzwoite słowa. Regulamin ten przyjęły wszystkie niemal stowarzyszenia paryzkie.

Stowarzyszenie krawieckie cieszy się po dziś dzień jakiém takiém powodzeniem; to samo da się powiedzieć o naśladującém kształt ten stowarzyszeniu kooperacyjném robotników-fortepianistów, które rozpocząwszy zawód swój z kapitałem obrotowym w sumie 229 fr.

5o c. doszło w przeciągu 12 lat do rocznego obrotu 3oo.ooo fr.; przecież te powodzenia pojedyńczemi są tylko, i przypisać je podobno wypada częścią wyjątkowéj osobistéj zasłudze szczęśliwie dobranych kierowników, częścią wyjątkowo także przyjaznemu zbiegowi okoliczności. W braku tych czynników, przeważna większość stowarzyszeń nawet na zasadzie proporcyonalności opartych nieprzezwyciężone znalazła przeszkody w lenistwie robotników, oglądających się i spuszczających jeden na drugiego, a pozbawionych tego bodźca, jakim jest odpowiedzialność osobista, w nieudolności administracyjnéj stowarzyszonych, nakoniec w trudności znalezienia kredytu, uciekającego przed nie dającą dostatecznéj rękojmi osobą moralną.

Z częścią tych trudności, ale częścią tylko mają do walczenia współki *spożywcze*; to też większa stosunkowo ich liczba potrafiła wywalczyć sobie byt trwały, a między temi są takie, które większą już przeszłość mają za sobą. Sięgają bowiem współki tego rodzaju epoki przedrewolucyjnéj, pozbawione zaś prawa bytu przez ustawy z r. 1791, utrzymać się zdołały w niektórych miastach prowincyonalnych, dzięki tolerancyi władz miejscowych, którym zresztą ograniczona ich liczba i działalność solą w oku być nie mogła.

Grono pracowitych i rządnych robotników składa swoje oszczędności do wspólnéj kasy, powierza jednemu z towarzyszy zakup hurtowy przedmiotów do codziennego życia potrzebnych, najmuje sklep i ustanawia w nim urzędnika, częściowo sprzedawać obowiązanego te przedmioty tym, którzy je wspólnie hurtowo nabyli; oto zawiązek współki spożywczéj. Przybiera ona w rozmaitych swych zastosowaniach dwie główne formy. W pierwszéj formie towary sprzedawane są stowarzyszonym po cenie kosztu z potrąceniem tylko procentu na wydatki administracyjne, w drugiéj formie cena towarów we wspólnym sklepie zastosowaną jest do cen praktykowanych w innych sklepach; a tylko przy końcu roku otrzymane zyski dzielą się między stowarzyszonych proporcyonalnie do wysokości ich składek. W téj ostatniéj jedynie formie, szanującéj prawa kapitału i nie przyznającéj nieprawego zysku *więcéj kupującym*, osiągnęły współki spożywcze dodatnie rezultaty. Niechęć zamożniejszych stowarzyszonych do zasilania kasy wspólnéj wyższemi składkami od tych na które mniéj zamożni zdobyć się byli w stanie, nadużycia kupujących nad swoję potrzebę dla odprzedania gdzieindziéj z zyskiem, stały się w pierwszéj formie powszechną przyczyną upadku.

W niektórych z istniejących po dziś dzień współek, wszyscy stowarzyszeni odpowiadają za zobowiązania współki, czyli że współka jest *pod imieniem zbiorowém*; w drugich odpowiedzialnymi osobi-

ście są tylko członkowie-założyciele; inni, aczkolwiek biorący udział w zyskach, odpowiadają tylko do wysokości swoich wkładów, czyli że względem nich współka jest *komandytową*. Ci ostatni nie mają udziału w zarządzie współki.

Międzynarodowy dziennik towarzystw kooperacyjnych p. t. *L'association* zredagował przed niewieloma laty ustawę wzorową dla współek spożywczych, która przez większą ich liczbę przyjętą została. Główne punkta téj ustawy są następujące:

Współka jest *pod imieniem zbiorowém* względem jednych, a *komandytową* względem drugich.

Celem jéj dostarczać stowarzyszonym *oraz publiczności* produktów i towarów w dobrym gatunku i za rzetelną wagą, a osiągnąć oszczędność w wydatkach na korzyść stowarzyszonych przez zbliżenie jak największe konsumenta do producenta.

Współka kupuje hurtownie lub przyjmuje na skład *(en concignation)* do swych magazynów wszelkiego rodzaju produkta i towary, które odprzedaje stowarzyszonym, albo publiczności po cenie bieżącéj.

Współka sprzedaje tylko za gotówkę, nie udzielając kredytu nikomu, nawet stowarzyszonym.

Każden wspólnik komandytowy otrzymuje imienny oblig, wyrażający wysokość sumy wniesionéj. Oblig ten ustąpiony być może przezeń osobie trzeciej, ale nabywca nie bierze udziału w korzyściach współki przed przypuszczeniem do stowarzyszenia.

Dołączone do ustawy rady i przestrogi zalecają zachowanie szczególnego względu dla kundmanów-stowarzyszonych, nie wyłączając przecież innych, dostępność w przyjmowaniu nowych stowarzyszonych, skrupulatność w stosowaniu się do cen bieżących, aby nie przyzwyczajać robotnika do nabywania rzeczy za cenę niższą od ich wartości i nie tworzyć sąsiednim kupcom niesłusznéj konkurencyi.

Mniéj od natury ludzkiéj wymagające, niż współki wytwórcze, mniéj sprzeczne z jéj instynktami, mniejsze trudności spotykające w wykonaniu, a dotykalniejszemi zalecając się korzyściami, współki spożywcze mogą mieć przyszłość przed sobą, tak jak już mają za sobą przeszłość; dotąd jednak szerszego nie uzyskały zastosowania, a najwybitniejsze przykłady powodzenia nie własnym zawdzięczają siłom. Tak np. w Paryżu, Orleanie, Tours i Bordeaux na zasadach współki spożywczéj założone sklepy sprzedają artykuły żywności i przedmioty do odzienia służące robotnikom kolei żelaznéj, zapewniając im średnią oszczędność 30%. Ale administracya tych skle-

pów łączy się z administracyą kolei saméj. Zaznaczyć tu wypada, że kupno produktów w rzeczonych sklepach dokonywa się w dość oryginalny i sprzeczny z ogólnemi zasadami sposób, bo nie za gotówkę ale na rachunek, uregulowaniem którego zajmuje się sam zarząd kolejowy, potrącając odpowiednią kwotę z miesięcznéj płacy robotnika. W *Ivry*, stacyi kolei, założyła taż administracya tanią kuchnię przez siostry miłosierdzia obsługiwaną, gdzie za 65 do 75 cent. robotnik kolejowy spożywa, lub zabiéra do domu dobry obiad.

Większe może jeszcze widoki mają na przyszłość współki wzajemnego kredytu, powstające wzorem banków zaliczkowych założonych w Niemczech przez Schultzego z Delitsch; ich celem zastąpienie Kas Oszczędności w pominiętéj przez nie gałęzi ekonomicznéj działalności. Te ostatnie skupiają we Francyi do 400 milionów franków, od których posługująca się kasami ludność, przeważnie robocza, pobiera procent w stosunku do złożonego kapitału, ale z których korzystać nie może dla otrzymania w potrzebie przewyższającego złożony indywidualnie kapitał zasiłku. W jaki sposób współki wzajemnego kredytu przychodzą w pomoc w tym względzie kasom oszczędności, objaśni to streszczona niżéj ustawa współki paryzkiéj robotników-kamieniarzy.

Celem współki jest zapewnienie każdemu z członków pewnego kredytu, za pomocą pożyczek udzielanych z kasy, składkami stowarzyszonych zasilanéj.

Minimum składki oznacza się na o.5o c. tygodniowo.

Maximum pożyczki na 100 fr.

O udzielaniu lub odmówieniu pożyczki orzeka stanowczo komitet.

Przyjętą stopą procentową jest 4%.

Pożyczający wydaje rewers płatny w terminie trzechmiesięcznym; rewers ten cedowany być nie może.

Prawa akcyonariuszów współki są osobiste; t. j. ani cesyi, ani przekazowi spadkowemu nie podlegające.

Dochody netto, z kapitału powstałego z oszczędności stowarzyszonych, stanowią zysk współki i przypisują się każdemu ze stowarzyszonych proporcyonalnie do sum przezeń do kasy wniesionych.

Na osobną wzmiankę zasługuje współka Wzajemnego Kredytu i Kredytu roboczego *(société de crédit mutuel et de crédit au travail)*, założona pod firmą Baluze et C-ie, celem „udzielania kredytu współkom kooperacyjnym już istniejącym, dopomagania do zakładania no-

wych, wytwórczych, spożywczych, lub kredytowych, wspierania rozwoju zasad wzajemności i solidarności, a to aby uczynić kredyt przystępnym dla każdego pracownika we wszystkich gałęziach działalności ludzkiéj, na roli, w przemyśle, handlu, naukach i sztukach.“

Operacye wspólki polegają na:

1) Udzielaniu kredytu wyżéj wymienionym stowarzyszeniom, bądź przez udzielenie im funduszu tytułem udziału w ich własnych operacyach, bądź przez eskontowanie weksli wystawionych, lub indosowanych przez nie, bądź nareszcie przez otworzenie im kredytu za stosowną rękojmią.

2) Zapewnienie własnym wspólnikom komandytowym kredytu, równającego się dla każdego z nich co najmniéj kapitałowi przezeń wniesionemu do kasy współkowéj, a mogącego przewyższyć tę cyfrę za przedstawieniem solidarnego poręczenia innych członków, lub osób trzecich.

3) Zapewnienia kredytu osobom trzecim, poręczającym solidarnie wzajemne pożyczki.

4) Dopełnianie na rachunek stowarzyszonych, lub osób trzecich wszelkich wypłat, odbiorów, zleceń i wkładów funduszów.

5) Przyjmowaniu wkładów na rachunek bieżący.

6) Przyjmowaniu depozytów pod pewnemi warunkami.

Kredyt udzielany spólnikowi pokrywają weksle, lub poręcza bądź hypoteka na nieruchomościach, bądź ubezpieczenie uprzywilejowane na ruchomościach, towarach lub wierzytelnościach stowarzyszonego.

Współka eskontuje weksle, wystawione lub nielosowane przez stowarzyszenia, mające kredyt otwarty i udział we współce, albo przez stowarzyszonych; przyjmuje zaś na rachunki bieżące sumy powierzone tak przez osoby trzecie jak przez wspólników.

Lista stowarzyszonych obejmuje w téj współce przeszło 1.000 członków komandytowych do niéj przypuszczonych a należących do wszystkich stanów społecznych.

Uwzględnić teraz należy, że z trzech wyżéj określonych form kooperacyjnych jedna tylko, mianowicie współka wytwórcza rości pretensye do przeistoczenia organizacyi przemysłowéj. Dwom innym przypada tylko mniéj więcéj dodatnia, ale dodatkowa rola, w jakiéjkolwiek organizacyi. Właśnie zaś te dwie ostatnie tylko przebyły jako tako próbę praktycznego zastosowania; pierwsza, ogółem rzecz biorąc, nie wytrzymała jēj zadawalniająco. Nie mógł przeoczyć tego robotnik; nie mógł zamknąć oczu i na to, że ani żadna z tych

form pojedyńczo, ani wszystkie razem nie są w stanie uczynić zadość wszystkim jego potrzebom; że ani fachowe wykształcenie n. p., ani rozwój i udoskonalenie przemysłu nie znajdują w nich odpowiedniego poparcia. Nie rozstał się on przeto ze swoim ideałem, ale, wiernym mu pozostając, szukać zaczął jego urzeczywistnienia na innéj drodze, kędyby i wszechstronne jego interesa należyte zabezpieczenia znaléźć mogły. Ztąd nowy zwrot, epokę może w dziejach klas roboczych francuskich stanowić mający.

Dr. Kazimierz Waliszewski.

(Dok. nastąpi).

W WALHALLI.

Panu *Anastazemu Sokolnickiemu,* zacnemu towarzyszowi podróży, który dzielił ze mną i wrażenia Walhalli, na skromną pamiątkę, szczerą ręką, poświęca autor.

Ciszéj!... z pokorą do bogów mieszkania!
Bogowie głośnéj nie lubią rozmowy!
Strażny Duch jaki skarcić nas gotowy
Za śmiałe szepty i śmiałe pytania!

Więc szliśmy cicho, w świętych cieniach gaju,
Przez dziwy... które moc jakaś czarowna,
Jak myśl milcząca, a jak pieśń wymowna,
Słała przed nami, po drodze do Raju.

Pod gajem — wprawo — jak wąż przyczajony,
Lśniący na świetle srebrzystém swém ciałem,
Płynęła rzeka... w szaleństwie zuchwałém
Rwąc brzeg — i pianą ciskając na strony.
Tam daléj — łąki leżały zielone
Pysznіąc się bujnie rozrosłą murawą,
A daléj — zlane smugą zorzy krwawą
Niebo, dziwiło oczy zachwycone.

Był wieczór.
Słońce, żegnając dzień skwarny,
Toczyło zwolna swój krąg szczerozłoty
Na zachód... kędy, niby cień Golgoty,
Precz w dole — gdzieś tam — precz — w mgle... drżał krzyż czarny.
Lecz — przypomnieniem smutnych dziejów krzyża
Myśmy tu naszéj nie trapili myśli...

Szliśmy do nieba! — szli... szli... aż i przyszli
Tam — gdzie się gaj już ku *niebu* sam zbliża.
Wznieśliśmy twarze...
Wysoko — wysoko —
Na szczycie gęsto umajonéj góry,
Błysnął, z pod blasków wieczornéj purpury,
Gmach jakiś — — biały! że aż ślepił oko.

Z trzech stron — bo z czwartéj widok był zakryty —
Gmach otaczały olbrzymie kolumny...
Pięły się hardo, jak wież szereg tłumny,
Z płaszczyzn tarasów, pod sklepienia szczyty.
Nad kolumnami — w górze — z przedniéj strony —
Jak w cyklopowém czole téj budowy —
Mistrz dłuta, w wielki trójkąt marmurowy,
Wkuł obraz Chwały, przez bogów sławionéj.
I rzeźbą także lśniły drzwi wchodowe
W dole — jedyne, co wiodły do wnętrza...
Ku drzwiom tym właśnie góra wprost się spiętrza,
Gotując oczom zachwycenie nowe.

Spojrz no nad siebie — tam — z dołu — w tę drogę
Zawrotną! — spojrzyj!...
Jest-żeś tyle śmiały,
Ty, *wielki* człeczku, o stopie tak *małéj*, —
By pójść... (w twych oczach ja czytam już trwogę!)...
Pójść tam — na wyż tę — po strasznych zagięciach
Tych wschodów, które wznosili tytany,
Ludzie z kamienia! — krająć twarde ściany
Téj góry, ostrzem... o nieznanych cięciach!?

Wejdziesz tam?...
Spojrz no na plasty olbrzymie
Tych głazów, co cię swą białością ślepią!
Jak — cement, którym tam one się lepią
Pomiędzy sobą — ma u nas na imię?
Spytaj. Odpowiedz. I — mądrością hardy —
Nogami swojéj robaczéj postaci,
Zacznij się wspinać (gdy trud się opłaci!)
Na wyż tę senną — po téj drodze twardéj!

...Już jesteś?
— Dobrze. Powinszuj-że sobie.

Odbyłeś podróż w jéj gorszéj połowie.
To teraz spocznij. Przytomność wróć głowie,
Moc — krwi i... powstań znów na nogi obie.

Czy uważałeś tę dal jasnozłotą,
Co się za rzeką tam precz i precz szerzy?
Rozkoszna!... prawda?...:

Ten kolor łąk świeży —
Te lasy, co się zielenią tam oto —
Te, ponad wszystkiém migocące blaski
W czystém powietrzu... po milczącém niebie...
Czy cię to wszystko zachwyciło? — ciebie —
Coś wszedł tu w bogów królestwo — z ich łaski!?

A może ty masz duszę tyle ciemną,
Że, patrząc w dziwy te rzetelnie-boże,
Stoisz, jak larwa?... lub możeś ty... może
Przyszedł tu z piersią satyra nikczemną?

— Nie! o nie!... Myśl twa, — gdzie jesteś, — pamięta!
Tyś ją wytężył — ją całą — i duszę...
Modlisz się...

Głos twój kłóci nawet głuszę
Téj ciszy... Szepczesz: „O Walhallo święta!“

Zaiste święta!...

Więc — otarłszy nogi
Z prochów, coś jeszcze mógł zanieść tu z ziemi,
Zwróć się w tył — stanij przed drzwiami wielkiemi
Przybytku bogów i — — w święte wejdź progi!

* *

*

O blasku boski! o niebieska woni!
O szmerze słodki, coś mi głasnął uszy
I strugą dźwięków, nieznanych dla duszy,
W duszę mi spłynął, po nieznanéj toni!
Szalona burzo! coś ciszę mych myśli
Słóciła nagle bezładem zachwytu,
Żem, zlęknion, stanął jak posąg z granitu...
Któż — kto moc wszystkich tych czarów określi!?

Wysoka *hala*, z jasnemi ścianami,
O lśniącém, z drogich marmurów, podnożu,
Dachu falistym... jak woda na morzu, —
Błysnęła nagle przed memi oczami.

Niewinny *lazur* i *czerwień* płonąca
I dumna *białość* i *zieleń* łagodna
I wszystkie światła... jakich Boskość godna, —
Drżały na ścianach, śród przemian tysiąca.

Dumni bogowie o słonecznych licach,
W przejrzyste szaty z mgły białéj ubrani,
Oczyma *duszy* jedynie widziani, —
Migali przed nią, w cichych błyskawicach.

Więc mi łysnęła świetlna twarz Odyna,
Choć inna nieco, niż o niéj śnią wieszcze —
Twarz Herty bożéj... i jeszcze — i jeszcze
Tłum — których nigdy się nie zapomina!

Cień śmierci, smutny, przechadzał się cicho
Pomiędzy tymi wszystkimi Duchami
I — snać bogowie nie lubią go sami,
Gdy nań ze wzgardą patrzyli — i z pychą.

Bóg wojny stronił od bóstwa Mądrości —
Miłość chodziła z bóstwem cnoty w parze —
Ach!... inne jeszcze, innem widział twarze,
Śliczne... jak cisza, co w Walhalli gości!

Lecz wreszcie — myśmy nie przyszli tu po to,
By śledzić bogów w ich odwiecznym bycie —
Nas stokroć więcéj tu ciekawi życie
Ziemian, co swoją *zbóstwili* się cnotą.

Na tych patrzajmy! i przed tymi czołem!
Bóg — bogiem. Nie dziw, że mieszka śród nieba.
Lecz człowiek — — temu, ach! ileż potrzeba,
Ile!... by z prochu — wstać *ducha* aniołem!

Oto — wspaniały, jak biała kolumna,
Stoi tu zaraz twórca „Fausta“ boski —

Śni *nieśmiertelność* i składa ją w głoski
Nowych dramatów...
Jaka postać dumna!...
Znać, że go mało przerobiły bogi:
Czém był na ziemi, tém został w ich gronie—
I... grałby jeszcze, precz grał na bardonie
Tenże sam rapsod, co go wwiódł w te progi!

Dokoła niego wrzało kiedyś życie,
Ciągnąc go w swoje zawrotne odmęty —
On, wgłąb' ich patrząc, — jak Duch wniebowzięty,—
Nad *nocą* ziemi, śpiewał pieśń — o *świecie!*

Śród małych— człowiek; śród wielkich—największy;
Dla wszystkich — jeden... sam stojąc olbrzymem
Nad światem *wrzawy*, — nieśmiertelnym rymem
Sławił ten *spokój*, który twarz mu piększy!

Na niego zdala patrzy zadumany
Inny tworzyciel — brat w lirze — i uczeń,
Co świętych Muzy słuchając poruczeń,
Śpiewał tak mocno... aż zmarł rozśpiewany!
O! *miłość* temu była życiem życia!
Pierwszą — ostatnią — i najlepszą pieśnią!
Marzeń, jak jego... czystszych, bogi nie śnią!
Jak kochał — znać to z jego serca bicia!
A ja je słyszę — — bom przechylił uszy
Ile potrzeba, ku piersi kamiennéj,
I w niéj tam śledzę ten akkord płomienny
Liry... co grała tak na mojéj duszy!

. . . .

Ze łzą cię rzucam, o śpiewaku wzniosły!
Twórco „Wilhelma Tella" i „Don Fieska!"
Niech cię tu pieści tak rzesza niebieska,
Jak myśli moje, co twą pieśnią rosły!

Ot jeszcze sokół! — mąż *wiedzy* i *pieśni* —
Choć tą ostatnią tylko wtórzył sobie,
Składając księgi... które tam — na grobie
Mędrca — już dzisiaj... może leżą w pleśni!
A jednak...
Herder!...
On boga ma czoło!

Co piękna w wiedzy, *tyle* był — poetą!
O Duchu! dobrą tyś stał się podnietą
Ludziom do światła, gdy mrok był wokoło!
Umarłeś... Inni wygryźli, jak myszy,
Kartki twych książek — przeżuli je — zjedli—
I potém *głośno* przed światem dowiedli,
Że to ich było, coś ty stworzył — w *ciszy!*

Twój los nie lepszy także, wielki cieniu,
Coś tylko pragnął *mądrością* żyć samą!
Coś uczył, że ta jedyną jest tamą
Przed złem i.. mocą jedyną w cierpieniu!
Obyż cię lepiéj w téj prawdzie pojęto!
Zrobiłbyś niebo z naszego tam świata!
Za nią rój bogów dziś z tobą się brata
I *Kant* — w Walhalli — ma dziś wieczne święto.

Opuszczam ciebie—dla innéj potęgi.
Widzę ot mędrca, co w dumie książęcéj,
Rzekł raz na ziemi, że.. „Bóg sześć tysięcy
„Lat“ nań „tu czekał“. i.. na jego księgi!
Gwiazdy przepatrzył, jak ziarnka na dłoni—
Przeliczył — zmierzył ich ruchy i biegi—
Ustawił światy, jak wojska w szeregi
I.. umarł, słysząc, że wieczność mu dzwoni.

A wieczność grała:
„O *Kepplerze* wielki!
Hołd ci — żeś poznał: *czém są* boże słońca.
Lecz — ileż większym od ciebie bez końca
Jest... kto te światy wzniósł z jednéj kropelki!
Więc ty się nie pysznij i hardość swą całą
Zniszcz w sercu, idąc w próg święty Walhalli—
Bogowie z tobąby nie ucztowali,
Gdybyś nie uznał... jak zrobiłeś *mało*!“

Lecz— któż to stoi niedaleko ciebie,
Cny cieniu! patrząc tak we mnie, w przybysza?
Prawie mnie wita...
Na twarzy mu cisza
Ducha zasiadła, co godzien być w *niebie*—
A jednak... czemuż, pod larwą milczącą

Tych rysów jego, ja czuję szmer burzy?
Czy już mu pobyt w tém niebie się dłuży,
Że we mnie — w człeka — wparł wzrok tak gorąco?

Blask padł na niego...
Poznaję go...
Boże!
Czyżby to on był?—on?—tu!—w téj świątyni!?
Cześć-że mu wieczność, czy krzywdę tém czyni?
— Cześć!.. Tak jest!.. Ale...
Nie!—to być nie może!

. . . .

Wszak w mojéj także, chociaż biednéj ziemi,
Jest kąt dla zmarłych — jest swoja Walhalla—
Niepyszna wprawdzie, jak ta wielka hala...
U nas pierś każda chodzi z bogi swémi!...
W sercach tam oni mają swe świątynie
I w sercach także mają uczty swoje...
Więc, Boże!...
Cień ten...
Aż spojrzéć się boję...
Zda się za chwilę on w łzach się rospłynie...
Tak smutny — zimny — i stoi tak trwożnie
W tym domu samych radości i blasku...
Wprawdzie mu niebo nie skąpi oklasku...
Widzę to...
Wszakże...
— Zbliżę się ostrożnie.

. . . .

O tak! tak! — on to! on sam!... nasza chwała!
I nasza chluba! i nasza cześć wielka!
...*Kopernik*!!...
Ziemia jego rodzicielka
Całe już oczy za nim wypłakała,—
A on — syn zdradny — co wzrósł na jéj łonie
I własną chwałą już uczcił ją tyle,—
On dziś — na krzywdę téj swojéj mogile,
Którą ma u nas — — w obcych bogów gronie!?

. . . .

Jam klęknął jednak u stóp tego Ducha.
Poznałem, że go tu tylko.. niewolą!

Że go pochwały—zamiast cieszyć — bolą,
Któremi tłum ten, nad uchem mu grucha...
Klęknąłem, mówię i, — pełen nadziei,
Że i my swoję mieć będziem Walhalę,—
Innych już cieni nie szukałem wcale,
Chcąc kres położyć swojéj Odyssei...
Lecz....

Gdy ku drzwiom tak już wiodę me kroki,
Żegnając halę ostatniém spojrzeniem,—
Nagle ta — cała — czerwonym płomieniem
Rozbłyska, widzę... aż pod szczyt wysoki.
I widzę — jak w téj pożodze z purpury,
Tłum bladych twarzy, co dotąd milczały,
Rumieńcem życia rozognia się cały,
Jakby go jaki cud poruszył z góry!

Słońce wieczorne, zwyczajem swym starym,
Przez wielkie szyby ścian białych, zajrzało
Do nisz Walhalli i — nad Duchów chwałą
Rozradowane, błysnęło — pożarem!

I słyszę nagle... o złudo bez końca!...
(Czegom nie słyszał wcale dotąd jeszcze)
Jak bogi wszystkie, wszystkie Duchy wieszcze
Wznoszą w tym blasku hymn zgodny — do *słońca!*

Boże mój!.. jakaż to była muzyka,—
Jaka melodya tych nieziemskich głosów,
Co cichą falą — pod nawę niebiosów
Płynęły, płacząc nad *dniem* — że ten znika!

Słuchałem.
Zdrętwion, jak kolumna z głazu,
Pod boskim czarem nowego zachwytu,
Oczy półsennie podniosłem do szczytu
I — piłem roskosz.. usty bez wyrazu!

O! jakież rzeczy ja jeszcze słyszałem
I jakie-m widział wtedy, mocny Boże!
Toć w śnie mym nowym, po stubarwnym wzorze
Tych ścian tam — *sztuka* przeszła.. niebem całem!

Te myśli wszystkie, te dziwy promienne,
Które śnił Goethe lub Szyller, gdy tworzył —
Wszystkie uczucia, które w pieśni włożył,
Tyle cudowne, a tyle odmienne; —
Z akcyj potężnych dramatów postacie —
Wielkich muzyków wygrane natchnienia—
Wszystko stanęło, jak kute z kamienia,
Przed duszą moją, w swéj wyraźnéj szacie.

Więc — tu — ujrzałem Małgorzatę biedną
Z zapłakanemi aż do krwi oczyma,
Jak ta się szyi swego Fausta ima,
Prosząc go tylko o pieszczotę jedną.

Tam—Fausta znowu, z zadumaném czołem
Nad ciemną życia zagadką ujrzałem —
I.. Mefistofa twarz, o rysie śmiałym,
Co go piekielnym czyniła aniołem.

Ujrzałem czystą, o gorącém oku,
Macochę.. razem kochankę Carlosa, —
Jak ta, bezsilna, wzrok wznosi w niebiosa,
Wstrętnego kata piastując przy boku!

I te boleści beznadziejnéj żmije,
Co rozszarpały serce jéj pasierba,
Widziałem także...
(O! jest w dziejach — szczerba,
Któréj przed *wzgardą*... sam Bóg nie ukryje)!

Ukazał mi się ów, krwawéj postaci,
Mąż jeszcze, który,—chcąc tronu, korony,—
Zapomniał o tém, że.. bywa zdradzony
Kto drugich zdradza! że *zło*, *złém* się płaci!

I potém przeszła przed mém okiem burza,
Którą Beethoven śni w swojéj *symfonii*...
Ach! kto ją widział, nie zapomni o niéj!—
...Głuchego grajka rozpacz — jak noc — duża!

Mozart.. co wzrusza grobowce kościołów
Czarem zaklętych w swoje *requiem* myśli,

Wskrzesił je wszystkie. I któż—kto określi
Wdzięk, tych, przybranych w kształt żywy.. aniołów!

Słyszałem jeszcze gromowe odgłosy,
Co z szczęku bitew i z umarłych jęku
Bard Niebelungów złożył.. niosąc w ręku
Wieniec laurowy, co mu dały losy.

Noc wichrów średnich, na harfie stugłośnéj,
Wskrzesił mi Walter w tak mocnych akordach,
Żem, zatopiony w jéj gwałtach i mordach,
Prawie skrzyp tortur usłyszał nieznośny.

Ujrzałem jeszcze oblicze Atylli,
Strasznego Hunna, co zawładnął światem—
Widziałem, jak ten był mędrcem — i katem—
Geniuszem wieków — i bydlęciem chwili.

Tak schodząc zwolna po stopniach historyi
Ujrzałem wreszcie wielkie mury Rzymu—
Potém.. z ich zgliszcza wiejący słup dymu,
Na chwałę krzyża i dla krzyża — *glorii!*

* * *

Ucichał zwolna chór głosów niebieski...
Blask purpurowy na białych nikł licach...
Tylko dzień jeszcze, w rzadkich błyskawicach
Migał... sklepienia oświecając freski.
Hala przybrała się w mgłę lazurową...
Więc ja,—trzeźwiejąc z długiego zachwytu,—
Wzrok nasycony odrywam od szczytu
I—ku drzwiom świętym pośpieszam nanowo.

Jednak—snać jeszczem nie wyczerpał czaru,
Który się pije w zetknięciu z bogami—
Przed wspaniałemi świętéj hali drzwiami,
Z boku, w bliskości dużego filaru,
Spotykam nowy Cień biały...
Anioła
O dziwnie pięknéj choć surowéj twarzy—
Jakiś błysk gniewu w oczach mu się żarzy...
Skrzydłami świeci i... nimbem u czoła.

Przystaję zatém przed nowém widzeniem
I — był-li cień to, czyli anioł żywy

Ja nie wiem.
Tylko... żem głos ten prawdziwy
Usłyszał — klnę się Walhalli imieniem:

—„Jam tu — Duch mówił — by świątynią sławy
„Strzedz od zgorszenia, które z *mroku* idzie—
„Wy tam, w zwierzęcych żądz waszych ohydzie,
„Rodzicie często płód niebu... nieprawy!

„Niepomni na to, że światło jest z *ducha*,
„A Boskość tylko samo *światło* ceni,—
„Wy szlecie tutaj, w grono *boskich* cieni,—
„*Bezdusznych*... przeto, że tłum wasz ich słucha!

„Jam już istniała, gdy na waszéj ziemi
„Trzymał królestwo jedyny bóg — *wojny!*
„Najniższy z bogów!... do dziś jeszcze zbrojny
„Chodzi tu, między Duchami lepszymi.

„Lecz — tego boga sprośne panowanie
„Jak w niebie padło, tak i u was padnie.
„*Duch* idzie górą!.. *proch* zalega na dnie!..
„Że tak być musi — to wiedzą niebianie.

„Więc, w jasne rzesze mędrców i pieśniarzy,
„Nie szlijcie wy mi ciemnych sępów *wojny*!
„Co tu — w téj Duchów krainie spokojnéj—
„Ma robić Tilli, o zbójeckiéj twarzy!?...

„Czas znikł, gdy człeka cała tam godziwość
„Nie w sile *cnoty*, lecz w *krwi* była sile!
„Dla synów *prochu* jest miejsce — w mogile,
„Nie tu! w Walhalli!...
— Jestem *Sprawiedliwość*.“

To rzekłszy, anioł zamknął nagle usta.
I tylko jego uroczyste słowa
Odbiła jeszcze hala marmurowa,
Już teraz — całkiem samotna i pusta.

* * *

Wyszedłem.
Dawno, na przednim tarasie,

Czekał już na mnie towarzysz podróży.
Nie mówił wcale, że czas mu się dłuży—
Ach! boć był ślicznym znów świat.. o tym czasie!

Jeszcześmy razem spojrzeli w dal...
W dali
Drzémały łąki te same i lasy...
Szarzało niebo... Pełny dziwnéj krasy
Wszedł księżyc...
— *Pokój Mieszkańcom Walhalli!*

Bogumił Aspis.

POLSKA I POLACY

W POEZYI LUDOWÉJ SŁOWIAN ZADUNAJSKICH.

„Ledzian grad i Poljaci u srpskoj narodnoj pojezji“ od Stojana Novakovic'a—u Novome Sadu 1879.

Skarbnica wiedzy naszéj, przeświadczenia naszego, o ubiegłéj przeszłości własnego narodu, o jego życiu wewnętrznćm, jak zmiennych kolejach znaczenia i wpływów jego na zewnątrz, wzbogaca się z dniem każdym, rozszerza się coraz bardziéj z każdą niemal przemijającą chwilą. Doba bowiem, jaką przebywamy, doba badań i poszukiwań, odkryć i zdobyczy, wyświetleń i rozjaśnień, w każdym zakresie dziejoznawczym w ogóle, jest nie mniéj taką w zakresie własną naszę przeszłość ogarniającym. Nic dziwnego też, gdy spotykają się tu niejednokrotnie niespodzianki nawet. Sprawiają zaś nam one, przy powszechném dziś zajęciu się wśród ludów cywilizowanych wyświetleniem wzajemnych kulturowych ich stosunków w przeszłości, nietylko właśni na tém polu pracownicy, lecz, częściéj może nawet, badacze obcy oraz pobratymcy bliżsi i dalsi. Nie jedno też zagadnienie, bezpośrednio czy pośrednio nas dotyczące, zostało rozwiązaném w sposób podobny.

Tak, w chwili tylko co ubiegłéj zaledwie, w dali od nas, wśród pobratymców naszych, co to przed wieki, z sąsiedniéj nam a zamierzchłéj dziś Syrbii wielkiéj, przenieśli się za modre wody dolnego Dunaju, zostało rozwiązaném, niespodzianką prawie dla nas, i—tyle razy napróżno dotąd stawione zagadnienie: w jakiém też przecie upowiciu zadrzémała i drzémie jeszcze niezbudzona w pieśni ludowéj Słowian południowych, wielce żywa dawniéj niewątpliwie, myśl i pamięć o Polsce?

Któż bowiem nie stawił sobie podobnego pytania: kto tylko miał sposobność czy potrzebę bliższego zapoznania się z poezyą lu-

dową Zadunajców, tak epicką przeważnie; kto miał możność przekonania się, iż ogarnia ona w sobie wszystkie pierwiastki owéj straszliwéj walki świata słowiańskiego z wdzierającym się w jego łono islamizmem, któréj tak długo przewodniczyła właśnie Polska? Któż nie dosłuchiwał się tego wyrazu, w żywych zwrotach i okrzykach staréj jakiéj pieśni bojowéj serbskiéj, ilekroć zdarzyło mu się, cichym wieczorem, gdzieś u strumienia, pod rozłożystym jaworem, na popasie podzielać wytężone zajęcie się towarzyszów podróży tłumnie otaczających wędrownego gęślarza. I nikt z nas wszakże, mimo najpilniejszego rapsodów zadunajskich śledzenia, nie dosłyszał tego wyrazu w pieśni iście ludowéj. A przecież sławném swém „polem kosowskiém“ obejmuje ona wszystkie „pola,“ wszystkie niemal i z różnych czasów staréj doby pobojowiska wielkie słowiańskich pobratymów z Turkami; a przecież zna tak dobrze króla Władysława od Warny jak samego cara Lazara! Co więcéj, samo piśmiennictwo Słowian południowych, tak pięknie kwitnące w słynnym Dubrowniku aż do końca XVII wieku, do najszczytniejszych swych utworów w zakresie poezyi epicznéj liczy, jak wiadomo, poematy opiewające bohaterskie walki Polaków z półksiężycem. Liczy „Osmanidę“ Gundulicza, sławiącą pierwszą wyprawę chocimską z królewiczem Władysławem, a obok niéj Kanawelicza „Jovan Sobieski“ i Boguszynowicza „Obkruženje Becza“—odsiecz wiedeńską tegoż króla Jana; pomijając już inne mniejsze lub znane późniejszych czasów utwory. Nadomiar tego południowi nasi pobratymcy znają w przeszłości dobrze Polskę, faktycznie; tak pośrednio przez Węgry, jako też i przez bezpośrednie z dziećmi jéj zetknięcia po tureckich rozgraniczach i pobojowiskach. Niepodobieństwem więc było poprostu, aby w pieśni ludów, których cała niemal poezya życia tchnie nadewszystko uczuciem zgrozy i żądzą odwetu względem Turków, saméj nazwy owego narodu, co przez tyle wieków chodził z nimi w srogie zapasy, znajdować się pod tą lub inną osłoną nie miało.

W taki oto sposób każdy z nas rozumował, kogo chwilami żywiéj ten przedmiot obchodził. Lecz, jakkolwiek robiliśmy założenie najbardziéj uzasadnione, jakkolwiek wyprowadzaliśmy wnioski najbezpośredniejsze i najzupełniéj proste, byliśmy od rozjaśnienia rzeczy wciąż jednostajnie dalecy. Dowód to tylko, jak mało jeszcze wtajemniczeni jesteśmy w głębiny świata duchowego naszych pobratymców, nawet odnośnie do tego, co nas samych bliżéj lub wprost dotyczy; gdy naprawdę klucz do rozwarcia zagadki leżał tuż pod ręką. Odstręczeni atoli niepowodzeniem prób własnych, zwątpiwszy o jakiéjkolwiek skuteczności poszukiwań w tym kierunku, skazaliśmy się samochcąc na wyczekiwanie bierne, nim tam kiedy ktoś z pobratymców naszych zagadkę owę, niespodzianką jaką, rozwiąże.

Czekaliśmy długo; ależ nakoniec tak się przecie stało: zagadka została rozjaśnioną.

Dokonał tego znany nam dobrze zkądinąd, choćby dla bardziéj szczerego zajęcia się naszemi sprawami, profesor belgradzki Stojan Nowakowicz, w rozprawie swéj „Ledzian-grad i Polacy w poezyi ludowéj serbskiéj" zamieszczonéj przezeń pod koniec ubiegłego roku w „Latopisie Matycy serbskiéj" (zw. 12o), roczniku, wydawanym w Nowym sadzie na Wojewodynie (w południowych Węgrzech).

Doprowadziły ku temu pilnego badacza strony ściśléj historycznéj ludowych pieśni Słowian zadunajskich gorliwe poszukiwania naukowe, w celu odgadnięcia znaczenia zagadkowego dotąd wyrazu „Legen" „Ledjan", „Ledzian," jaki oddawna wyzywał napróżno, idącą w zawody, przenikliwość uczonych slawistów—wyrazu nietylko dosyć często, lecz co większa w najpiękniejszych pieśniach występującego; a przed innemi w znakomitéj pieśni o weselu Duszana owego władcy, w surowo-bohatérskiéj postaci, którego skupił naród serbski najszczytniejsze swe ideały z głębszéj przeszłości. Jest to znana w zbiorze Wuka Karadżycza pieśń 29-ta tomu II-go, śpiewana z rozmaitemi odmianami nietylko przez Serbów, lecz i przez Bołgarów nawet, i przechowywująca w sobie bardzo starą opowieść o swataniu się „silnego" cara w dalekiéj obcéj krainie „Ledzianu".

Przy powszechnéj czci poetycznéj, jaką naród otacza imię ukoronowanego bohatéra swéj dalekiéj przeszłości oraz wszystko, co się z niém wiąże, pytano nieustannie: jakąż przecie być może owa zagadkowa kraina, w któréj ludowa pieśń każe szukać żony najpotężniejszemu z carów? gdzież jest ojczyzna właściwie owéj pięknéj carycy—córki „Kralja od Ledziana"? Każdy atoli gdzieindziéj takowéj dopatrywał. Zwracano się najprzód ku bliższym sąsiadom—ku świetnéj Wenecyi, ku Węgrom potężnym; lecz tam i tu napróżno. Z drugiéj strony, z powodu, iż nazwa „Ledzian" występuje często w pieśniach ludowych pod postacią „Ledzian-grad," rozumiano, że grodu tego należy szukać w obrębie starych gniazdowych ziem serbskich: w okolicach sławnego Pryzrenu—jak to wskazywał uczony Kiopitar, a późniéj Juryszycz. Ten ostatni w dziele swém „Deczanskj prvenac" ściśléj nawet oznaczał miejscowość, wskazując na miasto „Leszok" (Leszek latopisców) w Połogu, niedaleko od Tetowa na południo-wschód od Pryzrenu, nad górnym Wardarem. Pilniejsze badania atoli wcześnie zwracały uwagę uczonych i ku dalszym krainom. Prowadziły ku temu nieodwołalnie spotykane wzmianki o „królach lediańskich" nawet u pewnych latopisców starożytnéj Serbii; osobliwie u tak zwanego rocznikarza Brankowiczów (w Arkiv za

jugoslav: poviestnicu III). Uderzał tam (str. 11) szczególniéj następujący ustęp charakterystyczny (z końca XIII w.): „Indignatus igitur Dragutin abit ad socerum suum Vladislavum, Regem Ungariae, narratisque omnibus pervicit, ut Vladislaus magnum exercitum genere suo daret et a fratre suo *Rege Ledianensi* accepit quoque exercitum et pergens ad fratrem" etc.

Zdawałoby się, iż mając w ręku tak wyraźną wskazówkę, nie można było ani na chwilę wahać się co do rozumienia zagadkowéj nazwy, jak i co do charakteru nieodzownych wyników z rozjaśnienia onéj wypływających. Brakowało wszakże potemu jeszcze środka tak historycznéj jak i lingwistycznéj świadomości. Pejaczewicz zatém, który pierwszy zwrócił na ten ustęp uwagę, uwiedziony podobieństwem brzmień, mógł tylko ostatecznie zamącić pojęcia, rozumując w swéj „Hist. Serb." (str. 219): „Ledianorum nomine, opinor, Lithuanos intelligi, quorum fortasse pars aliqua sub fratris degebat regimine," t. j. że ów „Rex Ledianensis," domniemany „brat" Władysława (IV-go) mógł być téż zwierzchnikiem litewskim; ztąd „Ledian"— Litwa oczywiście. Nie zmieniło podobnego pojmowania wyraźne przeczenie temu takiéj pawagi, jak P. J. Szafarzyka, który wszakże nic natomiast nie stawił; ani Kopitara, nie chcącego, jakeśmy widzieli, wyjść z obrębu starych ziem serbskich. Ruwarac, co jeden z pierwszych począł rozważać ludową poezyą serbską ze stanowiska literacko-historycznego, przychylił się ku zdaniu Pejaczewicza. Dla tém mocniejszego uzasadnienia owego zdania, uciekł się on nawet do dowodów z zakresu fantazyi historycznéj, utrzymując, iż pamięć o Litwie mogła się wśród Serbów przechować z tych zamierzchłych czasów, kiedy to jeszcze przodkowie ich nad Karpatami bezpośredniéj z nią sąsiadować mieli! Co, nawiasem powiedziawszy, nie wiele kogo raziło i ztąd jeszcze, iż idąc za błędną wskazówką u Porphyrogenety, przypuszczano, że Serbowie przybyli nad Dunaj z północno-wschodnich stoków Karpat, nie zaś z wielkiéj Syrbii nadłabskiéj.

Tłómaczenie powyższe wyrazu „Ledzian" nie dawało atoli możności rozumienia jasnego zagadkowych zawsze zwrotów w odnośnych pieśniach i z konieczności podniecało do ściślejszego rozważenia przedmiotu oraz nowych w źródłach poszukiwań. Dla czegóż daleka, niesamoistna, więc ledwie znana na południu Litwa miałaby zajmować takie wysokie, takie wyjątkowe miejsce w poezyi ludowéj serbskiéj? — słusznie pytano. Dla czego owszem miejsce owo zaszczytne nie przyznaćby z większém uzasadnieniem narodowi, który faktycznie odegrywał przeważną rolę na widowni kilkawiekowych zapasów śmiertelnych Słowiańszczyzny południowéj, właśnie

w epoce tworzenia się jéj pieśni bohatérskich? Poczęto zatém na nowo zwracać się po rozwiązanie do roczników. Wspominany wyżéj Latopisiec Brankowicza zawierał jaśniejszą jeszcze od przytaczanéj wskazówkę, w dziwny sposób uchodzącą dotąd uwagi. Wyraźnie, tam bowiem stoi: „anno 1440 constitutus est in Ungaria rex Vladislav *Ledianin.*“ Zatém, epitet to narodowy Jagiełłowicza, przyszłego bohatéra z pod smutnéj Warny, dotąd króla „polskiego“ jedynie. Wprawdzie epitet ten mógłby oznaczać, podług dotychczasowego tłómaczenia wyrazu, i Litwina z pochodzenia; lecz profesor Nowakowicz, który podniecony uwagami W. Jagicza (Archiv für slawische Philologie II, 623), zabrał teraz ostatnie już słowo w tym przedmiocie, wystąpił stanowczo przeciw podobnemu rozumieniu, zbrojny w kombinacye historyi i lingwistyki. Wziął on za podstawę swego wnioskowania proste niezmiernie założenie: oto, Warneńczyka poznali Słowianie zadunajscy nie bezpośrednio, jako króla polskiego, lecz przez Węgry; w węgierskiéj téż postaci lingwistycznéj zatrzymać mogli w swym języku i nazwę jego narodową „Ledianin.“ Wyraz ten bowiem jest widomém, ze słowiańska, przetworzeniem słowa madziarskiego „lengyel.“ „Lengyel“ zaś, jak powszechnie wiadomo, u Węgrów, nie kogo innego, jedno Polaka oznacza. Jest to podobnież madziarskie tylko przetworzenie wyrazu Lech, raczéj Lęch (Lęhъ, Ляхъ), jak podaje słusznie Miklosicz (Die slawischen Elemente im Magyarischen, str. 39); wyrazu, który służy za nazwę, jaką nam wyłączniéj nadają wszystkie ludy Wschodu, ledwie znające dawniéj miano nasze właściwe.

Otóż tedy owe tak długo zagadkowe w poezyi ludowéj Słowian zadunajskich wyrazy „Ledjan,“ „Ledzian,“ „Ledzian-grad“ nie oznaczają nic innego, jedno ziemię Lechów, Polskę. Tegoż samego znaczenia są wyrazy: „Legen,“ „Lean,“ „Legen-grad,“ spotykane w pieśniach bołgarskich. Najwidoczniéj nawet przeszły one razem z odpowiedniemi pieśniami do Bołgarów od Serbów, co tém mniéj może ulegać wątpliwości, ile że pieśni takowe dają się słyszéć w północnéj Macedonii, któréj ściślejszy pod każdym względem stosunek z Serbią jest dobrze znanym. Co zaś do przystawki „grad“ często występującéj przy mianach narodowych, krajowych, nie powinna ona nikogo w błąd wprowadzać, jako wskazująca niby wyraźnie na miasto jakieś: jest to licencya pieśniarska jedynie, lubująca się w podobném przetwarzaniu gramatycznych form; zkąd często Węgry na Madżar-grad przeobrażane. Ciekawa téż rzecz, co za nazwę nosi Polska w owych trzech pieśniach bołgarskich, jakie miał przesłać A. Chodźko Akademii umiejętności w Krakowie, osobliwie w owych dwóch pieśniach starszych, odnoszących się do Warneńczyka.

Mając już rozwiązaną kwestyą nazwy, pod jaką przeważniéj występują Polska i Polacy w starożytnych rapsodach bohatérskich u południowych pobratymców, tém swobodniéj teraz, tém łatwiéj będziemy mogli już przystąpić do zbadania i rozjaśnienia, aż co do odcieni, samego istotnego stanowiska, jakie pamięć naszéj przeszłości narodowéj w poezyi ludów zadunajskich zajmuje. Wątpliwa atoli czy prędko doczekamy się tego, że ktoś z pośród nas zbierze i rozgrupuje należnie pieśni epiczne pobratymców na półwyspie bałkańskim, których treść odnosi się w większym lub mniejszym stopniu do naszych własnych dziejów, lub choćby tylko ubocznie, poetyczno-fantazyjnie narodu naszego dotyka; następnie zaś, ważniejsze z nich przynajmniéj naszemu językowi przyswoi i, wspierając się na źródłach, rozświeci jasnym promieniem mglistą ciemnię, okrywającą dotąd zakres duchowo-poetycznéj spójni Polski z południem. Będzie to stanowić niemałą dla nas zdobycz duchową w krainie wspomnień z dawno ubiegłéj przeszłości, zdobycz nieobojętną w obliczu nawet poważnéj potrzeby najwszechstronniejszego szerzenia świadomości własnéj co do moralnéj istoty stosunków naszych z pobratymcami. Boć ani Zamarski, ani inni tłómacze dotychczasowi pieśni serbskich, ani téż badacze życia ludów zadunajskich w ogóle nie byli jeszcze w możności sprostania zadaniu podobnemu, nie mając dostatecznéj po temu podstawy i najgłówniejszego punktu oparcia!

Zanim atoli ktoś ze specyalniéj po temu przygotowanych ziomków przedmiot ten ostatecznie z naszego stanowiska wyświetli, nie będzie zbyteczném, gdy tu na zakończenie powyższych uwag wskażemy, co téż przedwstępnie już sam prof. Nowakowicz wypowiedział w zasadzie o znaczeniu wspomnień o Polsce oraz wyżynie poetycznéj idei dziejowéj polskiéj w starych rapsodach bohatérskich jego własnego narodu.

Zaznacza przedewszystkiém uczony serbski samę nieodzowność faktyczną i moralną owego znaczenia, owéj wyżyny. Słusznie on mniéj świadomym przypomina, że dla Serba „svaki je drag, koj hoće na Turczina,“ t. j. każdy dlań drogim, kto gotów na Turka! Tak było wieki całe, począwszy od pierwszéj klęski narodowéj na Kosowém polu. Wieki całe od czasu tego złowrogiego wypadku, którego bezpośredniém następstwem było ciężkie jarzmo bisurmańskie, zwracały ludy zadunajskie tęskny wzrok wciąż ku północy, ztamtąd wyczekując pomsty i zbawienia. Witanym był z uniesieniem każdy, kto im niósł nadzieję swobody, nabierał szczytności bohatérskiéj i poetycznego blasku; każdy, kto odważył się stawić zbrojnie czoło straszliwéj potędze ottomańskiéj, a cóż dopiéro, kto miewał szczęście i siłę dzielną odnoszenia nad Turkami zwycięztw!

W piérwszéj zać dobie walki rozpaczliwéj z półksiężycem, kiedy groźna moc onego zdawała się być nie do skruszenia, chodzili z nim w zapasy Węgrzy i Polacy, a po upadku Budymia, Polacy niemal już jedni i nieraz zwycięzko!

Można sobie wyobrazić tedy jaką aureolą promieniał w wyobraźni i sercu uciemiężonych ludów naród, co wyjątkowiéj w danéj epoce miał na swych chorągwiach znamię krzyża świętego, godło wyjarzmienia; naród w którego zbrojnych szeregach znalazło najżywsze wcielenie dogasające zarzewie rycerskości chrześciańskiéj; naród nakoniec jednéj krwi i blizkiéj mowy. Nie mogło nawet być inaczéj! Polacy pierwsi zachwiali potęgą ottomańską, zwycięztwa pod Chocimiem i Wiedniem okryły imię ich chwałą niespożytą, otoczyły je bohatérsko-poetycznym urokiem u pobratymców. Nic dziwnego, że na spragnioném wyzwolenia południu słowiańskiém brzmiały pieśni na cześć bohatérów, coraz liczniéj dziś wykrywane; jak w wolnym Dubrowniku powstawały poemata, pod natchnieniem powszechnego dla zwycięzców uwielbienia. Gdy w pierwszéj dobie walk z islamem przyćmiewa jeszcze w pieśni nieszczęsnego króla Władysława wyniosła postać bohatéra Węgier Hunyada, ulubieńca jéj „Sybinjanina Janka;“ późniéj, już tylko Ledzianie (Polacy) ją zajmują!

Przypomina prof. Nowakowicz, że i sama Polska nie była Serbom obcą od dawien dawna. Wskazuje, że znakomity Serbin XV wieku Michał Konstantynowicz z Ostrowicy, bojownik krzyża św. z pod Warny, potém janczar z przymusu, w niéj szuka przytułku, a za gościnność obdarza jéj piśmiennictwo znanemi „Pamiętnikami Janczara.“ Przypomina, że poeta Miaskowski świadczy, iż gęslarze serbscy znani byli po Polsce od dawnych czasów. Zwraca uwagę i na ślady częstych pielgrzymek duchowieństwa serbskiego po Rusi, „na leszsku zemlu. Dla nas wskazówki podobne są zbytecznemi: w potrzebie moglibyśmy Serbom przytoczyć innéj wagi dowody, że przodkowie nasi znali się wzajem dobrze od wieków, za pośrednictwem Rusi, a nawet Węgier.

Ale wróćmy do pieśni.

Że przy bliższéj znajomości Polski, przy uwielbieniu dla dzielności wojennéj jéj synów, bohatérowie naszych zapasów z Turkami musieli być zarazem bohatérami pieśni zadunajskich, nic nadto prawdopodobniejszego. Autor rozprawy rad widziéć dowód po temu we wspomnieniach poezyi epicznéj pisanéj, która sławiąc, „swi poljaczki krali izbrani, Jageloni, Vladislavi, Kazimiri, Szyszmani“ etc., pomiędzy bohatérami narodowymi (jak car Stefan, Milosz Obilicz, Marko Kraljewicz, Sybinjanin Janko), widocznie spotkała już ich

pierwéj w ludowéj pieśni. Być to mogło; choć dziś w pamięci pozostały zaledwie imiona króla Władysława (Jagiełłowicza) i jego mściciela „zmija ognistego“ (ognena zmaja) króla Jana III. A nadto powtórzyć tu wypada, iż nasz Warneńczyk jest w pieśni serbskiéj bohatérem Kosowego pola: opiewa ona „Kad se kralju Vladislave na Kosowo otpravljasze!“ Inne zaś imiona już zatarły się.

Przechowało się zato najżywiéj idealne w pieśni wspomnienie krainy téj, niemal mistycznéj, co wydawała takich dzielnych wojowników, z którymi sami groźni Turcy musieli się liczyć. Urok poetyczny, jakim ją raz pieśń owiała, otacza ją do téj chwili. Zagórska ta bowiem dla Naddunajców kraina, stawszy się raz przedmiotem tęsknoty i nadziei w pośród ich ciężkiéj niedoli, porywała ku sobie fantazyą i w innym jeszcze nie mniéj żywym kierunku. Oto odniosła ku niej pieśń i swe ideały piękna niewieściego, nakazując bohatérom narodowym szukać sobie towarzyszki życia w dalekim, tajemniczym Ledzianie. Ścisłe fakta dziejowe rapsodystów pod tym względem wcale się nie wiązały. Obok tego, ze zmianą czasów i ideałów, zmieniały się same nazwy opiewanych postaci: w starych pieśniach dawne miana historyczne i idealne ustępowały miejsca nowym. Wyznać trzeba, że zapewnie w ten a nie inny sposób wystąpiła w pieśni serbskiéj taka postać fantastycznéj „Petruszy djewojki, ćeri kralja od Ledziana“ lub téż ów „Ban od Ledziana“ idący w zapasy ze „Zmaj-despotem Wukiem“ i inne. Tém nie mniéj, trzeba było niezwykłego uwielbienia dla narodu, w łonie którego kazano szukać, w świecie ideału, oblubienicy samemu Duszanowi!

Późniéj, i pamięć rzeczy się zatarła, gdy gwiazda tego narodu była przygasła; dziś życie uśpioną świadomość przeszłości znów rozbudza!

Al. Jabłonowski.

NARODOWOŚĆ I PRAWO PUBLICZNE.

Das Recht der Nationalitäten und Sprachen in Oesterreich-Ungarn. Insbruk. 1879. Dr. Ludwig Gumplowicz.

Rzadko napotykać można człowieka ukształconego, któryby ważności przedmiotów, dotyczących prawa państwowego, nie uznawał; któż się niemi nie interesuje żywo, kto o nich przy sposobności, a ta się zawsze znajdzie, nie rozprawia? A jednak, bodaj czy jest jaka inna gałąź wiedzy, co do której panowałyby równie chwiejne i nieokreślone ściśle wyobrażenia. Liczmany bez wartości przyjmowane są często za dobrą monetę. Dla tego pragniemy obszerniéj zaznajomić czytelników z ciekawą pracą docenta prawa państwowego przy uniwersytecie w Grazu, dra Ludwika Gumplowicza. Autor znany jest i w nowéj literaturze z prac dotyczących historyi żydów w Polsce. Z zakresu prawa publicznego wydał w języku niemieckim poprzednio dwie rozprawy, a mianowicie „*Raçe und Staat*“ w r. 1875 i „*Philosophisches Staatsrecht*“ w r. 1876. Praca najświeższa dotycząca kwestyi narodowości nietylko w państwie Austro-Węgierskiém, ale i teoretycznie, w ogóle, zasługuje na baczniejszą uwagę z powodu wielu nadzwyczaj trafnych i bystrych poglądów, nacechowanych samodzielnością, oraz ze względu na metodę, któréj używa autor w swych badaniach.

Nie ulega wątpliwości, że w licznych kontrowersyach, które się w dziedzinie umiejętności moralnych a zatém i prawnych spotyka, główną gra rolę metoda badania. Pomimo, że od niejakiego czasu coraz częściéj w pracach tego rodzaju występuje kierunek indukcyjny, opierający się na badaniu faktów branych z życia rzeczywistego i dążący do wydobycia z nich na jaw natury rozmaitych zjawisk społecznych, pomimo, że prace te, zwłaszcza angielskie zyskały już sobie rozgłos powszechny, większość pracujących na niwie umiejętności polityczno prawnych, szczególniéj zaś w Niemczech, trzyma

się jeszcze przeciwnéj metody. Rzec można, że dotąd główne czoło uczonych polityków i prawników nie zerwało jeszcze ze starą tradycyą, która w pokrewnych naukach n. p. w filozofii dość silnie już zachwiana została. Uczeni prawnicy wyjątkowo dopiéro odważali się na odstąpienie od wielu wierzeń i poglądów, powstałych w młodzieńczéj epoce myśli ludzkiéj i święcie, bez krytyki niemal przechowywanych w skarbnicach wiedzy. Pan Gumplowicz należy do tych wyjątków i, jak widać z dwu dodatków do rozbieranéj pracy dołączonych (1), liczne z tego powodu wywołał w literaturze niemieckiéj opozycye. Teoryj swoich nie wyprowadza on z abstrakcyjnych, nieokreślonego pochodzenia idei. Szuka ich w dziejach ludzkości, w rzeczywistości, któréj służyć mają. W nich pragnie znaléźć, według własnych jego słów, drogoskazy, któreby na przyszłość mogły służyć za wskazówkę dokąd dążyć należy. Zalety obranéj metody podniósł p. Gumplowicz w pracy o narodowościach trzeźwym i bezstronnym poglądem, który go uchronił od uprzedzeń i namiętnych sądów.

Zanim do rozbioru saméj rozprawy przystąpię, uważam za konieczne zatrzymać się nad kwestyą poboczną, ale do zrozumienia głównéj niezbędną, t. j. nad poglądem autora na naturę państwa i prawa. Wypowiedział go już autor obszernie w dawniejszych pracach, w obecnéj jednakże uwydatnia go na każdym kroku, a nadto wprost dotyka we wzmiankowanych dodatkach. Państwo jest według p. G. wytworem siły; w całych dziejach ludzkości nie widać innego sposobu założenia państwa nowego, jak siła, podbój. Na drodze pokojowego, dobrowolnego połączenia mogą powstać jedynie drobne osady, w żadnym razie cech państwa nie posiadające. Wszelkie uznane w teoryi prawa państwowego spokojne fundacye państw drogą międzynarodowych konferencyj i kongresów, są tylko czczą formą, pozorem, któremu dają się uwodzić formalistyczni doktrynerzy nauki. Treścią tych faktów jest zawsze w gruncie rzeczy siła; ona jest stanowczym momentem w politycznych zmianach, późniejsze zaś protokóły traktatów stwierdzają tylko i określają to, co w rzeczywistości już się spełniło. Jakkolwiek twierdzenie to wielu oburzyć może i w rzeczywistości oburza, niepodobna mu zaprzeczyć. Każdy komu nie obce są dzieje, i kto umié w faktach dopatrzéć głębszych, istotnych ich przyczyn, zgodzić się musi na zdanie pana G. Siła jest główną cechą wyróżniającą państwo od innych form uspołecznienia, i pierwsze atrybucye, które pierwotnie wzięło na się

(1) Jeden z nich dotyczy kwestyi zakładania państw, drugi genezy obyczajowości; oba są odpowiedzią na krytyki poprzednich prac autora.

państwo dotyczą wyłącznie téj siły, — wojskowości. Pojęcia naczelnika władzy państwowéj i wodza są w pierwszych epokach rozwoju państwowego nierozdzielne. Jeżeli państwo jakie nie powstało drogą wyraźnego pokoju, to co najmniéj było wynikiem skupienia się plemion lub rodów pod jednym wodzem w celu odparcia nacisku siły. A i w tym wypadku nic innego nie zorganizowało państwa, jak tylko siła. Inne zadania państwa, bardziéj moralnéj natury wytworzyły się na wyższych już stopniach rozwoju państwowego, a i w nich zresztą występuje zawsze siła, jako główny środek, wyróżniający stosunek państwa do pewnéj sfery działalności, od podobnegoż stosunku innych form społecznych.

Zgodnie z powyższym poglądem zapatruje się p. G. na prawo rozumiane w znaczeniu ustaw obowiązujących. Jest ono wytworem państwa, a zatém siły, i gromione przez tak wielu zdanie: „*siła przed prawem*“ uznaje autor tylko za stwierdzenie faktu powszechnego, naturalnego. Ludzie jednakże lubią zamykać oczy na to zjawisko i wolą szukać źródła prawa i w ogóle obyczajowości wśród bóstw. Sami nawet piastunowie siły lubią swe dzieła boskiéj przypisywać woli. Od słów Pipina (powiada p. G.) wyrzeczonych po zwyciężeniu Ottona księcia Bawarów: „Za wstawieniem się św. Piotra i z wyroku bożego, należy teraz Bawarya do państwa Franków,“ aż do telegramu cesarza Wilhelma: „Jaki obrót rzeczy z dopuszczenia bożego“ (Welche Wendung durch Gottes Fügung), ileż to razy, wypowiedziano, lubo w innéj formie, myśl, że siła idzie przed prawem, że ona wytwarza obyczajowość i prawo. Twierdzi daléj p. G., że nietylko prawo ale w ogóle cała obyczajowość jedynie drogą siły (a więc w państwie?) wytworzona być mogła, uderzając przytém ostro na wywodzenie pojęć prawnych z jakichś niby wrodzonych ludziom idei.

I w tych twierdzeniach wiele jest trafności i prawdy, choć w całości, bez pewnych modyfikacyj na nie zgodzić się nie można. Nie ulega wątpliwości mianowicie, że pod pewnym względem siła idzie przed prawem. Rozumiem to w ten sposób, że żadna idea, żadna w ten lub ów sposób wytworzona zasada stać się nie może prawem, t. j. ogólnie obowiązującą normą jeżeli nie staje po za nią siła, która doń zmusić może. Dziwny tylko i nie liczący się z rzeczywistością idealizm, może podciągać pod nazwę praw pewne postulaty, które jedynie w mózgu ich zwolenników mają moc obowiązującą a z których drwić sobie mogą inni, gdy im one nie dogadzają. Cały np. zakres t. zw. prawa międzynarodowego, do podobnych pozornych tylko praw należy, które tak zasadniczo różnią się od przepisów n. p. prawa kryminalnego lub prywatnego, że prawie jest nielogicznem łączyć je pod jedną ogólną nazwą. Ostatnie są prawem isto-

tném, gdyż mają w odwodzie siłę, nakazującą szacunek tym, do których się stosują, pierwsze są zaledwie radami, z których korzystają ci tylko, co widzą w tém swój interes.

Czujemy wprawdzie i słyszymy, że w wielu razach siła narusza prawo, że wywołany przez nią stan rzeczy nie prawem, lecz bezprawiem nazywany bywa, że tam gdzie siła upadła prawo pozostało. Lecz jest to tylko sprzeczność pozorna, złudzenie wynikające z nieporozumienia co do znaczenia słów! *prawo* i *siła*. I prawo bowiem i siła bywają rozmaite. I tak zaczynając od siły, przyznać musimy, że nie stanowią jéj jedynie bagnety i zastępy sług policyjnych, że po za taką siłą i obok niéj istnieją inne mniéj widoczne, ale nieraz potężniejsze. Czyż nie jest siłą uczucie religijne, wiara w wyższą istotę, któréj woli hołdują miliony ludzi wbrew nieraz sile widocznéj? czyż siła ta nie prowadziła setek tysięcy na śmierć niechybną, na boje, tortury i stosy? Czyż daléj nie jest siłą pewne ogólne przekonanie, pewien nacisk jaki opinia publiczna wywiera na jednostki i sprawia, że te mimowoli ulegają jéj i na jéj rozkazy nawet do czynów bohatérskich są zdolne? Ileż to razy tam, gdzie siła fizyczna dotrzéć nie może lub pomocy swéj udzielić nie chce, a nawet gdzie kładzie tamy, robi swoje ta ostatnia, na pozór żadna siła?

Jak siła tak i prawo bywa rozmaite w miarę tego właśnie na jakiéj opiéra się sile. Mamy najprzód prawo zapisane w kodeksach i strzeżone przez sądy i siłę zbrojną. Są daléj przepisy religijne, których moc utrzymuje wiara w istotę najwyższą i jéj władzę nad ludźmi. Następnie są zasady przyzwoitości lub tak zwanego honoru, bronione przez głos opinii publicznéj, która ciężką nieraz dłonią ledz może na wykraczających przeciwko jéj nakazom. Mamy wreszcie ogólne prawa moralne, które uświęca wspólne pojęcie grupy społecznéj, pojęcie bezwiednie pod wpływem otoczenia i potrzeb wytworzone. Pojęcie to zbiorowe szczególniéj jednoczy się z przekonaniem jednostki i stanowi niejako miarę, według któréj inne rodzaje praw oceniamy. Ono przyznaje i uznaje pewne prawo nawet wtedy, gdy inne je depczą lub gwałcą; ono domaga ich się i w końcu, wcześniéj lub późniéj tryumfuje, jeżeli tylko samo nie jest wynikiem błędnych poglądów, które zwolna niszczy ząb czasu. W tych to razach zazwyczaj siłę przeciwstawiamy prawu, tu mają źródło twierdzenia jakoby prawo było czémś wyższém nad siłę, jakoby ono było odmienne, wrodzone lub nawet wprost przez istotę wyższą ustanowione, zanim jeszcze powstał świat, ludzie i ich siła.

Faktem jest, że w tych wszystkich razach prawo nie istnieje bez siły, lecz siła ta spoczywa nie w *państwie*, ale w tym bezimiennym związku społecznym, który wytwarza ich bezwiednie i niewidocznie,

wszędzie gdzie wśród pewnéj gromady jednostek istnieją stałe stosunki. Siła ta leży w powszechném uznaniu nie tych tylko, których broni, ale i ogółu bezstronnych widzów; gdy tego powszechnego uznania nie masz, domagania się pokrzywdzonych nie będą *prawem*, lecz prostém, osobistém *uroszczeniem*, a to właśnie dla tego, że ich żadna *siła społeczna* nie wspiéra.

Gdyby przeto p. G. tak pojmował siłę i prawo nie mielibyśmy przeciwko jego zasadzie „siła przed prawem“ nic do zarzucenia. Lecz pogląd jego jest nieco odmienny. Ze związków społecznych p. G. siłę uznaje tylko w państwie, ona więc tylko jest sferą, w któréj powstaje prawo a nawet wszystkie w ogóle zasady etyczne. Jakkolwiek bowiem widzi siłę moralną i w żywiołach państwo stanowiących n. p. w narodowościach, lecz wytworzenie się podobnych siłą obdarzonych związków, w państwie jedynie, za możliwe uważa. Ten jednostronny pogląd, to nieuznawanie potęgi społeczeństwa, jako ogólnego związku bez ścisłych form i organów władzy, przebija się w wielu miejscach pracy jego o narodowościach i zdanie siła przed prawem posuwa aż do niezgodności z faktami rzeczywistemi. Wszelako, nawet w tém przyznawaniu bezwzględnie wysokiego znaczenia państwu i sile przez nie reprezentowanéj, nie można p. G. zupełnie odmawiać słuszności. Na zasady moralne społeczeństwa, na ich wytworzenie i ustalenie wpływają różne potrzeby i okoliczności; byt państwowy i wytwarzane w nim prawo stanowione odgrywa wśród okoliczności tych pierwszorzędną rolę. Dla tego też siła państwowa może nieraz przeprzéć opór siły moralnéj i wprowadzić z czasem w sferę praw moralnych to, co pierwotnie uchodziło w niéj za bezprawie. Lecz niepodobna, wtórować p. Gumplowiczowi, gdy utrzymuje, że zjawisko to było jedyną, prawidłową normą rozwoju prawa i moralności. Oddziaływanie jest tu wzajemne; prawo stanowione wpływa często na prawa moralne, lecz i na odwrót nieraz im ustępuje i z nich treść swoję czerpie.

W ogóle twierdzenie naszego autora jakoby tylko drogą siły, którą państwo rozporząda, mogły wejść w życie prawo i zasady etyczne, doprowadziłby musiało do mniemania, że państwo było pierwszą formą uspołecznienia, albo, że mogły i mogą istniéć formy społeczne bez praw, t. j. jakichkolwiek ogólnie obowiązujących norm postępowania. Mniemania tego nie może uznawać sam p. G., bo gdyby każde pierwsze połączenie ludzi nazwać państwem, upadłoby całe jego dowodzenie, że państwo tylko drogą siły powstać może, nawet broniąc się przeciwko krytyce niemieckiéj wyraźnie głosi co innego, twierdząc że Wenecya nie była przecież państwem dopóki ją zamieszkiwali jedynie ubodzy rybacy. Lecz czyż ci rybacy mogli

się obejść bez pewnych praw, choć niestanowionych, lecz w pojęciu ogółu żyjących i bronionych jeżeli nie przez prawidłowe sądy i policyą, to przez ogół jednakowo myślący i czujący? To były pierwsze zarodki prawa, pierwotnie w dziedzinie moralności poczęte, a potém z pojawieniem się państwa w sferze prawa stanowionego przeniesione przez dodanie im nowéj sankcyi, sankcyi na sile fizycznéj opartéj.

Po takiéj modyfikacyi pojęcia siły i prawa chętnie na zasady pana G. zgodzimy się. Mają one bowiem tę ważną zaletę, że źródła idei prawa nie szukają w mglistéj sferze jakichś pojęć wrodzonych, że ją z obłoków sprowadzają na ziemię, i że dozwalają teorye zjawisk życiowych oprzéć na faktach, a więc dają im jedynie możliwą logiczną podstawę.

Po tém wyjaśnieniu przejdźmy do właściwego przedmiotu książki t. j. do kwestyi narodowości.

I.

Zasada narodowości, twierdzi p. G., jest ideą w sferze polityki zupełnie nową, ideą dopiero w XIX w. wytworzoną. Państwo średniowieczne nie znało ani „idei narodowości,“ ani „języka ojczystego.“ Początki nowéj cywilizacyi po upadku wielkich narodów starożytności Greków i Rzymian rozpoczęły się od szeregu państw *plemiennych.* Wszędzie występują plemiona i języki plemienne, których z narodowością za jedno brać nie można; wszędzie widzimy rozróżnienie dwu żywiołów, podbitych i zdobywców. Wiele z państw tych upadło, inne rozwijały się i pracowały bezwiednie nad wytworzeniem *narodowości* t. j. *związków duchowych i cywilizacyjnych, które ujawniły się głównie w nowowytworzonych językach narodowych, a w wielkich literaturach narodowych swe wyrażenie znalazły.* Proces ten wytwarzania się narodowości polegał na zlaniu się różnorodnych pierwiastków i rozbudzeniu świadomości o językowéj i cywilizacyjnéj wspólności. Narodowościami więc nazywamy wielkie grupy społeczne, które w wieku bieżącym świadome są téj wspólności i przejęte jednéme, łączącém ich członków poczuciem narodowości.

Zanim jednak do téj świadomości przyszło, długo poczucie narodowości w ludach Europy nie istniało wcale, i zamiast języków narodowych, panował jeden powszechny — łaciński. Złożyły się na to różne okoliczności, przedewszystkiém kościół katolicki, który rozróżniał tylko wiernych i niewiernych, a różność języków za skutki

grzechu uważał (1). Dla tego też wybitne przeciwstawienie narodowości tam tylko w wiekach średnich ma miejsce gdzie, jak np. podczas wojen husyckich, łączyła się z narodowością sprawa różnicy wyznania. Drugą przyczynę uśpienia idei narodowości stanowiła ta okoliczność, że w wiekach średnich jedynym żywiołem mającym znaczenie był stan rycerski, który zawsze mniéj jest przywiązany do ojczystego języka. Mnóstwo przykładów z owych czasów przekonywa jak łatwo zdobywcy germańscy zmienili swój język na mowę podbitych ludów, np. Longobardowie we Włoszech, Normanowie we Francyi i t. p. Usunięcie języków narodowych z życia publicznego ułatwione zostało jeszcze przez to, że państwo średniowieczne miało do czynienia tylko z pewnemi sferami t. j. z wyższą klasą, podczas gdy lud prosty i stan miejski, mający osobną juryzdykcyą (patrymonialną lub autonomiczną), z pod władzy państwa zupełnie były usunięte. To też i póżniéj gdy zwracać się zaczęto w sprawach urzędowych do języków narodowych czyniono to jedynie ze względów praktycznych nie zaś dla saméj idei. Ta idea właśnie jest cechą czasów najnowszych i dla niéj dziś poświęca polityka nieraz wiele innych bardzo ważnych względów. Ta to idea narodowości w dziejach państwa austro-węgierskiego od połowy XVIII wieku ciekawe i zmienne przechodziła koleje.

W XVIII w. dążenie do rozszerzenia oświaty oraz do wywierania wpływu rządowego na cały naród aż do najniższych jego szczebli podkopały znaczenie łaciny a języki żyjące poparło. W Austryi pierwsza Marya Teresa dzieło to rozpoczęła. Lecz właściwie mówiąc nie chodziło tu o cele narodowe, lecz o polityczne, i nie o języki narodowe, ale o język niemiecki. O ile więc żywioł narodowy wzmocnił się w prowincyach niemieckich, o tyle stracił w słowiańskich. Zwrócono tedy baczną w szkołach uwagę na język niemiecki, który według powszechnéj ustawy szkolnéj w r. 1774 uznany został za wykładowy dla całego państwa. Cztery tylko szkoły w Czechach pozostawiono na 3 lata przy języku czeskim. W r. 1775 i 1776 nastąpiła germanizacya szkół ludowych w Czechach, na Szlązku, Morawii, Krainie i Pograniczu.

Tendencye germanizacyjne najsłabiéj za rządów Maryi Teresy występują w Galicyi. W r. 1775 cesarzowa objawia kancelaryi nadwornéj zdanie, że należy zwracać uwagę na rozprzestrzenienie

---

(1) Uczony autor zapomniał na tę chwilę, że powieść o wieży Babel nie ma charakteru specyficznie katolickiego. Powieść ta zapisana jest w Starym Testamencie— świętéj księdze Hebrajczyków (Przyp. red.).

niemczyzny w Galicyi, że o polepszenie języka polskiego szczególniéj dbać nie należy, ale z drugiéj strony nakazać tłómaczenie podręczników szkolnych na język polski, aby nie sądzono, że rząd pragnie wykorzenić język krajowy. Jednakże kancelarya w r. 1780 wystąpiła z przedstawieniem, że narzucanie ludowi galicyjskiemu gwałtem języka niemieckiego byłoby szkodliwe i bezskuteczne i że stanowiłoby nową przeszkodę polepszenia szkół. Tylko radca *Gebler* wystąpił ze zdaniem przeciwném w imię jedności państwowéj, choć stanowczo oświadczył się przeciwko wszelkiemu przymusowi. Zdanie Geblera w polityce austryackiéj coraz bardziéj zyskiwało przewagę.

Nieśmiało rozpoczętą przez Maryę Teresę germanizacyą krajów austryackich, w celach państwowych podjętą, postanowił syn jéj Józef II przeprowadzić ze stanowczością, która cechowała jego charakter. Nie ograniczając się na krajach słowiańskich, rozciągnął on ją do Węgier i prowincyj Włoskich. Język niemiecki wprowadzony został do urzędów i sądów w miejsce łacińskiego. Wprawdzie ordynacya sądu z r. 1781 ogłosiła za język stron przed sądem język krajowy, lecz w rzeczywistości wprowadzono wszędzie niemiecki. Tylko Galicya uzyskała zwłokę do r. 1790. Innowacyą tę wszystkie kraje słowiańskie przyjęły biernie, lecz z Madziarami sprawa nie poszła tak łatwo.

Poczucie narodowości nie istniało wprawdzie jeszcze i u Madziarów, lecz wprowadzenie języka niemieckiego targnęło się na ich konstytucyą, którą każdy monarcha austryacki przed włożeniem na głowę korony św. Stefana zaprzysiądz musiał. Urzędowy język w Węgrzech był łaciński, i jeżeliby Węgrzy odstąpili od niego, to jedynie tylko dla madziarskiego nigdy zaś dla niemieckiego. Bo razem z tym ostatnim wkroczyli do Węgier urzędnicy Niemcy, co już wprost naruszało konstytucyą. To też reprezentacye komitatu Biharskiego skarżą się, że: „obcy, przybłędni urzędnicy, którzy Węgier ani znają, ani kochają, chcą pod pozorem służenia oświacie, wykształceniu i wolności, język i ustawy krajowe jak gdyby gąbką zetrzéć, Węgry zgermanizować i sprowadzić do opłakanego losu ludów słowiańskich.

W obec tego oporu musiał Józef II cofnąć w r. 1790 swe germanizacyjne plany co do Węgier. Lecz próba jego brzemienna była w następstwa. Przebudziła ona po raz pierwszy w Madziarach poczucie ich własnéj narodowości, które z czasem udzieliło się i innym ludom Austryi. Przedewszystkiém i jednocześnie z opozycyą madziarską odezwały się głosy niemadziarskiéj ludności Węgier t. j. Serbów, Sasów i Rumunów (w Siedmiogrodzie) Słowaków i Rusinów. Różne te żywioły, Madziarom nieprzyjaźne, dopominały się w Wie-

dniu praw dla swych narodowości, choć nie wiadomo czy szły w tym względzie z własnego popędu za przykładem Węgier, czy też było to tajemnie obyślane dzieło polityki austryackiéj, celem osłabienia zwycięzkich Madziarów. Faktem jest tylko, że wystąpienia te bardzo były rządowi wiedeńskiemu na rękę. To téż nie bacząc, że w krajach słowiańskich germanizacya systematycznie była przeprowadzona, w Węgrzech zaczęto z Wiednia popierać silnie narodowe żywioły, „Divide et impera“ stało się odtąd hasłem polityki austryackiéj w sprawie narodowości na każdym punkcie, gdzie prąd germanizacyjny napotykał przeszkody.

Przeciwko tym dwulicowym dążnościom Austryi wystąpili Madziarowie z wysokim taktem i umiarkowaniem. Sejm z r. 1790—1791 przywrócił neutralną łacinę, jako język urzędowy, nie chcąc podniecać namiętności plemiennych zaprowadzeniem języka madziarskiego i pragnąc ścisłém trzymaniem się dawnéj konstytucyi przeciwstawić legalność zuchwałemu nowatorstwu rządu wiedeńskiego. Serbowie i inne niemadziarskie ludy otrzymały od sejmu przyznanie niektórych praw narodowych, mianowicie zaś w szkołach średnich i niższych, o tyle jednak tylko o ile to nie naruszało konstytucyi. Powoli wszakże torowali Madziarowie drogę swemu językowi w dziedzinie stosunków publicznych. W r. 1804 wprowadzono go jako urzędowy do nadwornéj kancelaryi, przyczém jednakże zastrzeżono, że nikt nie jest obowiązany wnosić podań do jakiegobądź rządu, ani odbierać decyzyi w języku madziarskim, ani téż stosować go przy spisywaniu protokółów z zeznań ustnych.

Na dalsze losy sprawy narodowościowéj w Austryi wpłynęły w wysokim stopniu ogólno europejskie wypadki. Rewolucya francuska i jéj wychowaniec Napolen I uznając tylko jednostkę i jéj prawa lekceważyli narodowość. To téż wojny Napoleońskie po raz pierwszy rozbudziły narodowy patryotyzm w Niemczech, a kongres wiedeński oddał hołd poniewieranéj idei, stając w obronie praw tych nawet ludów, które nie miały w jego łonie swych przedstawicieli. W Austryi wprawdzie mniéj uczyniono w duchu kongresu niż w innych państwach np. w Rossyi i Prusiech, lecz w każdym razie uznano urzędownie naukę języka włoskiego w krajach włoskich za obowiązującą, zaś polskiego i czeskiego za przedmiot dowolny w uniwersytetach lwowskim i pragskim. Wojna o wyswobodzenie Grecyi, pod hasłem narodowości prowadzona, dodała sprawie nowego impulsu, który jednak niknął w obec wypadków europejskich, spółczesnych rewolucyi lipcowéj we Francyi. Madziarowie z żywém współczuciem spoglądali na „pierwszy krwawy chrzest“ idei narodo-

wości w Europie i z większą niż kiedykolwiek energią zabrali się do utrwalenia swych praw autonomicznych.

Sejm r. 1832—1836 znacznie posunął naprzód sprawę narodowości madziarskiéj. Uznano madziarski tekst praw za autentyczny w miejsce dawnego łacińskiego, a w miejscowościach gdzie kazania odbywały się po madziarsku, nakazano w tym języku spisywać metryki. Sejm r. 1839—1840 poszedł znacznie daléj; we wszystkich zarządach centralnych duchownych i świeckich, w stosunkach z koroną i wszędzie do metryk wprowadzono język madziarski jako jedynie urzędowy. Postanowienia te wywołały opór Słowian węgierskich i były wstępem do trzydziestoletniéj narodowéj walki, która miała i krwawe epizody.

W obec téj walki rząd wiedeński pozostał wierny swéj polityce od czasu Józefa II i Leopolda II względem Węgier przyjętéj, tj. popieraniu niemadziarskich żywiołów narodowych. Reskrypt cesarski z r. 1840 poparł żądanie Słowian, występując w obronie urzędowéj łaciny. Lecz Madziarowie zerwali już z dawną swoją legalną drogą postępowania i, oparłszy się na nowéj idei narodowości, pozostawili reskrypt bez uwzględnienia.

Sejm z r. 1843—1844 nie zważając na protesty Słowian poszedł jeszcze daléj; wszystkie reskrypty królewskie i postanowienia węgierskiéj kancelaryi nadwornéj miały odtąd po madziarsku być redagowane, również jak prawa i sankcye królewskie; na sejmie rozprawy prowadzić musiano po madziarsku. Tylko Kroaci otrzymali w tym ostatnim względzie ulgę na sześć lat. Również w szkołach język madziarski uznany został za wykładowy.

Wśród takich okoliczności zbliżały się krwawe lata 1846—1848, które nietylko w Austryi, ale i w całych Niemczech sprawę narodowości na porządek dzienny wyprowadziły. Protesty Słowian węgierskich przeciwko madziaryzmowi, rozbudziły z biernéj uległości germanizowanych współbraci. Pierwsi ocknęli się Czesi, lecz w krótce cała uwaga zwróciła się ku krwawym wypadkom galicyjskim, które nie pozostały bez wpływu nawet na same Niemcy. W Marcu r. 1848 zgromadzenie „51 mężów niemieckich“ w Heidelbergu wygłosiło pierwsze zasadę narodowéj jedności Niemiec i było hasłem burzy od Renu do Dunaju. Ideę wszechwładztwa ludu wyniesioną przez rewolucyą francuzką, a państwo głównie mającą na widoku, zastąpił ruch niemiecki ideą narodowości, niezależną od granic państwowych. Wprawdzie głośne manifestowanie jéj i publiczny protest przeciwko uciemiężaniu narodowości nie przeszkodziły Niemcom powołać do sejmu niemieckiego Czechów i Polaków poznańskich, oraz żądać wcielenia ich krajów do Niemiec, lecz idea pozostała

ideą, a jéj niekonsekwentne stosowanie, siły jéj tylko dodało. Bo wnet wystąpił Polacky z otwartym listem do „mężów niemieckich“ i zwołał na dzień 31 Maja do Pragi, nieudatny co prawda zjazd wszechsłowiański, który, aby dojść do ogólnego zrozumienia się, musiał rozprawy swe odbywać w języku niemieckim!

Tymczasem rozliczne ludy Austryi głośno wystąpiły ze swemi prawami; Wenecyanie posunęli się nawet tak daleko, że zażądali w imię narodowości zupełnego oddzielenia od monarchii. „Lud“ jednocześnie w d. 13 Marca zażądał wolności pracy i konstytucyi. Rząd o ile mógł czynił ustępstwa i poraz pierwszy cofnął w krajach słowiańskich swą germanizacyjną politykę, stanowiąc równouprawnienie języka czeskiego i niemieckiego w szkołach czeskich. Na podstawie tego posypały się petycye różnych narodków, jak Słowaków, Serbów i Rumunów, o których istnieniu nic nawet nie wiedziała Europa zachodnia. W d. 10 Lipca otworzony został sejm w celu uchwalenia konstytucyi państwa, który stał się areną narodowych a głównie językowych walk.

W obec spółczesnych wypadków politycznych, w obec głośnéj manifestacyi narodowéj w Niemczech i powstania węgierskiego, rząd nie mógł wystąpić otwarcie przeciwko tendencyom ludów składających Austryą. Z całą więc gorliwością chwycono się dawniéj już praktykowanéj polityki, która pod hasłem narodowości godziła na nią tém silniéj, że własną bronią zwalczała jéj obrońców. Wygłaszając przy każdéj sposobności zasadę „równouprawnienia narodowości“ zaczęto pod jéj egidą popiérać, a nawet „stwarzać“ narodowości dotąd nieznane, i przez nie zwalczać dawne „historyczne,“ w dziejowéj walce cywilizacyjnéj wytworzone. Wiadomo w jaki sposób broni téj używano przeciwko uzbrojonym Madziarom; jak umiano pokojowo korzystać z niéj w celach germanizacyjnych, dowiodły sprawy galicyjskie, głównie za czasów ministeryum Stadiona. We Wrześniu r. 1848 ministeryum Doblhofa wprowadziło w Galicyi język polski jako wykładowy w miejsce niemieckiego. W Grudniu tegoż roku ministeryum Szwarcenberga w imię równouprawnienia narodowości i z uwagi, że ludność wschodniéj Galicyi przeważnie złożona jest z Rusinów, język polski w téj części kraju cofnęła i zaprowadziła *niemiecki* do czasu kiedy rusiński okaże się zdatnym do wykładu w szkołach średnich i wyższych tj. kiedy znajdzie się odpowiednia liczba wykładających i uczniów tym językiem władających oraz podręczników szkolnych. Wykłady więc niemieckie miały przygotować rusińskich uczniów, rusińskich nauczycieli i rusińskie podręczniki! Posłowie polscy: Smolka, Kraiński, hr. Borkowski i Dylewski oraz czeski Rygier wystąpili ostro przeciwko téj polityce

rządu. Słusznie twierdził Borkowski, że obawiać się należy, aby pod hasłem narodowości nie ogłoszono krucyat przeciwko wolności, tak jak kiedyś zaspakajano „w imię Boga wieczny głód t. zw. św. inkwizycyi.“ Dylewski uderzał na dowolne oznaczanie okręgów celem tworzenia sztucznéj większości i wyrażał obawę, że wkrótce każda osada będzie według większości jéj mieszkańców do innéj narodowości a zatém i praw narodowych zaliczona. Zkąd rząd ma wiadomości,—pytał, że Rusini wolą język niemiecki niż polski? Dla czego przez lat 76 rząd nie wiedział o Rusinach, gdy ci wraz Polakami dzielili równouprawnienie niewoli?

W d. 8 Marca 1849 sejm konstytucyjny został rozwiązany, jako celowi swojemu nie odpowiadający. Wydana w d. 4 Marca tegoż roku konstytucya, rozpoczyna w kwestyi narodowości reakcyą, która wkrótce przeszła w zupełną tendencyą germanizacyjną. Wprawdzie nie zerwano odrazu z prawami narodowości i art. 5 ustawy głosił, że „wszystkie plemiona (Volksstämme) są równouprawnione, i każde ma nienaruszalne prawo do zachowania i uprawiania swéj narodowości i języka“. Lecz nieokreślone sformułowanie tego artykułu i niemożliwość zastosowania go należycie w praktyce, dowodzą, że chodziło tu tylko o zamydlenie oczu. Pomimo więc, że ustawa wydrukowana została aż w 10 językach (niemieckim, czeskim, słowackim, polskim, rusińskim, rumuńskim, włoskim, kroackim, madziarskim i serbskim), niemczyzna zaczęła coraz bardziéj zyskiwać przewagę wbrew ogłoszonemu równouprawnieniu. Haynau w Węgrzech a Bach w krajach słowiańskich zaczęli po swojemu komentować i stosować ideę równouprawnienia plemion, robiąc z niéj przy pomocy niemieckich urzędników narzędzie dla celów politycznych. Mówiono wprawdzie w reskryptach ministeryalnych o art. 5 konstytucyi, o obowiązkowéj znajomości miejscowych języków przez urzędników, lecz były to tylko słowa bez znaczenia praktycznego, które zresztą wyraźnie dowodziły, że władza pragnie rządzić po prowincyach przez obcych, respective niemieckich urzędników. Minister oświaty Thun, sprawiedliwości Schmerling, gorliwie ze swéj strony pracowali nad germanizacyą, nie wyłączając Węgier i krajów włoskich.

Nareszcie, nawet konstytucya z d. 4 Marca r. 1849 jako nieodpowiednia podstawom zasadniczym państwa ustąpiła miejsce statutowi organicznemu z d. 31 Grudnia r. 1851, który już nie wspomina nic o narodowościach, plemionach i ich równouprawnieniu. Język niemiecki zapanował wszechwładnie w całéj monarchii, w szkole i urzędzie; w r. 1853 wyrzucono język czeski ze szkół, a w 1854 zgermanizowano uniwersytet Jagieloński. I znów trzeba było dopiéro groźne-

go z zewnątrz r. 1859, żeby sprawa pokrzywdzonych narodowości na nowo na stół wyprowadzona została.

Od r. 1860 przybywa idei narodowości w Austryi nowy, silny sprzymierzeniec, parlamentaryzm. Zgromadzona w r. 1860 „wzmocniona rada państwa“ była wstępem do sejmu austryackiego. Odrazu też w niéj wystąpiły na jaw interesa narodowe i zdania w tym względzie rozpadły się na trzy kierunki: państwowy, narodowy i plemienny (etnologiczny). Pierwszy, przez ministeryum popiérany, głosował w imię jedności państwa za niemczyzną; drugi, reprezentowany przez Węgrów i Polaków, windykował prawa dla narodowości historycznie wytworzonych; trzeci, w miarę potrzeby protegowany przez rząd, domagał się równouprawnienia wszystkich najdrobniejszych nawet plemion, tj. zasady absolutnie w praktyce do zastosowania niemożliwéj. W obec tego zgodnie z naturą rzeczy, kierunek drugi zupełny odniósł tryumf i wnet zyskał sankcyą legalną w reskryptach cesarkich do hr. Vay w przedmiocie języka urzędowego w Węgrzech i do hr. Gołuchowskiego co do języka wykładowego w Galicyi. W nich wyraźnie język węgierski i polski uznane zostały za główne języki krajowe odnośnych prowincyj. Co do Węgier nawet wprost zastrzeżono prawa dla innych języków jedynie w sprawach dotyczących interesów gminnych. Jednocześnie dyplom z d. 20 Października 1860 zagwarantował „królestwom i krajom“ autonomią prawodawczą i administracyjną.

Przeznaczenie jednak nie chciało, aby tak rozpoczęty kierunek doszedł do celu bez dalszych przeszkód i walk, i już w parę miesięcy po wydaniu wzmiankowanego dyplomu rząd znów cofał się z obronnéj w nim pozycyi. Utworzone w Grudniu r. 1860 ministeryum Schmerlinga rozpoczęło raz jeszcze „pracę Danaid“ około germanizacyi Austryi, pod zużytemi hasłami „wiedzy i cywilizacyi“ oraz „równouprawnia narodowości.“ Za natchnieniem ministeryum wydany patent z d. 26 Lutego r. 1861 odstąpił od zasad dyplomu z r. 1860, dążąc do ograniczenia autonomii prowincyonalnéj na korzyść centralnéj państwowéj. Lecz napróżno! system Schmerlinga po dyplomie r. 1860 za wielkim już był anachronizmem. Bo czyż było możliwe udanie się systematu, który w czasach absolutnéj władzy w życie wejść nie mógł, w obec parlamentaryzmu, który na każdym kroku stawiał opór dążnościom ministra, każde najtajniejsze postanowienie wielkim dzwonem po świecie rozgłaszał i każdy plan paraliżował? To téż zwłaszcza w Kwietniu r. 1861 rada państwa otworzyła szerokie pole do ciekawych walk o prawa narodowości i języków, w których wszystkie narodowości Austryi żywy wzięły udział. Ma-

dziarowie nawet pomimo dwukrotnego wezwania wcale rady nie obesłali.

Nieudatna polityka Schmerlinga ciągnęła się do r. 1865. Następca jego Belcredi, wróg germanizacyi, rozpoczął od zniesienia patentu r. 1861 a nowy patent z d. 20 Września r. 1865 wyraźnie potępił jego zasady. Wnet prowincye składające Austryą rozpoczęły dzieło narodowego rozwoju „Sejm galicyjski z r. 1865 zagajony został po polsku i język ten uznano za urzędowy w debatach. Głos w tym przedmiocie Aleksandra hr. Dunina Borkowskiego uważa Dr. Gumplowicz obok pism Eötvösa za najlepszą rzecz, jaka w kwestyi narodowości publicznie wypowiedziana została. Mówca, uznając prawa każdego języka, wyróżniał język krajowy od ludowego i twierdził, że pole dla kształcenia się przedstawia szkoła i literatura, nie zaś rozprawy sejmowe.

Powołany w skutek wypadków r. 1866 do kierowania sprawami państwa baron Beust poszedł dalej drogą swego poprzednika, drogą, która zresztą po usunięciu Austryi ze związku niemieckiego, jedynie była możliwa. Węgry uzyskały napowrót niezależność a Galicya zupełną autonomią z pozostawieniem języka niemieckiego jedynie jako przedmiotu obowiązkowego w szkołach. W obec tego zwołana w r. 1867 rada państwa nie mogła nawet myśléć o powrocie do dawnych systematów i niemiecka jéj większość zmuszona została bronić jedynie powagi niemczyzny w krajach dziedzicznych, głównie zaś w Czechach przeciwko słowiańskim dążnościom.

Od r. 1867 rozpoczyna się nowa faza bytu państwowego monarchii austryackiéj, faza dualizmu Austryi i Węgier. Obie te samoistne części połączone pod jedném berłem ukształtowały swój byt prawny od siebie niezależnie. Ztąd w sprawie narodowości a raczéj dotyczącego jéj prawodastwa zachodzą tam różnice. W Austryi ustawa zasadnicza z d. 21 Grudnia r. 1867 o ogólnych prawach obywatelów, zamieszcza w art. 19 zasadę równouprawnienia plemion oraz zabezpieczenie równouprawnienia ich języków w szkole, urzędzie i życiu publiczném. Był to jednak tylko przepis ogólny, nie nadający się do bezpośredniego zastosowania w praktyce i mogący jedynie służyć za podstawę dalszym, ściśle określonym przepisom. Tak się téż stało w istocie. Dla wprowadzenia w życie praw poręczonych w artykule 19 wydać musiano szereg szczegółowych postanowień, niektóre z nich nawet wyprzedziły ustawę z r. 1867 np. o języku polskim w Galicyi jako urzędowym. Lecz praktyka dowiodła wymownie, jak czczym i nielogicznym frazesem było w ogóle zabezpieczenie „równouprawnienia wszystkich narodowości.“ Pomimo niego pozostała i pozostać musiała rozmaitość praw różnych narodo-

wości, wchodzących w skład Austryi. I tak w Galicyi stanowczo język polski wywalczył sobie stanowisko urzędowego języka krajowego. Po r. 1870 tylko w stosunkach zewnętrznych oraz niektórych biurowych sprawach, np. pocztowych, telegrafów itp. pozostał język niemiecki. Natomiast w dziedzicznych krajach austryackich (Erbländer) niemiecki język utrzymał się jako panujący krajowy, a innym jak słoweński w Styryi, Krainie i Karyntyi szczupłe tylko przyznano prawa. W Czechach tylko czeski stanął na równi z niemieckim jako drugi język krajowy. W okręgu Tryjesckim za jedynie urzędowy uznano język włoski.

Podobnież ułożyły się rzeczy w Węgrzech. Prawo o narodowościach z r. 1868 nie poprzestało, jak czynił to art. 19 ustawy austryackiéj, na wygłoszeniu ogólnéj tylko zasady, lecz podało od razu szczegółowe przepisy. Wspomina wprawdzie o równouprawnieniu, lecz obok tego oznajmia, że jest jeden naród węgierski i jeden państwowy język madziarski. Jest on językiem sejmu, prawodawstwa, korespondencyi wewnętrznej urzędów, wykładowym w uniwersytecie, obowiązkowym do prowadzenia protokółów sądowych i postanowień sądu apelacyjnego. Obok tego jednak, prawa innych języków na tyle są zabezpieczone, że nikt nie jest krępowanym w swych sprawach nieznajomością języka państwowego. Gminy same wybierają sobie język urzędowy, lecz każdy może wnosić żądania, wymagać odpowiedzi w swoim własnym języku. Nadto jeżeli 1/5 członków gminy mówi językiem innym, to protokóły i w tym języku obok urzędowego prowadzone być winny. Podobnież protokóły sądowe mają być sporządzone obok urzędowego w języku 1/5 części ludności okręgu. Podania do sądów mogą być czynione w języku rządowym gminy podającego, a wszelkie ustne przemówienia do wszystkich bez wyjątku władz w języku ojczystym każdego interesanta. Wyjątkowe nadto prawa służą Kroacyi, Slawonii i Dalmacyi, gdzie język słowiański jest jedynie urzędowym a nawet przedstawiciele tych krajów mają prawo w sejmie węgierskim używać języka kroackiego.

Tym sposobem po długich walkach i zmiennych ich kolejach nastała z rokiem 1867 równowaga w sprawach narodowości i języków w Austro-Węgrzech. Wśród polyglotyzmu ludności dzierżaw habsburskich wyróżnić obecnie można trzy kategorye języków: państwowe, krajowe i ludowe, (Staats, Landes und Volkssprachen). *Państwowym* do r. 1867 był niemiecki; od tego czasu wystąpił obok niego madziarski, który wszakże pomimo usiłowań Węgrów musi tu i owdzie ustąpić przewagi niemieckiemu i jest zatém drugim językiem państwowym. Język państwowy używany jest jako wyłączny w najwyższych aktach państwowych, w parlamentach, radach mini-

strów i najwyższych jurysdykcyach. *Języki krajowe* są urzędowémi w swéj prowincyi, a więc na sejmach, w prawodawstwie prowincyonalném oraz we wszystkich wyższych magistraturach sądowych i administracyjnych oraz szkołach. Takiemi są polski w Galicyi i kroacki w Kroacyi; obok nich jako *drugi język krajowy* występuje czeski, a w Tyrolu włoski. Do *języków ludowych* należą; słoweński w Styryi, Krainie i Karyntyi, morawski w Morawii, polski na Szlązku, rusiński w Galicyi, a słowacki, rusiński, rumuński i serbski w Węgrzech. Języki te występują w gminach, niższych sądach i szkołach ludowych tam, gdzie ludność niemi mówiąca przeważa. W krajach, gdzie język niemiecki jest zarazem krajowym, jest też i obowiązkowym w elementarnych szkołach słowiańskich podczas gdy w szkołach niemieckich, ludowy jest dowolny. W Galicyi rusińskiemu, zwanemu „drugim krajowym,“ nadał sejm galicyjski i rada szkolna nawet w szkołach średnich znaczny, więcéj niż dostateczny zakres.

Cały ten historyczny przebieg sprawy narodowości w Austryi, stwierdził, według zdania p. Gumplowicza, jednę nadzwyczaj ważną prawdę społeczną. Okazało się, że jak się to dzieje zawsze, wszelkie deklamacye o równouprawnieniu i idealnie wymarzone prawa uledz musiały sile faktów i okoliczności życiowych. Państwo jako związek na sile oparty musi pod swą władzę podciągać wszelkie składające je żywioły, musi jedne poddawać zwierzchności innych, a równouprawnienie ich jest wprost przeciwne jego naturze (1). W tym zaś hierarchicznym ustroju żywiołów społecznych (jak w tym razie języków) miejsce jakie każdy z nich zajmie zależy od jego żywotności i od znaczenia społecznego klas nim mówiących. Jeżeli 10 płynów mających różny ciężar gatunkowy wlejemy do jednego naczynia, to jeżeli te nie połączą się w jeden płyn, w takim razie ułożą się warstwami według swego ciężaru, i żadna siła nie będzie w stanie sprawić, żeby cięższy wypłynął po nad lżejszy. Wstrząsnąwszy naczyniem i mącąc płyny, możemy wprawdzie chwilowo zmienić dawniejsze ich położenie wzajemne, wynikające z natury tych cieczy, byleśmy jednak pozostawili naczynie w spokoju, wnet każdy płyn wróci na właściwe sobie miejsce. Zjawisko to uwydatniło się z całą dokładnością w sprawie narodowości i języków w Austryi. Ani gwałtowne gnębienie tego co miało zapas odpowiedni moralnéj siły, ani sztuczne dźwiganie do góry pierwiastków, podrzędnych z natury swojéj, nie ostało się. Gdy minęły dni burzliwe, gdy ustało

---

(1) Trzy równouprawnione języki w Szwajcaryi nie popiérają, jak się nam zdaje, postawionéj przez p. Gumplowicza zasady (Przyp. red.).

sztuczne oddziaływanie na przyrodzony układ żywiołów społecznych, każdy otrzymał prawa odpowiadające jego sile, i ten proces ciągnie się i daléj. Tak np. roszczenia Madziarów do absolutnéj równości ich języka z niemieckim nie mogły się utrzymać, i obecnie Węgry używają już w stosunkach z Galicyą języka niemieckiego. Własny ich interes, bo wymaganie prawidłowego biegu spraw publicznych zmusiły ich do odstąpienia w tym razie od madziarskiego, który nie mógł mieć takiego rozpowszechnienia w Galicyi jak niemiecki, stanowiący wszędzie przedmiot ogólnego wykształcenia. Zacięta walka różnych żywiołów, państwo austryackie stanowiących, o prawa języków, obecnie uspokoiła się, lecz za ściśle wiąże się ona ze wszystkiemi uczuciami i dążeniami ludzi, aby miała kiedykolwiek spocząć zupełnie. Zadaniem rozumnéj i liberalnéj władzy państwowéj jest utrzymywanie jéj w legalnych granicach a zasadą, którą w tym względzie kierować się winno, jest: „każdéj rzeczywiście moralnéj „sile, przyznać odpowiednie jéj prawo."

II.

Nie ulega wątpliwości, że wszelkie ogólne pojęcia powstać mogą jedynie drogą abstrakcyi ze zjawisk życiowych. W skutek tego wszelka idea może wystąpić w teoryi wtedy dopiéro, gdy już ujawniła się w faktach. Dla tego téż i teorya narodowości nie mogła wytworzyć się wcześniéj jak w początkach bieżącego stulecia. Wojna o wyswobodzenie Niemiec, w drugim dziesiątku lat wieku bieżącego przeciwko zdobywcy francuzkiemu podjęta, rozbudziła w Niemcach poczucie swéj narodowości i jednocześnie wywołała w odezwach Fichtego „do narodu niemieckiego", pierwsze dążenie do scharakteryzowania jéj teoretycznie. W mowach swych *Fichte* po raz pierwszy zwrócił uwagę na dwa pojęcia, dotąd z sobą łączone tj. *narodu* (Nation) i *ludu* (Volk) tj. ogółu ludzi ulegających jednéj władzy państwowéj (1). To rozróżnienie dwu pojęć jest jedynym pozytywnym rezultatem mów Fichtego w teoryi narodowości. Inne jego poglądy są bezwładne, a mianowicie, że narodowość jest dlań czémś co istniało od wieków, z saméj natury, co nigdy swego historycznego nie

---

(1) Lubo u nas wyraz *lud* używany bywa zwykle w znaczeniu klasy niższéj (np. Lud i jego zwyczaje), a czasem w znaczeniu narodu (np. ludy słowiańskie), użyć go w tekście musiałem w znaczeniu określoném przez Fichtego, z powodu braku innego wyrazu, témbardziéj, że odpowiada w znaczeniu niemieckiemu *Volk*, który téż różne ma znaczenie.

miało początku. Pochodzenie wspólne i język czyli jedna z cech narodowości wypełniły u niego całe pojęcie. Po za te jednakie skromne teoretyczne dane co do narodowości nie posunięto się aż do r. 1848, a nawet rozróżnienie narodu od ludu nie weszło należycie do teoryi. Z drugiéj strony nie przestano uważać pochodzenia wspólnego i języka za konieczne cechy narodowości.

Wypadki r. 1848 zwróciły baczniejszą uwagę na narodowość, która dotąd prawie wyłącznie w stosunku do Niemców rozpatrywana była. Przedewszystkiém zaczęto odrzucać wspólne pochodzenie jako konieczny warunek narodowości, przez co zrobiono bardzo ważny krok naprzód, bo odróżniono plemienność od narodowości tj. pojęcie etnograficzne od historycznego, cywilizacyjnego. Węgierski publicysta *Eötvös* poszedł daléj, twierdząc, że nawet język nie jest tak niezbędnie związany z narodowością. „Tak jak jednostka, twierdzi on, posiada różne siły i zdolności, które się w miarę okoliczności rozmaicie rozwijają, tak téż rzecz się ma i z narodami i tę różność nazywamy narodowością.“

Teologiczny filozof *Stahl* wyróżnia trzy rodzaje narodowości: naturalną, historyczną i prawną. Pierwsza oparta na pochodzeniu, na krwi, jest tém samém co plemienność, druga odpowiada właściwie narodowości, trzeci jest ludem tj. zbiorem poddanych pewnéj władzy bez względu na ich pochodzenie i historyczną łączność. Stahl uderza na tendencye dwu pierwszych rodzajów narodowości, do narzucania praw trzeciéj na władzy opartéj, i twierdzi, że jest ona nieprawna, jako naruszająca prawa dobrze nabyte, lecz zarazem uważa związki plemienne i historyczne za podstawę państwa i żąda stanowczo, ażeby te różnice były należycie uwzględnione, aby szanowano indywidualność każdego.

W osobie Włocha *Manciniego* (r. 1851) zyskała idea narodowości nowego apostoła, głoszącego uznanie jéj za podstawę stosunków międzynarodowych. Teorye polityczne Manciniego krytyki nie wytrzymują. Zdanie, że ludzkość dzieli się na narody, i że podział ten naturalny, wprowadzony do polityki zabezpieczy wiekuisty pokój na ziemi, mogło zachwycać słuchaczów jego uniwersyteckich, ale nie miało naukowéj wartości. Podział polityczny według narodowości otworzyłby tylko nowe pole do walk o zaliczenie do téj lub owéj narodowości i o ich granice. Co się tyczé teoretycznéj strony i definicyi narodowości, to Mancini twierdzi, że naród równie jak rodzina stanowi odwieczną formę uspołecznienia, że składa się na nią połączenie kilku cech, a temi są: kraj, plemienność (rasa), język, zwyczaje, historya, prawo, i religia. Lecz sam przyznaje, że obecność tych wszystkich nawet najważniejszego—języka nie jest konieczna, że

wszystkie one same przez się są dopiéro surowym materyałem, który potrzebuje ożywczego ducha, a ten stanowi *poczucie narodowości*, któ-re jest dziełem stopniowego, tajemnego *procesu asymilacyjnego*. Wy-kazanie tego poczucia i asymilacyi duchowéj jednostek stanowi wła-ściwą teoretyczną zasługę Manciniego, która jednak nie została należycie dostrzeżoną w obec jaskrawych tendencyj politycznych.

Późniejsi autorowie niemieccy niewiele przyczynili się do wy-jaśnienia pojęcia narodowości a nawet wprost błędne głosili teorye. Kierowały niemi często względy praktyczne, które nawet nieraz były bez żadnego związku z teoretycznym ich wywodem. Tak *Morgen-stern* żąda zupełnego równouprawnienia języków w państwie i do-puszcza przymus szkolny do języka państwowego o tyle tylko, aby każdy obowiązany był go umiéć w szkołach wyższych. *Rösler* wpada w ostateczność w przeciwnym kierunku: uderza on na nielogiczność podziału politycznego według języków. Niektóre plemiona mając swój język nie są w stanie tworzyć osobnych państw, i naród pa-nujący ma prawo, jeżeli to do jego zachowania jest potrzebne, gwał-tem inne wynaradawiać. Zresztą dodaje on, mówiąc o Austryi, że takie narodowości jak włoska, która jest za silna i za liczna, aby ją można było wynarodowić, należy z państwa wyłączyć nie dlatego, żeby wynarodowienie jéj było bezprawiem, ale że jest ono niewyko-nalne. Znane powagi w dziedzinie nauk politycznych—*Bluntschli* i *Mohl* nie przyczynili się wcale do posunięcia sprawy naprzód.

Dopiéro *Rüdiger* (w r. 1865) teoryi narodowości ważne oddał usługi. Zwraca on uwagę, że to wszystko, co kiedyś jako narodo-wość ludy rozdzielało, traci z biegiem czasu swoję siłę rozdzielającą. Stosunki handlowe i umysłowe, podróże, uczenie się obcych języ-ków itd. znoszą wciąż różnice narodowe. Posuwa się nawet do przypuszczenia, że kiedyś zginą narody w oceanie ludzkości. Zwal-cza daléj stanowczo związek między pochodzeniem i narodowością, a po nad język wynosi inny jéj czynnik, tj. należenie do jednego państwa. Twierdzi daléj, że pojęcie narodowości jest zmienne, że składają się na nią raz te, drugi raz inne czynniki np. u Niemców język, obyczaj, wiedza i sztuka, u Turków—wiara, obyczaj i państwo. Zwraca nareszcie uwagę na proces przemiany, jakiemu z biegiem czasu ulegają narodowości, przyczém zaznacza, że tam, gdzie szlachta jest obcego pochodzenia, przyjmuje ona narodowość miejscowéj lu-dności. Takim z różnych żywiołów powstałym narodowościom przy-pisuje Rüdiger największą zdolność wzmagania się w siły. Nie zbłą-dzimy podobno, przypuszczając, że to ostatnie zdanie jest rozmyślną apoteozą państwa pruskiego, które poczęło się na piaskach brandebur-

skich, zaludnionych pierwotnie przez Słowian, których podbili i wynarodowili *raubritterowie* niemieccy.

Po r. 1866 sprawa narodowości dostała się w nowe ręce, tj. w ręce statystyków. Wprawdzie już od r. 1840 przy spisach ludności zwracano uwagę na narodowość, ale czyniono to bez naukowego planu i głównie w celach politycznych. Dla tego też wystąpiono z różnych stron z żądaniami o wykreślenie téj rubryki ze spisów ludności. Naukowo sprawę statystycznego znaczenia narodowości podniósł pierwszy Ryszard *Böckh.* Uznał on język rodzinny za cechę narodowości, przyczém słusznie zaznaczył jak powszechnym i naturalnym faktem jest przywiązanie do ojczystego języka, zwłaszcza w obec przeciwstawienia go do innego, obcego. Lecz nie zwrócił uwagi, że przywiązanie to ma swe granice, że historya liczne przedstawia dowody zmiany języka nietylko przez jednostki, ale i całe grupy społeczne i to głównie wtedy, gdy na zmianę tę żaden nacisk zewnętrzny nie jest wywierany, jak to miało np. miejsce z niemiecką ludnością miejską w Polsce.

W ogóle głównym błędem Böckha (zdaniem dra G.) jest z jednéj strony nierozróżnianie plemienia (pojęcia etnologicznego) od narodu (historycznego i cywilizacyjnego), drugiéj zaś—krańcowy idealizm i brak objektywizmu. W skutek tego domaga się on wbrew wszelkim danym historycznym oraz naturze państwa, aby każda jednostka zawsze i wszędzie znajdowała opiekę swego języka, podczas gdy logicznie biorąc państwo jedynie obszerniejsze grupy i to stale w pewném terytoryum osiadłe uwzględniać może. Domagając się *równouprawnienia* wszystkich języków, sam zmuszony jest uznać potrzebę języka państwowego, który jednakże powinien być tylko „pierwszym między równemi"; co oczywiście jest sprzecznością samą w sobie, bo co jest pierwsze między innemi, to nie jest im równe. Idealizm i patryotyzm niemiecki do tego stopnia zasłania mu oczy na prawdę dziejową, że twierdzi naiwnie, iż obrona praw wszelkiego najmniejszego nawet plemienia i jego języka „stanowi zadanie narodu niemieckiego"!! narodu, któremu przecież nie ma równego w dziele rozszerzania swéj narodowości kosztem innych. Słusznie téż zauważył dr. G., że idealne te wskazówki żadnego wpływu praktycznego na Niemców nie wywrą, że i nadal będą oni assymilować drobne, małoznaczące plemiona (np. Kaszubów, Wendów) a z drugiéj strony całe masy wychodźców niemieckich w obcych krajach, wśród narodowości historycznych zapominać będą swego ojczystego języka. Największe nawet poszanowanie dla języka każdéj jednostki nic tu nie pomoże, bo faktem jest, że podobna assymilacya tém jest łatwiejsza, im mniéj o nią czynią się starania.

W każdym razie praca Böckha zwróciła baczniejszą uwagę statystyków na kwestyą narodowości i wywołała rozprawy w tym przedmiocie na międzynarodowym kongresie statystycznym w Petersburgu w r. 1874. W pamiętniku kongresu tego znajdują się trzy memoryały dotyczące narodowości. Wszystkie one doszły do wniosku, w mniéj lub więcéj określonéj formie, że narodowość, jako duchowy moment uspołecznienia, jako związek zależny od wewnętrznéj świadomości i przekonania jednostek nie da się ująć w statystyczne cyfry, dla braku zewnętrznych cech, pod które możnaby ją było przy obliczaniu podciągnąć.

Pierwszy z referentów Adolf *Ficker* pojął narodowość w znaczeniu plemienności, lecz pomimo to wyznaje, że trudno jest znaléźć dla niéj dokładną wyróżniającą cechę. Ani należenie do jednego państwa, ani miejsce urodzenia lub zamieszkania, ani cechy fizyczne, zwyczaje i obyczaje, ani wreszcie kierunek działalności ekonomicznéj lub duchowéj, formy polityczne, prawne lub religijne nie stanowią nic o plemienném pochodzeniu danego indywiduum. Pozostaje więc tylko język, lecz i ten często zawodzi, bo nawet język używany w stosunkach domowych ulega nieraz zmianie pod wpływem prądów politycznych, co ma szczególniéj miejsce w rodzinach goniących za chlebem urzędników. W skutek tego kongres Petersburski wykreślił zupełnie rubrykę narodowości, zastąpiwszy ją inną, zatytułowaną: „język, którym zwykle dana osoba mówi.“ Lecz w każdym razie, jak zauważył słusznie dr. G., rubryka ta może mieć tylko językowe znaczenie i nigdy wniosków politycznych z niéj wyciągać nie można, tem bardziéj, że w polityce nie chodzi o narodowość jednostek, ale mas; te zaś potrafią się uwydatnić bez statystyki.

Drugi referent *Glatter* był za zupełném zrzeczeniem się badań statystycznych nad narodowością w znaczeniu polityczném, a radził zwrócić raczéj uwagę na różnice plemienne, które w niższéj masie narodu łatwo jeszcze w zewnętrznych swych cechach uchwycić się dają. Trzeci, Węgier *Keleti*, zwolennik teoryi Eötvösa, ciekawy jest z tego względu, że podał nową, godną uwagi definicyą narodowości. Jest ona według niego „niczém inném, jak uczuciem podobném do religijnego, na które wpływają: stan państwowy, urodzenie, pochodzenie i charakter plemienny i które dla swego ujawnienia używa języka, tak jak religija dogmatów i ceremonii.“ Określenie to czyni narodowość za bardzo zależną od dowolności jednostek i dla tego modyfikuje ją autor, twierdząc, że tak samo jak religia, tak i narodowość prawie zawsze jest dziedziczną i dla tego język może do pewnego stopnia być jéj znamieniem.

Ostatni wreszcie autor, który się kwestyi narodowości poświęcił, Zygfryd *Brie* (1876) zwrócił uwagę na ogromny wpływ, jaki byt państwowy obok innych wspólnych warunków istnienia na kształtowanie się narodowości wywiera. Jako przykład przytacza z jednéj strony Anglików, północnych Amerykanów, którzy pomimo jednego języka wyróżnili się przez byt państwowy w odrębne narodowości, z drugiéj zaś na Szwajcarów, którzy stanowią niezaprzeczenie osobną narodowość pomimo, że mówią trzema językami.

Po takiém, jak już z powyższego streszczenia widać, znakomitém przygotowaniu materyału, przystępuje dr. Gumplowicz do wyprowadzenia ostatecznych wniosków i uwag co do natury narodowości.

Historya przedstawia nam wybitnie epokę, w któréj nie było państw ani narodów, a któréj treść wypełniały różnorodne plemiona, dążące dopiéro do ustalenia swego bytu. Plemiona te rozpoczęły walkę; słabsze uległy możniejszym a z tego stosunku powstało życie państwowe, powstało państwo, które następnie dąży do wewnętrznego uorganizowania się. W téj pracy wewnętrznéj uderza jedna okoliczność, t. j. ciągły i stopniowy wzrost duchowéj wspólności między wrogiemi sobie niegdyś plemionami, wspólności, która uwydatnia się przedewszystkiém w wytworzeniu wspólnego języka. Poczucie téj wspólności obudza uczucie, które jak każde inne, łączące ludzi w koło społeczne, jest samo przez się podniosłe i uszlachetniające. Jest to uczucie narodowości, które „jak w czarnoksięzkiém zwierciadle całą gorzką prawdę historyi w świetnych barwach poezyi odbija i często wynagradza ludziom za cierpką rzeczywistość, cudowną poezyą.“ Jednocześnie z dojściem tego uczucia do świadomości wyrodziło się przywiązanie do narodowego języka.

Lecz uczucie to nie od razu powstało; ażeby idea narodowości mogła przejść w życie, potrzeba było z jednéj strony wysokiego już stopnia poczucia duchowéj wspólności, z drugiéj zaś jakiéjś zewnętrznéj, przeciwnéj siły, któraby je drzémiące spokojnie obudziła i doprowadziła do świadomości. W takiém położeniu znalazły się dwa wielkie narody środkowéj i wschodniéj Europy w końcu zeszłego i początku bieżącego wieku i one téż pierwsze wprowadziły ideę narodowości na arenę polityczną. Lecz podjęta przez nie inicyatywa wnet doprowadzona została przez innych do absurdum. Plemiona pierwotne, które przez całe 2.000 lat dziejowego dramatu Europy nigdy wybitniejszéj nie odegrały roli, wśród których nie mogło być mowy o jakiéjkolwiek duchowéj wspólności, bo łączyła je jedynie wspólność antropologiczna i etnologiczna, takie plemiona wystąpiły z domaganiem się praw, które inne ludy nabyły drogą długiéj, twór-

czéj pracy dziejowéj. Zażądały one dla siebie państwowo-politycznych praw, które nikomu darmo się nie dostają, a także równouprawnienia dla swych języków, będących ze stanowiska historycznego rozwoju „szczebiotaniem dziecięcém,“ języków, w których nie uwydatnił się jeszcze duch ludzki w swych wiekopomnych dziełach. Roszczenia te znalazły wprawdzie poparcie w błędnéj politycznéj doktrynie, lecz siła faktów sprowadziła je do granic właściwych i odmówiła im praw, nie odpowiadających ich sile duchowéj.

Naturalny rozwój rzeczy stanowi dla nas jedyne najwyższe prawo, a szanowanie go jest najwyższém przykazaniem moralném. Dla tego téż państwo postępuje wbrew swemu moralnemu zadaniu, jeżeli nie szanuje tego naturalnego porządku. Lecz dotyczy to nietylko niszczenia tego co przez naturę do życia powołane zostało, ale i gwałtownego wyrównywania tego co z natury nierówne, témbardziéj, że nie masz siły ludzkiéj, któraby skutecznie w tym względzie działać mogła. To téż zawsze państwo uznawało wyższe i niższe pomiędzy składającemi je żywiołami, choć niezawsze w jednakowy sposób na to się zapatrywało. Biorąc pod uwagę język, przekonamy się, że sama natura jego rozwoju wskazuje państwu kierunek zachowania się względem niego, kierunek zupełnie z interesami państwa zgodny.

Język jest środkiem porozumienia się pomiędzy ludźmi, ważną dźwignią oświaty i cywilizacyi. Rozmaitość języków stanowi pod tym względem nadzwyczaj ważną przeszkodę. W skutek tego widzimy dążność stałą i niezmienną do usuwania téj przeszkody dwiema mianowicie drogami: przez wychodzenie z użycia drobnych plemiennych narzeczy, oraz przez przyswajanie sobie jaknajwiększéj ilości języków obcych. W obec tego mamy zupełne prawo spodziewać się coraz większego zmniejszania się liczby języków, a zjawisko to odbywa się i odbywać będzie niezależnie od działalności państwowéj. Lecz w skutek tego prawo rozwoju języka, państwo występuje jako zupełnie uprawnione do czynienia wyróżnień pomiędzy językami w jego granicach używanemi i do przyznawania im różnych praw. Przedewszystkiém zaś, ze względu na własny, polityczny interes państwo ma prawo i musi ustanowić język państwowy, którym oczywiście może być ten tylko, który wyrobieniem swoim nad innemi góruje i największe w skutek tego obiecuje korzyści. Przez wyniesienie jednego z języków na stanowisko państwowego, zyskuje on bez wątpienia mimowoli ważne przywileje nad innemi i po za sferą polityki, na polu nawet dalszego jego kształcenia się. Lecz powinno to być jedyne poparcie go przez państwo; wszelki przymus, wszelkie naruszanie dlań naturalnych praw innych języków jest nieprawne

i dla samego państwa szkodliwe. Nie szanując praw tych języków, które stanowią pewne siły moralne, państwo podkopuje swoję własną podstawę — siłę. Państwo opiéra się na sile i dla tego musi szanować wszelkie w jego obrębie się znajdujące rzeczywiste siły, a cała historya wykazuje nieuznawanie téj prawdy jako kardynalny błąd wszelkiéj polityki. Z tego powodu przyznanie obok języka państwowego jaknajobszerniejszych praw autonomicznych innym, historycznie wykształconym językom, jest równie przez naturę rzeczy wymagane jak przewaga najwyższa języka państwowego.

Lecz, powiada daléj dr. G., mógłby ktoś na naszych opiérając się podstawach zarzucić nam co następuje: Jeżeli wszelka nauka płynie dla nas z naturalnego rozwoju faktów historycznych, jeżeli z drugiéj strony widzimy, że dawne średniowieczne państwa doprowadzały do zupełnego zlania się różnych plemion i wytworzenia jednego języka, to dla czegóżby państwo nowożytne nie miało iść tąż samą drogą? dla czego ma ono wbrew danym historycznym popiérać polyglotyzm bez wątpienia szkodliwy? Czyż przykład Austryi może tu być stanowczy? Czy jéj niepowodzenie w sprawie germanizacyi nie było raczéj dziełem niedołęztwa? Zarzuty te są tylko pozorne; nowsze państwa nie dążąc do zgnębienia języków idą tą samą drogą co i średniowieczne; prawa natury działają tu tak samo w innych tylko formach. Państwa średniowieczne doprowadzały do wytworzenia się w ich łonie wielkich narodowości, które uwydatniły się w jednym narodowym języku. I w nowych odbywa się ten sam proces asymilacyjny różnych żywiołów i w nowych tworzą się narodowości, ale dziś już język nie jest istotną ich cechą, nie jest jéj jądrem.

„Istota narodowości leży gdzieindziéj, a mianowicie we wspólności duchowych i cywilizacyjnych interesów ludności państwa.“ Ani zaś wspólne pochodzenie, ani język nie stanowią narodowości. „*Jest ona wspólnością duchową i cywilizacyjną interesów, wywołaną i wymaganą przez wspólne życie państwowe, która się niekoniecznie wyrażać musi we wspólnym języku.*“ Jest to najdokładniejsze określenie narodowości i pod nie podchodzą takie n. p. narody jak Szwajcarowie, Belgowie i t. p., które choć nie mają osobnego języka mają jednak swoję narodowość.

Ponieważ narodowość jest duchowym, cywilizacyjnym związkiem, przeto rozciąga się ona tylko na wykształconą część społeczeństwa. Masy narodu nie mają właściwie narodowości a łączy je jedynie wspólność plemienna i religijna. Z drugiéj strony najwyższe klasy dążą zwykle do zatarcia wybitnych cech narodowych, tak, że w łonie jednego społeczeństwa uczucie narodowe w rozmaity sposób

się wyraża w różnych sferach towarzyskich tak jak to ma miejsce i z religią.

Pozostaje jeszcze zwrócić uwagę na stosunek narodowości do państwa. Narodowość jest wytworem państwa, lecz podczas gdy to może w jednéj chwili upaść, wytworzona w nim narodowość, jako związek czysto moralny istnieje daleko dłużéj. W skutek tego obok państw, które mają wytworzoną w swém łonie narodowość, widzimy z jednéj strony takie, które nie doszły jeszcze do uformowania narodowości a z drugiéj narodowości bez państw. Dr. Gumplowicz twierdzi, że w tym ostatnim wypadku w miarę okoliczności, dawniéj wytworzona narodowość, która weszła w skład innego państwa może dłużéj lub krócéj obcą mu być a nawet nieprzyjazną, lecz z czasem ulega ogólnemu prawu rozwoju i proces asymilacyjny w państwie się odbywający złączy ją w jednę duchową całość z innemi składowemi żywiołami. Wspólne koleje polityczne, wspólność życia prawnego i stosunków ekonomicznych, wreszcie jeden i ten sam kierunek oświaty łączy mimowoli a koniecznie wszystkie narodowości państwo składające w jednę duchową całość, stwarza wspólne cele i dążenie a wreszcie poczucie téj wspólności czyli nową narodowość. Odbywa się tu obecnie i odbywać będzie zawsze to samo, co widzimy w państwach średniowiecznych tj. łączenie się w państwie żywiołów różnych w jednę duchową całość; ta tylko zachodzi różnica, że nie wytworzy się już, jako zewnętrzna cecha téj wspólności, jeden ogólny język. Nowo wytwarzające się w obecnych państwach narodowości muszą być różnojęzyczne, a przyczyną tego jest sztuka drukarska, która ustala raz powstałe języki w literaturze i chroni je stanowczo od zagłady.

Ta różnojęzyczność nie stanowi i nie będzie stanowić przeszkody do duchowego łączenia się różnych żywiołów w jednę narodowość, raz dla tego, że język nie jest już konieczną cechą narodowości, powtóre zaś, że panuje obecnie dążenie do przyswajania sobie wielu języków, podczas gdy w wiekach średnich ludzie znali prawie wyłącznie swój tylko język. Możemy nawet przypuścić, że w przyszłości coraz bardziéj rozwijać się będzie dążenie do przyswajania sobie przez każdego obywatela państwa politycznego pewnéj grupy języków w państwie używanych. Tak jak dziś Belgijczyk posiada język flamandzki i francuski, a Szwajcar niemiecki, francuski i włoski, tak i kiedyś każdy austryak będzie umiał po niemiecku, madziarsku i słowiańsku, co już obecnie można zauważyć u Węgrów. Zresztą mowa tu tylko o wyższéj klasie narodu, bo i w ogóle ona tylko dostępna jest dla idei narodowości, pojmowanéj według określenia naszego autora.

„Zdaje się,“ kończy swą pracę dr. Gumplowicz, „że urzeczywistni się kiedyś pokojowe zbliżenie i zbratanie narodów, uważane przez miłośników ludzkości za ostateczny cel wszelkiego postępu a to z jednéj strony przez znikanie słabych duchowo i niewykształconych narzeczy, z drugiéj zaś przez ciągle wzrastający polyglotyzm jednostek.“

III.

Uważałem za rzecz pożyteczną podać obszerne i dokładne streszczenie pracy dr. Gumplowicza, ażeby dać możność czytelnikowi poznać jego zalety, a mianowicie metodę, któréj się trzyma, oraz wiele nadzwyczaj trafnych i ciekawych spostrzeżeń. Uwalnia mię to od szczegółowego ich podnoszenia w tém miejscu, i dla tego zastanowię się jedynie nad ogólnemi wynikami dzieła. W tym względzie ma praca p. G. słabe strony, które sprawiły, że sam autor nie mógł z zupełną konsekwencyą teoryi swojéj przeprowadzić i wpadł tu i owdzie w sprzeczności.

Wyniki pracy dr. G. można sprowadzić do trzech głównych punktów a témi są: silne zaakcentowanie różnicy między plemiennością i narodowością, odmówienie językowi znaczenia istoty lub choćby głównéj cechy narodowości i podniesienie do najwyższego stopnia wpływu państwa na wytwarzanie się narodowości. Obok nich możnaby przyjąć jeszcze czwarty, a mianowicie uznanie narodowości za ideę zupełnie nową w polityce, nieznaną przed bieżącém stuleciem i powołaną do odegrania ważnéj roli. Lecz w tym ostatnim względzie p. G. nie był właśnie konsekwentnym,.cały bowiem ostateczny wywód jego przeczy temu co w początku o roli idei narodowości powiedział. Bliżéj sprawę tę postaram się w dalszym ciągu wyjaśnić.

Uwydatnienie różnicy między plemiennością a narodowością jest zdaniem mojém nadzwyczaj ważną stroną rozbieranego dzieła. Uważam za właściwe położyć na nie silny nacisk, u nas bowiem szczególniéj różnica ta nie jest dokładnie pojmowana. Pochodzi to bez wątpienia ztąd, że przedmiotem tym zajmują się głównie lingwiści, którzy w studyach swych uznali już za rzecz niezbędną uciekanie się do etnografii i antropologii, ale polityczną stronę kwestyi uważają raczéj za pole dla swych eksperymentów, aniżeli za plenną niwę, dostarczającą bogate żniwo spostrzeżeń. I w tém co się tu i owdzie w drukowaném napotka słowie: w powszechném pojęciu u nas o narodowości nie znać świadomości, że istnieją cechy odrębne

między podobnemi nieraz napozór związkami społecznemi, narodem i plemieniem, że badania etnologiczne i językowe nie wystarczają do zdania sobie ze związków tych dokładnéj sprawy. Oczywiście, że taki pogląd wyrządza szkodę narodowości, pojmowanéj jako związek historyczno-polityczny, któryby można także nazwać *obywatelskością*, gdyby ten wyraz nie brzmiał tak chropawo, a wyrządza narodowości szkodę mianowicie tém, że ją uważa za wyższy tylko stopień życia plemiennego. Wprawdzie odróżniają plemię od narodu; mówi się np. o plemionach australijskich a o narodzie francuzkim lub angielskim, lecz wyróżnienie to jest dowolne i nieoparte na żadnéj ogólnéj podstawie. Przy podciąganiu pewnych zjawisk pod osobne pojęcia brać należy pod uwagę takie ich cechy, które istotnie na różnice między niemi wpływają; wyższy rozwój w jednym i tym samym kierunku nie daje jeszcze prawa do tworzenia nowego pojęcia; koń arabski nie przestaje być koniem, choć różni się od lichéj szkapy; wieloryb podobniejszy jest do ryby niż do lwa, a jednak zoolog łączy go w jednym skupieniu z tym ostatnim; palma jest dla profana drzewem, a dla botanika rośliną trawiastą. Podobnie rzecz się ma z narodem i plemieniem; trzeba wynaléźć istotną różnicę między niemi, trzeba wynaléźć cechę zasadniczą, która jest w jednym, a któréj brak w drugiém. Za cechę tę podał bardzo słusznie dr. G., posiadanie w przeszłości lub teraźniejszości samoistnego bytu politycznego. Ta to okoliczność wywiera główny wpływ na cywilizacyjne znaczenie i stanowisko historyczne narodu i plemienia, ona jedynie jest w stanie wyjaśnić te pozorne sprzeczności w dziejach ludzkości, które są nieuniknione wtedy, gdy plemię od narodu tylko według dowolnych przekonań wyróżniać będziemy.

Związek języka narodowego z narodowością stanowi bez wątpienia jednę z najtrudniejszych kwestyj. Że związek ten jest nadzwyczaj ścisły i istotny, dowodzi tego już ta okoliczność, że zawsze i wszędzie gdzie sprawa narodowości na stół wychodziła, przedewszystkiém występowała w formie kwestyi języka. Nie można więc uważać tego za prosty błąd teoretyczny, jeżeli język uważany bywa za konieczną cechę narodowości, jeżeli w określeniu narodowości zawsze o nim jest wzmianka. Tam nawet dr. G. nie pominął go choć w formie negatywnéj, zastrzegając, że narodowość „nie koniecznie wyrażać się musi we wspólnym języku.“ Są więc przyczyny, które ściśléj nam każą łączyć narodowość z językiem niż n. p. z religiją lub pochodzeniem. Autorowie, którzy odrzucają język jako konieczną cechę narodowości, a między nimi i dr. G. przytaczają na dowód narodowość szwajcarską, belgijską i stanów Zjednoczonych. Rzeczywiście nie można zaprzeczyć, że Belgowie, Szwajcarowie

i Amerykanie północni stanowią pewne osobne związki społeczne, wyróżniające się od innych i mające poczucie swojéj odrębności, lecz jeżeli nawet uczucie to nazwiemy narodowością, to i wtedy przyznać musimy, że jest to narodowość *sui generis*, wyjątkowa, odrębna od innych, powszechnie tak nazywanych. Wszakże i Bretończyk czuje pewną odrębność od Prowansalczyka pomimo, że po nad temi odrębnościami przyznaje wspólną im obu narodowość francuską; toż samo ma miejsce z Bawarem, Sasem, Wirtemberczykiem i t. d. Między temi odcieniami może nawet istniéć silny antagonizm, a jednak obok tego istnieją pewne wspólne, łączące ich ogniwa, silniejsze niż źródła czasowéj nieprzyjaźni. Całe nieporozumienie pochodzi ztąd, że p. G. zbyt jednostronnie pojmuje narodowość, że narodowością nazywa to, co jest tylko jéj częścią. Przejęty wszechwładztwem państwa, z jego wyłącznie stanowiska ocenia objawy społeczne, zapominając a przynajmniéj pomijając inne trwalsze nawet nieraz węzły. Poczucie odrębności Belgów, Szwajcarów i t. p., podobnie jak Bawarczyków, Sasów i t. p., jest wynikiem jedynie różnicy politycznego ich bytu, ich miejscowych instytucyj państwowych i w znacznéj części do ich utrzymania się ogranicza. Poczucie solidarności w innych względach, n. p. cześć oddawana wielkim ludziom swego narodu, jest tylko następstwem téj politycznéj jedności, wynikiem pewnego rodzaju dumy, która nietylko narodom, ale i pojedyńczym prowincyom lub miastom jest właściwa. Uznanie przeto przez dra G. Belgów i Szwajcarów za narodowości zupełnie nie różniące się n. p. od Niemców lub Włochów jest słuszne tylko w obec tego pojęcia narodowości, jakie on nam podał, ale które nie odpowiada w zupełności temu, co powszechnie pod tym wyrazem rozumiane bywa i co rozumiane być winno.

Zwróćmy więc przedewszystkiém uwagę na to co właściwie rozumiéć powinniśmy przez narodowość? Pragnąc ustalić jakieś pojęcie lub wskazać co jaki wyraz oznacza, musimy kierować się dwoma względami. Najprzód należy zbadać czy istnieje w rzeczywistości fakt, zjawisko, które wymaga dla siebie osobnego pojęcia a zatém i nazwy, powtóre zaś jaka nazwa powszechnie pojęciu temu lub zbliżonemu do niego jest przyznawana. Przyglądając się związkom społecznym, które nas obecnie interesują, spotykamy przedewszystkiém zbiór ludzi pozostających pod jedną władzą państwową, zbiór mechaniczny, który w każdéj chwili zmianie uledz może, bo członków jego żaden trwały duchowy węzeł nie łączy. Nie posiadamy na jego oznaczenie utartego w mowie wyrazu; nazwijmy go więc *ludem* (Volk, peuple) dla tego, że choć wyraz ten używa się w innych znaczeniach np. ludu prostego, pospólstwo, ale od dawna i tamto mu przyzna-

wano, n. p. w wyrażeniach: monarcha wezwał lud swój do broni, cały lud przyjął z zapałem odezwę monarchy i t. p. Oprócz tego związku spotykamy wśród ludzi inny, trzymający się ściślejszemi węzłami, którego członkowie obok wielu różnic mają poczucie solidarności niezależnie od bytu swego politycznego, którzy uważają się za członków jednéj wielkiéj całości, i których inni za takich uważają nawet wtedy, gdy rozproszeni są po świecie wśród innych odmiennych związków społecznych. Ten węzeł łączący ich istnieć nie przestaje pomimo tego, że różnych praw słuchają, że w różnym kierunku wykształcenie swe i działalność ekonomiczną zwrócili. Ten to związek nazywamy narodowością, ten brano pod uwagę, gdy głoszono ideę połączenia Niemiec i zjednoczenia Włoch. Gdyby chciano się tu kierować bytem politycznym, ani jedno, ani drugie nie mogłoby było nigdy przyjść do skutku, boć przecie części Niemiec i Włoch nigdy właściwie mówiąc nie stanowiły jednéj całości politycznéj, bo np. Neapol od upadku zachodniego państwa rzymskiego zawsze wprost przeciwne niemal od innych części Włoch przechodził koleje pod rządami Arabów, Normandów, Niemców, Francuzów i Hiszpanów. Faktem jest, że tego rodzaju związki istnieją między pewnemi gromadami ludzi rzeczywiście, że nazywano i nazywają związek tego rodzaju narodowością, i że główna treść jego polega właśnie na tém, iż łączy ludzi rozdzielonych politycznie. W jego łonie mogą zresztą być różnice i odcienia, wyrobione pod wpływym różnych okoliczności, wzmocnione przez odrębny byt polityczny, ale nie znoszące głównych istotnych jego cech. Z jakiéjże więc racyi nazwę temu związkowi właściwą przenosić na inny zupełnie od niego różny? Jeżeli rzeczywiście Szwajcarowie, Belgowie i t. p. stanowią pewne odrębne związki społeczne, trzeba dla związku tego nazwę wynaléźć, ale nie ma najmniejszéj zasady podciągać go pod nazwę czemu innemu właściwą.

Jeżeli przywrócimy wyrazowi narodowość właściwe jego znaczenie, to musimy zaprzeczyć istnieniu narodowości belgijskiéj, szwajcarskiéj i t. p. Główną cechą bowiem narodu jest pewna właściwa mu siła żywotna, przeciwstawiająca go państwu, i słusznie twierdzi dr. G., że gdyby nie przyszło było do kollizyi między obydwoma temi związkami społecznemi nigdyby sprawa narodowości nie była wyszła na stół. Szwajcarowie i Belgowie nigdy nie znaleźli się w tém położeniu, i sądząc przez analogią z innemi narodami nie wiemy co mogliby przeciwstawić w tym wypadku państwu. Gdyby np. Szwajcarya utraciła byt swój polityczny, pytam; w imię czego Szwajcarowie występowaliby w obronie swéj narodowości? Jedynie tylko w imię tradycyi wspólnego bytu państwowego. Dr. G. mógłby wprawdzie

powiedziéć, że powstałby duch wspólny, wyrobiony przez długie lata wspólnego historycznego rozwoju, lecz duch sam nie stanowi narodowości, bo w takim razie nie byłoby jednéj narodowości niemieckiéj lub włoskiéj, które były punktem wyjścia dla jego pracy. A przytém i ten duch ma swą stronę zewnętrzną w życiu państwowém, i nie wiadomo coby się z nim stało z upadkiem tegoż. Słowem taki związek ludzi, który powszechnie nazywają narodowością, musi obok duchowego momentu t. j. poczucia wspólnego miéć inne jeszcze, zewnętrzne, a z tych najważniejszym jest język narodowy, który w literaturze narodowéj tradycye wspólne przechowuje, pielęgnuje i wykształca ideały i od zagłady w pamięci ludzkiéj je broni.

Ostateczny wynik pracy dr. G., dotyczący narodowości belgijskiéj, szwajcarskiéj i ewentualnéj austryackiéj, jest w gruncie rzeczy niczém inném jak skonstatowaniem znanego pewnika, że wspólne życie państwowe z biegiem czasu wytwarza między wrogiemi sobie niegdyś żywiołami pewne węzły, z początku na wzajemnych korzyściach materyalnych oparte, a czasem i z czasem do duchowego nawet zbliżenia się prowadzące, jeśli tylko przymus, usiłujący przyspieszyć to zbliżenie, nie oddali go właśnie przez to, lub jeśli, co gorsza, pod nazwą zbliżenia rozumiejąc unicestwienie słabszych liczebnie, i brutalnie do niego dążąc, sam nie wykopie przepaści, w któréj myśl zbliżenia zaginie. Nowém a niefortunném właśnie jest nazwanie tego ściśle zespolonego ludu, narodowością. W związku rozumnym a więc na słuszności opartym różne narodowości w skład państwa wchodzące zachowają byt odrębny, a więc nie stworzą jednéj narodowości, pomimo, iż wspólny duch obywateli ożywiać je może; i odwrotnie w związku niesłusznym, a więc nierozumnym dwojaki może być rezultat: albo organizm polityczny rozwinie się kosztem narodowości skazanych na zagładę, a wtedy niszcząc węzły duchowe między ludźmi i zmieniając ich w gromady mechanicznie tylko przez siłę materyalną w skupieniu utrzymywane, sam się tém samém osłabi i na najfatalniejsze ewentualności narazi; albo téż rozsadzonym przez narodowości zostanie, jak się to stało z państwem Karola W-go, jak się omal że nie stało z Austryą w latach 1848 i 1849. Nie chcę zresztą w tém miejscu przesądzać czy p. G. słusznie twierdzenie wyżéj przytoczone wygłasza, zwrócę tylko uwagę na jednę niekonsekwencyą jego pracy. Na początku jéj wygłosił, że idea narodowości jest nowa, w XIX w. powstała i powołana do odegrania ważnéj roli politycznéj, że rok 1848 zastąpił nią zasadę wytworzoną przez rewolucyą francuską, wszechwładztwo ludu. Tymczasem ostateczny jego wynik redukuje się do tego, że narodowość coraz bardziéj pochłaniana bywa przez państwo, że istnienie jéj bez państwa przeciwne jest na-

turze rzeczy i że w skutek tego każde nowe państwo wytwarza nową narodowość. Wypadłoby z tego, że wielka idea (bo za taką ją ma p. G.) powstała wtedy, gdy już ma ginąć? że powołaną została do życia po to tylko, aby śmiercią swą zwiększyła grono niewinnych aniołków? A z drugiéj strony czémże w obec tego pojęcia narodowości jakie podaje dr. G. będzie się ona różniła od francuskiego wszechwładztwa ludu? Subjekt jeden i ten sam, bo i w jednéin i w drugiém ludność państwa, przedmiot również identyczny, bo przyznanie téj ludności (pod formą ludu czy narodu) praw zwierzchnich!

Rezejrzyjmy się jeszcze w jednéj konsekwencyi do jakiéj musiał dojść p. G., uznając duchowy moment w narodowości za jedynie stanowczy. Według niego narodowość właściwą jest tylko wyższym warstwom społeczeństwa; lud prosty nie ma żadnéj narodowości, a tylko pewne cechy plemienne i religijne. Lecz poczucie narodowości a narodowość, t. j. zbiór cech z powodu których zaliczamy kogoś do pewnéj zbiorowéj całości, to co innego. Przecież świadomość nie jest piérwszym stopniem rozwoju objawów duchowych. Wszelkie prawie zjawisko umysłowe wprzód istnieje nieświadomie zanim do jego poczucia dojdziemy. Że poczucie solidarności z pewném kołem społecznėm w danym razie nie istnieje, nie dowodzi to bynajmniéj, aby nie było istotnych warunków téj solidarności, i dość tylko sposobności, aby w jednéj chwili to, co było bezwiedne, przeszło w świadomość. Dla tego też przy ocenie jakiéjkolwiek idei społecznéj chodzić nam głównie powinno o to czy są warunki istnienia jéj; czy zaś doszła już do świadomości jest rzeczą drugorzędną.

Zwróciłem już uwagę na konieczność uznania różnicy między narodem a plemieniem. Cechy zewnętrzne są w obu tych razach jednakowe, lecz narodowość ma obok tego pewne momenty duchowe, życiem historycznėm wyrobione i świadome jeżeli nie całéj masie jéj członków, to w każdym razie klasie czoło jéj stanowiącéj. Słusznie twierdzi p. G., że wszelka idea tylko w wyższych warstwach ma adeptów a ogół służy tylko za materyał, którym zgóry kierują. Lecz nie każdy ogół dla każdéj idei da się użyć za materyał, co dowodzi, że ten bierny na pozór tłum ma pewne głęboko wkorzenione zasady, z których tylko sprawy sobie nie zdaje, ale którym instynktowo ulega, podczas gdy na inne jest głuchy. Otóż ten duch historyczny, stanowiący duchową cechę narodowości i świadomy w klasach wyższych, udziela się bezwiednie i niższym, a tego właśnie nie masz w plemieniu, gdzie pod względem braku tego poczucia wszyscy są równi. Porównajmy jakiekolwiek plemię obecne, a choćby nawet część niewykształconą narodu, odciętego od swéj inteligencyi z ludem prostym, narodu normalnego. W plemieniu istnieje

raczéj bezwiedne poczucie swéj odrębności od najbliższych innoplemieńców aniżeli świadomość swojego własnego bytu, aniżeli poczucie łączności ze wszystkimi członkami tegoż samego plemienia. Z tą nieświadomością łączy się częstokroć uczucie niższości własnéj w stosunku do obcych, brak przywiązania do swoich właściwości plemiennych.

Jednostka, która zapragnie wynieść się po nad ogół, przyjmie bezwiednie narodowość tę, w łonie któréj się kształciła, a choć czasem przejęta doktryną będzie głośno swe pochodzenie wyznawała i zużyje nawet całe życie pracy na podniesienie swego plemienia, nie znajdzie wdzięcznego pola do działania. Inaczéj rzecz się ma z niższą klasą narodu w ścisłém słowa tego znaczeniu; stanowi ona rzeczywistą, choć bierną potęgę swéj narodowości, i pojedyncze jednostki z jéj łona mają w każdéj chwili otwarte pole do podniesienia się i wzięcia udziału w rozwoju swéj rodziméj cywilizacyi. Weźmy jeszcze inną stronę tego porównania, a mianowicie pewien fakt drobny na pozór, ale wiele mówiący. Lud prosty należący do plemienia, któremu brak cech narodu, który nie jest uformowany organicznie i nie posiada wyższych rodzimych warstw społecznych, nabiera, mimowoli pewnéj niewiary w siebie. Widząc, że klasy wyższe innym mówią językiem, uważa swój za niższy, „chłopski“ i wstydzi się niemal swego pochodzenia i mowy. Przeciwnie niższa klasa narodu, słysząc swój własny język w ustach inteligencyi, czuje swoję wyższość i chlubi się swą narodowością. A wiara ta w swą wyższość, ta duma jest już gwarancyą, że dziejowa praca cywilizacyjna, która z plemienia naród wytworzyła, nie pozostała bez wpływu na wszelkie jego warstwy od najniższych aż do najwyższych.

W ogóle w badaniach swoich dr. Gumplowicz sam dobrowolnie zaciemnił sobie pole i pozbawił się w znacznéj części korzyści naukowéj, jaka z przyjętéj przezeń metody wypływa. Wszelkie indukcyjne badanie nabiera tém większéj dokładności i powagi im więcéj faktów mamy przed oczyma, im różnorodniejsze i liczniejsze zjawiska użyte zostaną do wyprowadzenia ogólnych wniosków. Dr. G. za mało uwzględniał historyą; przedewszystkiém zaś nie dotknął wcale starożytności. Z pracy jego wynika nawet wątpliwość czy ludy starożytne np. Grecy lub Rzymianie byli narodami. Idea narodowości jest według niego zupełnie nową; wieki średnie miały do czynienia tylko z plemionami. Lecz czémże byli Grecy i Rzymianie? sam nazywa ich choć mimochodem „wielkiemi narodowościami,“ mają one daléj wymagane przezeń warunki tj. byt polityczny historycznie wytworzony, a pomimo tego nie dały mu one ani pozoru nawet podstawy do wyjaśnienia pojęcia narodowości. Jest to druga

ważna sprzeczność w rozbieraném dziele. Ten brak historycznego żywiołu był również powodem, że p. G. zaprzecza np. istnieniu narodowości tureckiéj, twierdząc, że Turków łączy religia a nie narodowość. Uchodzi tym sposobem naszéj uwagi proces rozwoju idei narodowości, nie mogą się uwydatnić stopniowe przekształcenia jednego i tegoż samego w gruncie rzeczy zjawiska, a wreszcie doprowadza to do błędnego wyniku polegającego na tém, że jedna ostatnia faza rozwoju uznaną zostaje za rzecz zupełnie odrębną, samodzielną, niewytworzoną historycznie i związku z poprzedniemi nie mającą. Jest to tém samém, jak gdyby kto uznawszy za państwo jedynie państwo konstytucyjne odmówił tego miana, innym dawniejszym formom, i nie brał ich przy badaniu pod uwagę.

Związki duchowe, które my nazywamy narodami, istniały i w starożytności, choć cechy ich były odmienne od dzisiejszych. Proces ich wytwarzania się polegał zawsze, jak to słusznie twierdzi dr. G., na wspólném dzieleniu losów politycznego bytu. Punktem wyjścia było plemię, związek etnologiczny, który wyróżniając się od innych pewnemi cechami nie miał jednak odpowiedniéj siły odpornéj, i w miarę okoliczności mógł wytworzyć naród, lub téż w połączeniu z innym uledz asymilacyi i wejść w skład innego narodu. Nie ulega jednak wątpliwości, że przy tém łączeniu się i zlewaniu plemion w narody, cechy plemienne ważniejszą niż obecnie odgrywały rolę, i że kiedyś można było wspólne pochodzenie uznać za istotną cechę narodowości. Ograniczenie się w wywodach jedynie dzisiejszemi, europejskiemi stosunkami nie może oczywiście doprowadzić do uznania tego pierwotnego wpływu plemienności na wytwarzanie narodowości, bo nie masz już obecnie plemion czystych, ale wszystkie przez łączenie się zatraciły pierwotne swe wybitne odrębne cechy i zbliżyły się z sobą. Tam jednak, gdzie mięszaniu się temu stanęły na zawadzie jakiekolwiek przeszkody fizyczne i duchowe, cechy rasowe pozostały i odbiły się wyraźnie w charakterze narodowym, jak to ma miejsce np. z żydami europejskimi.

Główną siłą duchową, która na rozwój historyczny i cywilizowanie się narodów starożytnych a zwłaszcza wschodnich wpływała, była religia. U Greków występuje ona jako jeden z ważnych łączników rozdzielonych politycznie Hellenów, podtrzymujących silnie tradycye wspólnego pochodzenia. U Rzymian dopiéro widzimy pierwsze objawy w kierunku wyróżnienia pojęcia narodowości a raczéj państwa od pojęcia religii. Uznali oni istnienie pewnéj równości między ludami, czego nie widzimy u żadnego innego narodu starożytnego, a różnica między narodami nie z woli bóstwa, nie z natury, ale z urządzeń ludzkich, z praw cywilnych wyprowadzali. Ostatecz-

nie jednak dopiéro Chrześciaństwo, dażąc do opanowania uniwersum, nie przyznając przewagi żadnéj narodowości, jako takiéj, sprawiło, że religia przestała być główną cechą narodowości.

Wieki średnie stanowią dla rozwoju cywilizacyi fakt, który o ile się zdaje nigdy podobnego mieć już nie może. Przy ich początku dzieje ludzkości jak gdyby się przełamały. Ogniwa dawnego łańcucha zerwały się, a nowy rozwój rozpoczął się prawie samorodnie, prawie niezależnie od tego co było do téj pory. Barbarzyńskie plemiona, przeważnie germańskie, obaliły wielką historyczną budowę polityczną, zanim same w państwa się sformowały i zmiotły starą cywilizacyą, zanim zdołały wytworzyć nową. Zaczął się nowy proces przekształcania plemion w narody, lecz w nowych, zupełnie od poprzednich oddmiennych warunkach. Główną rolę odegrał tu chrystyanizm. Starożytność miała dwie główne siły, które spajały ludzi w koła spółczesne, religia i współobywatelstwo; innych nie znała, bo w obec pierwszych nie potrzebowała ich, ani wytworzyć nie mogła. Chrystyanizm jako idea powszechna, nie zlewająca się z żadną wyłącznie narodowością a posługująca się jednym językiem kościelnym na Zachodzie—łaciną, głosząca równość wszystkich ludzi w obec Boga, dopomogła do wytworzenia się nowych narodów przez zmięszanie podbójców germańskich z podbitymi, sama zaś nadto stworzyła nowy, nieznany przed tém organizm—kościół, w którym się wszystkie państwa, narodowości i plemiona mieściły. Wśród ludów tedy należących do tego kościoła, religia nie stanowiła cechy, wyróżniającéj jeden lud od drugiego, i z tego względu rzec można, że religia utraciła charakter polityczny, jaki miała w starożytności. Ale zarazem i państwo przez odłączenie odeń charakteru religijnego straciło tę część swych atrybucyj, która w starożytności największy mu wpływ zjednywała. Natomiast różnica językowa między panami a poddanymi stopniowo zacierała się, i przez wzajemny wpływ tworzyły się nowe języki, wspólne wszystkim klasom mieszkańców a różniące jedne kraje od drugich. Ten nowy łącznik społeczny nabierał siły zwolna i bezwiednie i wchodził niejako w krew nowo tworzących się narodów pomimo, że pozornie zdawało się jakoby nikt nań nie zwracał uwagi. Nauka i polityka trzymały się łaciny, osłabiając na pozór a wzmacniając w gruncie rzeczy języki narodowe, bo łacina niwelowała wszystko, prócz różnic językowych. I dla tego choć po łacinie przemawiał prawodawca, choć w mowę Cycerona ubierał swe myśli uczony,—poeta śpiewał w ojczystym języku, a śpiew ten lepiéj i głębiéj przemawiał do serc rycerza zarówno jak wieśniaka niż puste frazesy scholastyków lub grozą przejmujące artykuły statutów. Język narodowy zastąpił pod pewnym wzglę-

dem religią ludów starożytnych,—stał się bowiem skarbcem narodowych tradycyj, téj samowiedzy narodowéj, która jest piérwszym warunkiem życia duchowego. I dla tego dość tylko było jednéj idei, któraby obudziła drzémiący umysł ogółu, któraby powołała do rozpraw masy, żeby łacina padła pod ciosem barbarzyńskich na pozór języków. Nie można przeto zgodzić się z dr. G. jakoby znaczenie języków narodowych w obecnym dopiéro wieku powstało. Wywalczały one sobie stanowisko przez całe wieki średnie, „a ruch reformacyjny XVI w. i sztuka drukarska utrwaliła ich potęgę. Nie można również twierdzić, żeby przeciwstawienia różnych narodowości nie miały miejsca przed XVIII wiekiem. Pomimo np. tego, że w Polsce a głównie w Czechach popiérano kolonizacyą niemiecką i przybyszom pozostawiano wszelką narodową swobodę, występował jednakże antagonizm narodowy zawsze, ile razy wypadki polityczne wyprowadzały umysły z równowagi. Któż np. nie dopatrzy żywiołu narodowego w odwiecznéj nienawiści Polaków do Niemców albo Francuzów do Anglików?

Proces formowania się nowych narodowości, w których język główną cechę stanowi, zakończył się właściwie mówiąc w epoce zwanéj wiekami średniemi. Późniejsze zmiany nie zdołały już znieść tego, co było faktem spełnionym. Nowe różnice religijne nawet w łonie jednego narodu nie zdołały już rozerwać utrwalonéj duchowéj jedności. Najlepszy przykład stanowią tu Niemcy, w których tyloletnie krwawe walki religijne, chętnie przez obcych wyzyskiwane, nie zdołały zniszczyć jednéj narodowości. Wprawdzie i dziś spotykamy przykłady, że religia wchodzi na pozór w skład narodowości np. u ludów słowiańskich pod panowaniem tureckim będących. Lecz jest to fakt wyjątkowy, fakt powtarzający się i w innych sferach życia ludzkości. Jest to szczególny rodzaj salidarności, który wytwarza wspólne niedole, a który upada gdy lepsza zaświeci gwiazda jeżeli głębszych, ogólniejszych nie posiada przyczyn. Podobnież i wzrost idei państwowéj w XVII i XVIII w. nie zrobił wyłomu w wytworzonych już narodowościach, co dr. Gumplowicz na przykładzie Austryi tak świetnie wykazał.

Słowem przegląd dziejów ludzkości doprowadza nas do następnego streszczenia obchodzącéj nas tu kwestyi: Naturalne, przyrodnicze różnice między ludźmi, które my *plemiennemi* nazywamy, posłużyły za podstawę wyższych duchowo cywilizacyjnych różnic, które mianujemy *narodowościami*. Nowe te ludzi wyróżniające związki polegały i polegają na wspólności duchowéj, podtrzymywanéj przez jedne tradycye i wspomnienia łączące w jeden łańcuch kolejno po sobie idące pokolenia a wyrażające się we wspólnym kierunku

umysłowym i ekonomicznym, we wspólnych ideałach społecznych i politycznych, we wspólnéj wreszcie dumie narodowéj. Siłą, w któréj się ta wspólność duchowa koncentruje, która ją wytwarza i utrzymuje, była w świecie starożytnym, przedchrześciańskim, religia—w nowym, chrześciańskim, język, i to jest, zdaniem mojém, główna różnica dwu tych największych epok historycznych. Ona wytłómaczyć nam może to zjawisko, że narody starożytne upadały wkrótce po utracie bytu politycznego, podczas gdy nowe inny przedstawiają obraz. Bo postęp w religii inny jest niż w języku. Nowa faza w rozwoju religii staje w antagonizmie z poprzednią, pogardza nią i nawet prześladuje; w języku każdy stopień rozwoju jest wyraźnym dalszym ciągiem dawniejszych. Naród starożytny, wcielony do państwa z religią wyższą, ulegał powoli jéj przewadze i przejmował ją w miejsce swéj dawnéj, tracąc przez to wszystkie swoje tradycye. Naród nowożytny nie potrzebuje zmieniać swego języka, bo może go pod wpływem innego uzupełniać i doskonalić w ten jednak sposób, że tradycye przodków w tym języku przechowywane nie przestaną dlań być zrozumiałe i *własne*.

Lecz jakąż rolę odgrywa państwo w tym przekształcaniu się plemion na narody? Oto stanowi ono owę zewnętrzną, formalną stronę procesu, bez któréj główna treść nigdyby się wytworzyć nie mogła. Jest ono jak gdyby retortą, która siłą swych ścian trzyma w skupieniu odrębne pierwiastki i zmusza je do stopniowego łączenia się, jak gdyby formą gipsową, zbliżającą złamane części organu. Forma ta jest konieczna, bez niéj bowiem nie nastąpiłoby połączenie części najbardziéj nawet ku temu skłonnych. Lecz gdy połączenie już nastąpi, rola formy jest pod tym względem skończona. Życie państwowe jest koniecznym warunkiem wytworzenia się duchowéj solidarności pomiędzy plemionami, lecz nie jest konieczne do utrzymania już wytworzonéj narodowości. Wytworzenie siły duchowéj wymaga długiego czasu, wymaga sprzyjających warunków. Warunki te wytwarza związek państwowy, który będąc oparty na sile fizycznéj zdolny jest w jednéj chwili złączyć różnorodne żywioły i zmusić je pomimowoli do wzajemnego oddziaływania na siebie.

Proces asymilacyjny, który różne żywioły plemienne w jeden naród łączył, odbywał się w państwie. Ale błędnie twierdzi dr. G., ażeby tu państwo asymilowało, bo między dwiema zupełnie odrębnemi rzeczami asymilacyi być nie może. W procesie tym jedno plemię asymilowało drugie, przyczém udział każdego w nowo tworzącéj się całości zależał od jego siły żywotnéj. Państwo zaś wzajemny wpływ przez zbliżenie przymusowe umożliwiało. Taki proces asymilacyjny i dziś się odbywa; i dziś cząstki jednego narodu,

rzucone wśród masy innego narodu, zapominają o swéj narodowości. Lecz państwo nie odgrywa tu już roli, boć przecie mnóstwo mamy przykładów, że asymilacya ta odbywa się i na korzyść narodowości nie stanowiących państwa. Tu właśnie leży główny błąd dr. G. Fakta stwierdzone w epoce, w któréj z różnorodnych plemion tworzyły się dopiéro narodowości, przenosi drogą analogii na czasy, kiedy narodowości już się wytworzyły. Wykazawszy wybitnie różnicę narodu od plemienia, zaciera ją p. G. w ostatecznych wywodach i naród podstawia dowolnie za plemię. Życie państwowe, jak mówiłem, jest koniecznym warunkiem asymilacyi, ale, przedewszystkiém potrzeba, aby części nadawały się do asymilacyi. Spojone w formie gipsowéj części organu zrosną się, bo same w sobie ku temu posiadają warunki; lecz kawał żelaza lub drewna nie zrośnie się z organem, choćby całe życie forma je ze sobą ściskała. Plemię nie ma bytu historycznego i łatwo ulega i uledz musi kolejom, na jakie je państwo wprowadzi. Naród mając ten byt ma w nim mimowoli swéj nawet siłę odporną, którą w części tylko i do czasu tylko tłumić się udaje.

Powiadam, że w części tylko. Nie ulega wątpliwości, że wcielenie jakiéjś narodowości lub jéj części do innego państwa, wytwarzając w jéj członkach pewną solidarność państwową, opartą na wspólności prawodawczéj, ekonomicznéj i wychowawczéj „musi osłabiać solidarność narodową.“ Lecz osłabienie to nie dotyczy téj strony, która właśnie istotę narodowości i jéj różnicę od państwa stanowi. Jest to znów fakt powszechny i naturalny w rozwoju ludzkości. Im mniéj jest związków społecznych, tém więcéj każdy z nich absorbuje człowieka. W epoce bytu patryarchalnego, gdzie rodzina obejmuje wszystkie sfery życia, nie ma właściwie ani rodziny, ani państwa, ani związku religijnego. Jest jeden tylko związek oddziaływający na wszystkich jednakowo, i w skutek tego niwelujący wszystkich do jednego poziomu. Postęp cywilizacyi polega na tém, że coraz to nowe sfery życia wydzielają się w osobne związki społeczne od siebie niezależne. Zjawisko to widzimy dokładnie w rozwoju narodowości. Stanowi ona niezaprzeczenie jeden z najnaturalniejszych i najtrwalszych związków społecznych. Lecz im niżéj stoi dane koło społeczne, tém więcéj narodowość łączy się z innemi sferami życia duchowego. Z tego wypływa najprzód, że ilość cech narodowych czyli właściwiéj mówiąc cech z narodowością złączonych z biegiem czasu się zmniejsza. Na niższych stopniach kultury z narodowością łączono wspólność religii, prawa, obyczajów i zwyczajów, mody kuchni itp. Z biegiem czasu cechy te odpadają, a pojęcie narodowości ścieśnia się do najistotniejszych swych znamion. W skutek tego pozorne różnice między narodami stopniowo zmniejszają się, lecz

jądro ich pozostaje. Ale natomiast doskonali je i uzacnia wszechstronnie; poczucie narodowości, świadome siebie i czynne, staje się siłą nieskończenie potężniejszą aniżeli dawniéj gdy poprzestawało na wierném, ale bierném trzymaniu się cech formalnych. Stosunki ekonomiczne i umysłowe, podróże, uczenie się obcych języków i inne okoliczności zaciérają różnice mody, obyczajów i poglądów, znoszą antagonizm i nieprzyjaźń, lecz spójnia językowa i tradycyjna oraz dążenie do pewnego wspólnego ideału utrzymują szczególną solidarność członków.

Dalszym wynikiem oddzielania się narodowości od innych sfer życia duchowego jest wzrost jéj znaczenia politycznego, które właściwie mówiąc, według słusznego twierdzenia dr. G., na wiek obecny przypada. Dawniéj, pomimo że istniały narody, idea narodowa zaciemniana była przez inne wyraźniéj w oczy bijące związki. Religia lub państwo zwracały wyłączną uwagę; one miały przyznane wszelkie prawa podczas gdy narodowość sama, o własnych siłach rozwijać się musiała. Od końca zeszłego wieku wyróżniać zaczęto narodowość od państwa, tak jak dawniéj już oddzielono ją od religii, a jednocześnie musiano zwrócić na nią baczniejszą uwagę i przyznać jéj właściwą, niezależną od innych związków, sferę praw. Narodowość zyskała prawa jako narodowość i stała się ważnym czynnikiem życia politycznego, czego znów Austrya najlepszym jest dowodem. Sprawdził się tu punkt wyjścia pracy dr. Gumplowicza „*siła przed prawem*“, w tém znaczeniu, że wprzód musi wytworzyć się siła, ażeby przyznano jéj prawa, że wszelkie sztuczne nadawanie praw temu co własnéj siły nie posiada przejściowe tylko może mieć trwanie, zaś zyskanie praw przez to co zdołało stać się rzeczywistą siłą samo przez się, działaniem okoliczności nastąpić musi. Aż do wieku bieżącego państwo tylko uznawano za siłę i jemu wszystkie przyznano prawa. Gdy siłę swą wykazała idea narodowości, musiało i musi państwo przyznać jéj prawa odpowiednie, stwierdzając tém powszechną zasadę, którą wypowiedział dr. G. w słowach: „każdéj rzeczywistéj sile duchowéj należy się odpowiednie jéj prawo.“

Karol Dunin.

Powieści historyczne J. Kraszewskiego.

Królewscy Synowie T. 4. 1877.—*Historya prawdziwa o Petrku Właście* T. 2. 1878 —*Stach z Konar* T. 4. 1879.

Powieści historyczne, które w r. 1875 rozpoczął Kraszewski, mają żal do swego autora. Rok już trzeci jakeśmy tu pisali o ukazaniu się pierwszych pięciu („Ateneum" z r. 1877 tom III i IV.) Od tego czasu autor ich wydał ze 30 powieści odrębnéj treści, kilka dzieł w innych przedmiotach, napisał ze 300 artykułów do pism czasowych, powieści zaś historycznych, które rozpoczął tak świetnie i które takiéj wagi zapowiedziały całość, ogłosił zaledwo trzy (1). Naszém zdaniem nie tyle nawet może powieści, ile autor winien, by ztąd mieć żal sam do siebie. Być może, iż czynność jego piśmienna, w ten sposób jak ją w przeciągu tym użył, jako różnostronniejsza była więcéj wpływową, użyteczniejszą, dawała mu popularność szerszą, lecz gdy użytek i pamięć największéj części tych prac kończyły się z końcem dnia (*Korespondencya*), gdy wartość innych głuszoną a przynajmniéj równoważoną była przez pióra spółzawodnicze: „wyłożenie téjże ilości pracy, tych sił na jedność swego utworu, uczyniłoby go może już dotąd twórcą olbrzymiéj epopei krajowéj, a więc pomnika, który czas mógłby tylko wznosić, nie skruszyć. A nadto: wykonanie tego wyjątkowego zadania, które sobie założył, wyjątkowego też uzdolnienia wymaga. Wszelka powieść wymaga daru fantazyi i daru słowa, ale uwór powieści mających przedstawiać wieki, oprócz daru fantazyi i daru słowa, wymaga i znajomości tych wieków,—znajomości obyczajów, zwyczajów, poziomu umy-

---

(1) Wyszła obecnie i czwarta, *Waligora (Przyp. Red.)*.

słowego stanu społecznego, i słowem wszelkich szczegółów bytu w tych danych czasach, danego kraju,—a nie tylko danego kraju, ale i tych sąsiednich bliższych i dalszych, które się znajdowały w bliższych stosunkach z tym krajem, w każdym z tych wieków. Postawione już pierwsze kroki na drodze tego zadania dowiodły, iż owe dary, owo uzdolnienie posiadł autor, a mimo to u piór zasłużonych nie mamy jeszcze dowodu, czy posiadamy i inne z cechą tych zalet. Ów więc żal danéj gałęzi do autora i autora do siebie dzielić ma prawo słusznie i cała powszechność.

Nikt jednak nie ma naturalnie prawa przesądzać ostatecznie obcych zasług i kroków. Pisanie historycznych powieści wymaga kolejnych studyów, i w danym czasie nie mogłaby równie obfitym plonem wzbogacać literatury,—być więc może, powtórzmy to znowu, iż owe różnostronne czynności pióra były konieczniejszemi na daną chwilę niż czynność inna; być może, iż te spacery duchowe potrzebnemi były umysłowi autora, równie jak materyalne, dla możności przebywania następnie i drogi głównéj, a nadewszystko, być może, iż te zboczenia śród drogi nie staną się ostatecznie przeszkodą dla ukończenia jéj z czasem. Odkładając więc na bok życzenia i łatwe żale, spójrzmy raczéj na to, co już dał autor, i w dalszym ciągu uwag, które wyraziliśmy o jego pierwszych pięciu powieściach historycznych, zapiszmy kilka z kolei i o trzech nowych.

Zadanie, które założył sobie Kraszewski w obecnéj pracy, poczytujemy za równoległe z tym popędem i tą czynnością, jakie się wyraziły w spółczesnéj nam literaturze krajowéj ku odgrzebywaniu, ogłaszaniu i rozważaniu źródeł i wszelkich szczegółów naszéj przeszłości. Ogłaszanie pomników dziejowych, dawnych dyplomatów, akt tak z archiwów krajowych jak obcych, przyczynia się wielkim krokiem do bliższego poznania chwil minionych. Lecz obok téj przeszłości, która pozostawiła ślady, była przeszłość, po któréj nie pozostało żadnych piśmiennych. Przeszłość taka wskrzeszaną już tylko być może chyba siłą fantazyi. Kroniki wymieniają nazwiska, głośne dziejowe wypadki, ale każde z tych nazwisk obok swych czynów głośnych miało i swój żywot domowy, każdemu z tych wypadków towarzyszyły w tysiącznych swoich odcieniach wypadki drobne; otóż tę całość wskrzesić, tę łączność przedstawić, do ciała znikłéj przeszłości dołączyć i obraz duszy, i słowem, do kreślonych dziejów zewnętrznych dopisać wewnętrzne, to jest zadanie powieści, o których mowa.

Jaki dla osiągnienia takiego skutku użyty został przez autora proceder, wzmiankowaliśmy już i powtórzymy tu jeszcze. Autor szereg powieści kreśli chronologicznie koleją panowań; lecz zostawia-

jąc jakby na boku to, co powszechniéj jest znane, co bardziéj zewnętrzne, staje swoje oznacza nie nazwiskami królów, wodzów lub głośnych wypadków, lecz szuka w danym okresie tradycyi, lub wzmianki o jakim fakcie wewnętrznym, z tego wysnuwa ramy dla całéj spółczesności krajowéj, i w tych ramach nakreśla obraz danego czasu.

Te pierwsze pięć powieści, o których donosiliśmy tu szczegółowiéj rok temu trzeci, były, przypomnijmy, treści następnéj.

Pierwsza prawie wyłącznie fantastyczna i mająca też nazwisko *Staréj Baśni*, miała za przedmiot domowe zajścia i w końcu przyjazne zlanie dwóch różnych, na jednéj ziemi mieszkających rodów, Leszków i Polan,—ubiór pierwszéj historycznéj dynastyi,—pierwsze walki z germanizacyą,—i przedświat Chrześciaństwa. Druga *Lubonie* opowiadała dzieje czasów Mieczysława I a mianowicie tę walkę, jaką przebyła w tym czasie większość narodu pogańska, reprezentantem któréj był stary Luboń, ze zwycięską w końcu mniejszością, reprezentantem któréj był młody Luboń, tajny misyonarz. Trzecia, mająca napis *Bracia Zmartwychwstańcy*, wziąwszy za temat tradycyą o dwóch ukrytych od gniewu króleskiego braciach, skreśliła głównie w tych ramach obraz czynności, potęgi, charakteru oraz domowego pożycia Bolesława Chrobrego. Czwarta *Masław* była obrazem reakcyi pogańskiéj i zniszczenia kraju po Mieczysławie II-im oraz odbudowania go przez Kazimierza I-o. Piąta wreście, mająca napis *Boleszczyce*, skreśliła czas piérwszéj walki chrześciaństwa z władzą króleską, zwycięstwo króla, lecz wnet i ustąpienie z kraju w towarzystwie kilku tylko, którzy mu pozostali wiernymi.

Trzy powieści, któreśmy z kolei otrzymali, są już odbiciem czasów, w których z pewnéj strony już postępowe a nowe wyraziły się rysy, a mianowicie stale utwierdzone chrześciaństwo oraz obok książęcéj czyli królewskiéj rosnące w potęgę władze duchownych i możnych. Co do ram historycznych, pierwsza z nich *Królewscy Synowie* opowiada o dziejach dwóch synów Władysława Hermana, Zbigniewa i Bolesława; druga: *Historya o Petrku Właście* o ostatnich latach życia tak zwanego w kronikach naszych Piotrka Duńczyka i zarazem o pierwszych wzajemnych walkach Synów Krzywoustego; trzecia wreszcie *Stach z Konar* o rządach najznamienitszego z tych synów Kazimierza.

Co w tych nowych powieściach wziętém jest z tradycyi i kronik a co z fantazyi? jak stoją te utwory w odniesieniu do swej gałęzi? jakie właściwie role grają w nich historyczność i artystyczność? chcemy właśnie rzec tu słów kilka, lecz iżby te jaśniejszemi się sta-

ły, wspomniéć wypada przedewszystkiém o szczegółowém zawarciu każdej.

Powieść *Królewscy Synowie* równie jak *Boleszczyce* treść ma prawie wyłącznie historyczną. Stosunek wzajemny dwóch braci Zbigniewa i Bolesława tak z siebie jest dramatycznym i daje sam przez się akcyą tak zajmującą, iż autor dla przedstawienia obrazu dziejów wewnętrznych z końca XI-go i początku XII-go wieku i zainteresowania niemi czytelnika nie potrzebował wynajdywania innych ram, ani innych węzłów.

Treść powieściową otwiera klasztor w Saksonii. Dwaj klerycy, Łukasz i Aleksy, wiodą braterski spór. Pierwszy marzy jedynie o królestwie niebieskiém, drugi o ziemskiém. Do klasztoru kołaczą pielgrzymi. Wpuszczeni zamieniają się w zbrojnych rycerzy, i objaśniwszy, żo brat Aleksy to syn królewski Zbigniew uprowadzają go z sobą do Polski, do Wrocławia. Tron Polski zajmował natenczas brat zmuszonego do ustąpienia z kraju Bolesława *Władysław* (Herman). Słaby i niedołężny, rządy kraju zdał na ulubieńca swego *Sieciecha*, a mąż ten rycerski i piękny widząc, iż ulubieńcem jest nietylko króla, lecz i królowéj, marzył o zastąpieniu wkrótce swojego pana i na tronie i w domu. Królową była *Judyta*, siostra Henryka IV-go, druga ślubna żona Władysława, wstąpiwszy ona na tron, starszego mężowskiego syna (z żony nieślubnéj) Zbigniewa odesłała do klasztoru, o młodszym (Bolesławie) nie wątpiła razem z Sieciechem, że żwawy ten i ognisty chłopiec lada dzień zginie z ręki Pomorców, lub od kła dzika. Sieciech by usunąć rywali a wzrość w powagę, jednych z ziemian więził, innych wyganiał i wszelkiemi sposoby uciskał kraj. Opierał się wojewodzie jeszcze starosta wrocławski *Magnus* i uprzedzając cios związał się potajemnie z Czechami i wygnańcami, by na ratunek kraju sprowadzić Zbigniewa. Magnus i Zbigniew nie przystali jednak do siebie. Sieciech z królem nadciągnęli pod Wrocław i Magnus kapitulował. Zbigniew cofnął się do Kruszwicy: niemężny i nierycerski, mimo pomoc Pomorców i Czechów rozbity i ujęty, osadzonym został w więzieniu w Gnieźnie. Na uroczystość do Gniezna przybył król i na prośby arcybiskupa, ujętego widokiem leżącego co dnia krzyżem w kościele Zbigniewa, przebaczył mu i uznał za syna. Bolesław i Zbigniew zamieszkiwali przy ojcu czas jakiś zgodnie, lecz gdy wysłani przeciw Pomorcom pokłócili się o dowództwo, ojciec osadził jednego w Sandomierzu drugiego w Gnieznie. Ścigani przez Sieciecha, dwaj bracia przyrzekli sobie pomoc wzajemną, a gdy jeden ze świeżych ulubieńców Bolesława (*Strzegoń*), skruszony dobrocią pana, ostrzegł go, iż jako członek spisku nasadzonym został przez Sieciecha, aby go

wprowadził w zasadzkę Czechów, połączyli swe wojska, aby wyjednać u ojca usunięcie wojewody. Król z wojskiem oczekiwał zbliżenia się synów w Żarnowcu, lecz Sieciech uczuwszy się winnym umknął do Sieciechowa, pod Sieciechów przyciągnął już Król wraz z synami, ale nocą umknął łódką do ulubieńca i z nim razem następnie zamknął się w Płocku. Przyciągnięte pod to miasto wojska synowskie miały już rozpocząć wojnę domową, gdy przybyły jako pośrednik arcybiskup wyjednał wydalenie Sieciecha. Synowie po nastąpionéj wkrótce śmierci ojca zostali przy osobnych dzielnicach, ale pierwotna przyjaźń zamieniła się wkrótce we współzawodnictwo. Zbigniew, nieprzyjaciel oręża, siedział i bawił się tylko w Gnieznie; Bolesław, miłośnik bojów, bił po kolei Czechów, Pomorców, Prusaków, bronił i swojéj dzielnicy i Zbigniewowéj, a nie mogąc w końcu wydołać, wysłał do brata posłów domagając się, aby lub mu ustąpił ziemię, lub dopomagał w wyprawach. Zbigniew uwięził posłów, rozpoczął wojnę, pobity ustąpił z Gniezna, a mając dozwolonym pobyt w Mazowszu podburzył przeciw bratu Pomorców i sam złączył się z nimi. Pobity znowu i na wygnanie skazany, udał się na dwór cesarza Henryka V-go i, zaręczywszy mu łatwy podbój Polski, razem z nim wtargnął do kraju. Henryk wchodząc z potężném wojskiem zażądał od Bolesława hołdu, daniny i oddania połowy państwa Zbigniewowi. Opór Bytomia, obrona Głogowy, psie pole, przymusiły Niemców do ustąpienia, Zbigniew jednak raz jeszcze otrzymał przebaczenie od brata i zamek na mieszkanie. Przekonany wkrótce o nowy zamach, osadzonym został w więzieniu i skazany na oślepienie, lecz oprawca w ręcznéj walce z broniącym się pozbawił go życia.

Historya o Petrku Właście ma początek jak w dawnych powieściach romantycznych. Oberża pod Wrocławiem. Do oberży wchodzą po kolei podróżni: młody rycerz, stary rycerz, stary dziad, wieśniak, ojciec Benedyktyn, każdy prawie opowiada powieść o swych przygodach. Najwięcéj jednak powieścią swą zajął stary dziad, który na prośbę niektórych z gości opowiedział o właścicielu oberży, możnym palatynie Petrku Właście, a mianowicie jako on był niegdyś pierwszym ulubieńcem zmarłego króla, jak wtedy zręcznym podstępem ujął był księcia ruskiego Wołodora i uwiózł jego skarby i córkę Maryą, tę samę, która dziś jest poważną palatynową i matką anielskiéj córki *Błogosławy*,—jak następnie dla odpokutowania za winy pobudował 77 kościołów i jak wreście obecnie jako wykonawca woli zmarłego króla czuwa nad bezpieczeństwem jego dzieci. Słuchał téj powieści z zajęciem młody rycerz, *Jaksa z Miechowa*; był on jedynym synem staréj dziedziczki Komorowa, a wróciwszy

świeżo z podróży po zachodzie zamyślał i o pojęciu towarzyszki życia i o zawodzie w kraju. Z powieści dziada o Petrku uderzyła go mianowicie wzmianka o jego anielskiéj córce. Zabłąkany do oberży śród łowów, wracał nazajutrz w towarzystwie jedynie dwóch psów szczególnéj rasy, lecz o to spotkał go w drodze biskup wrocławski Janik, również miłośnik łowów. Uderzony widokiem psów zatrzymał ich właściciela, a poznawszy w nim swego bratanka, zawrócił go i zmusił do przebawienia u siebie dni kilku. Jednego z tych dni ukazał się na dworze biskupa gość niepoczesny, w staréj wytartéj sukni, ale przez gospodarza z odróżnieniem przyjęty; był to Palatyn Petreki. Zapoznał się on i z bratankiem a dowiedziawszy się, iż ma zamiar udać się na dwór księcia, obiecał mu poradę i pomoc, jeśliby go odwiedził. Na dworze Petrka Jaksa ujrzał też jego żonę, córkę i syna Świętosłowa, z Świętosławem zawiązał brateską przyjaźń, a widok córki miał się wyryć w jego pamięci do końca życia. Rodzice a zwłaszcza matka przeznaczali ją dla udzielnych książąt, nie dla rycerzy, ale dla Jaksy dostateczném było oglądać ją przynajmniéj kiedy niekiedy, wdzięczny więc za instrukcye i polecenia podążył do Krakowa do dworu. Panem nad Krakowem i Szląskiem był książę *Władysław*, najstarszy syn Krzywoustego (ze Zbisławy), miał jednak pewną zwierzchność i nad młodszymi braćmi (z matki *Salomei*), którzy otrzymali osobne dzielnice, a mianowicie: *Mieczysław* Wielkopolskę, *Bolesław* Mazowsze, *Henryk* Sandomierskie. Wojewoda objaśnił Jaksie, iż nader się lękał, aby książę ulegając poszeptom żony (siostry ces. Konrada: *Agnieszki*) i spólnego ich ulubieńca *Dobka* nie starał się wyzuć braci z ich dzielnic, zwłaszcza iż głośném było, że jako syn księżnéj ruskiéj mógł liczyć na pomoc Rusinów i Połowców, którzy obyczajem ówczesnym zamieniliby kraj w perzynę. Książę Władysław uprzejmie przyjął Jaksę, lecz co do przyjęcia na dwór odesłał go po decyzyą do Dobka. Dobek rad był rycerzowi możnemu i z łatwością go przyjął. To jednak, co ujrzał Jaksa na dworze, więcéj niż potwierdziło domysły Petrka. Władysław nie poprzestając na pobieraniu opłat z dzielnic braci, zamyślał o wygnaniu ich z kraju i oczekiwał tylko na przymierzeńców. Zawiadomiony o tém Petrek, wraz z wojewodą Wszeborem przybył na czele ziemian na dwór księcia z przełożeniami, lecz ściągnął tylko na siebie nienawiść księżnéj,—przybyło w tymże celu poważniejsze jeszcze poselstwo biskupów na czele z arcypasterzem (Jakóbem ze Żnina) i również nie miało skutku. Młody Jaksa spoglądał na to wszystko, żałował książąt, lecz jako młody zajęty był głównie sobą, uczuciem własnym, wyjednawszy więc uwolnienie na czas jakiś, udał się na dwór przyjaznego niegdy sobie księcia Henryka, do Sandomierza, a to już dla uprzedze-

nia go o grożących jemu i braciom niebezpieczeństwach, już z prośbą o wstawienie się za nim i wyswatanie mu córki Petrka. Wszakże zaledwie tu przybył, doszły go głuche a dziwne wieści o losie palatyna. I były słuszne. Wkrótce po poselstwie ziemian ks. Władysław by ująć Petrka udał się w towarzystwie jego na łowy. W czasie tych, zostali odosobnieni i zabłądzili; a gdy książę pocieszając Petrka, który się troszczył o żonę, rzekł: „bądź spokojny pociesza ją teraz opat Strzelnieński,“ Petrek zapominając się odrzekł: „A twoją, miłościwy książę, Dobek—wiedzą to wszyscy.“ Książę zmilczał, ale nie zmilczała zawiadomiona o tych słowach Agnieszka. Ujęty i osadzony w więzieniu Petrek, jako potwarca pozbawiony był oczu i języka. Dobra i skarby jego zabrał Dobek. Kobiéty staraniem opata odesłane gdzieś zostały w głąb' puszczy pod dozór niewiast. Na wieści te Jaksa pośpieszył do Krakowa, widział się z księciem i pogonił na wyszukanie kobiét, ale daremnie,—przed powrotem zboczył jeszcze odwiedzić matkę, i tu właśnie znalazł swą zgubę. Nie bawił jednak długo. Pobity nad Pilicą, książę Władysław wraz ze sprzymierzeńcami pociągnął pod Gniezno, tu byli zamknięci wszyscy bracia, tu się udał i Jaksa. Przed rozpoczęciem ostatecznych kroków, duchowni (a w ich liczbie i sprowadzony tajemnie przez Jaksę biskup krakowski) usiłowali je powstrzymać, lecz nadaremnie. Jan ze Żnina rzucił klątwę na księcia. Bój się zaczął, lecz skutek boju był pomyślny dla braci. Władysław z żoną umknęli do Krakowa, następnie z kraju i nie wrócili tu nigdy. Rząd w Krakowie objął Bolesław mazowiecki jako najstarszy z braci. Jaksa pomimo opór matki poślubił Błogosławę; był na weselu i ojciec, patrzący jednak i mówiący; wyznaczony bowiem oprawca był wielbicielem Petrka i pozornie tylko wykonał był operacyą. Szczęście Jaksy nie było wszakże długie, Bogosławę, którą był poślubił jesienią, utracił na wiosnę. Zrozpaczony poszedł wkrótce w orszaku księcia Henryka na wyprawę krzyżową do ziemi S. Po powrocie założył w swym dziedzicznym Miechowie klasztor Bożogrobców.

Powieść ostatnia *Stach z Konar* mówi o rządach w Krakowie następców Kędzierzawego, Mieczysława i Kazimierza.

Stuletni *Ścibor*, towarzysz jeszcze Krzywoustego w jego wyprawach pomorskich, mieszka w swym wiejskim dworku w Sandomierskiém z jedną córką *Jagną* i wzdycha, iż nie ma zięcia, ale piękna rycerka, dziedziczka dóbr rozległych raz wyrzekła, iż nie poślubi nikogo, gdyż ten jéj jedyny kochanek, o jakim marzy, nie mógłby jéj poślubić. Jednego dnia (i dzień ten zaczyna właśnie powieść) nadmienił jéj ojciec wzruszony, iż miał sen, że odwiedził go syn dawnego towarzysza bojów *Stach z Konar*, lecz że to niemożliwe, i z okoliczno-

ści téj opowiedział, jak Stach ten będąc jeszcze chłopięciem był towarzyszem zabaw obecnego ich władcy księcia Kazimierza, jak raz zgrawszy się w kostki uderzył go w policzek, osądzony był na śmierć, lecz książę mu przebaczył,—dodał przytém; iż jakkolwiek oswobodzony, zropaczony jednak i nienawiścią ku sobie powszechną i skruchą, iż tak dobrego pana obraził, sam sobie naznaczył karę i zmieniony, z przybranėm innėm nazwiskiem (*Zabora z Przegaju)* służy tajemnie, pomaga i czuwa z wiernością i ofiarnością bez granic pokrzywdzonemu księciu. Ojciec kończył swą powieść, gdy oznajmiono przybycie gościa, a gościem tym właśnie był Stach. Jagna nie nawidziła go niegdyś, lecz dziś ujrzawszy go zmienionego, a zwłaszcza zasłuchana w jego opowiadanie wdzięcznėm nawet spojrzała nań nieraz okiem. Opowiadał zaś Stach o dziejach swéj skrytéj służby, jak razem z księciem odbył podróże dalekie, jak z nim razem był przy Rudobrodym na dworze i w wyprawach, jak wpłynął niepostrzeżenie, przez pośrednictwo biskupa, że ks. Henryk Sandomierski (który powróciwszy z Krucyaty poszedł na pogan pomorskich i z ręki ich zginął) w testamencie swym następcą naznaczył Kazimierza, jak nadto i szlachcie Ziemi Krakowskiéj, którą teraz włada Mieczysław, napomyka, iżby raczéj tego księcia na rządcę wezwała. Tak opowiadał Stach, kiedy stukanie w bramę nowych gości zapowiedziało, był to *Kietlicz* z towarzyszami, prawa ręka księcia Mieczysława, który nie przestając na ucisku własnych, wpadł i w pograniczne ziemie, by je odzierać, i kiedy tu Stach na prośbę Jagny (któréj spojrzenia podbiły go na zawsze) chciał od osobistych przynajmniéj zniewag zasłonić jéj ojca, ujęty i zaprowadzony został do Krakowa jako buntownik. W Krakowie zasiadł sąd, którego obowiązkiem było zasilać skarb tj. skazywać wszystkich winnych i niewinnych na karę siedmnadziestą, za tę karę był uwolnionym i Stach. Mieczysław z wydziału ojca książę wielkopolski a dziś po śmierci brata Bolesława, jako najstarszy z kolei, książę *Krakowski* (małoletni syn Bolesława *Leszek* został tylko przy pierwotnéj dzielnicy ojca, Mazowszu), w imię dzielności i sprężystości władzy odbierał i uciskał swe ziemie, wszystkie ich stany, duchownych, ziemian, lud wiejski, napomniany przez biskupa krakowskiego Giedkę (Gedeona) skazał go na wygnanie, innych skazywał na śmierć, okaleczenie. Ziemia cała powstała i wezwała Kazimierza na rządcę. Kazimierz kochał brata i nie zgadzał się za nic stać się zdrajcą jego, przywłaszczycielem, zgodził się tylko przybyć do Krakowa jako pośrednik, lecz za zbliżeniem jego Mieszko opuszczony od swoich ustąpił do Wielkopolski. Objąwszy rządy Kazimierz usprawiedliwił ogólną dla siebie miłość i ufność, poznosił uciskające prawa, zwołał zjazd do Łęczycy (ustawy którego rościągnę-

ły opiekę nad własnością ludu wiejskiego i duchowieństwa), ożeniony z księżniczką ruską i wplątany w zajścia książąt ruskich pod zarząd swój przyłączył ziemie: Brzeską, Drohicką, Przemyską, z woli synów Mieczysława część Wielkopolski, a po śmierci małoletniego Leszka: Mazowsze. Rycerski jak przodkowie, pobożny, a nadto miłujący nad wszystko nauki i przy ucztach rozmowy uczone, Kazimierz łączył jednak i jednę wadę Piastowską, słabość dla płci pięknéj. Poślubiwszy z polecenia duchownych i panów księżniczkę, którą szacował, nie porzucił jednak i nie porzucał długo, bawiąc w Sandomierzu, jakiéjś miłośnicy tajemnéj, z którą się zjeżdżał w gaju, a teraz, zamieszkawszy w Krakowie, nie mógł się oprzéć ułudom głośnéj piękności nowéj. Stach, który wszędzie i zawsze służąc księciu nie przestawał marzyć o Jagnie, ani się domyślał, że ową miłośnicą w gajach sandomirskich była właśnie Jagna; krakowską była młoda Dorota Tęczyńska wdowa; obie podobne do siebie z tego, iż uwielbianym ich ideałem był Kazimierz, różniły się nader tem: iż gdy Jagna myśléć nawet o nikim drugim nie chciała i kochanką była tylko dla Kazimierza, Dorota była zarazem jawną dla wszystkich. Postrzegł to wkrótce Kazimierz i zbrzydziwszy swój przedmiot nowy wrócił do dawnego, odtrąconego, z czułością dawną. Jagna po śmierci ojca obrała swym opiekunem Stacha i zamieszkała w Krakowie nad Wisłą, Dorota zrospaczona umyśliła się uciec do środków sztucznych. W czasie jednéj z wypraw Kazimierza na Ruś, Mieczysław z pomocą Kietlicza i malkontentów, rozpuściwszy wieść o śmierci Kazimierza, zagarnął Kraków. Za zbliżeniem się jednak nagłém Kazimierza, milczkiem się uniósł; załoga zamku, który był sobie zbudował, poddała się, a ukryty między trumnami Kietlicz, znaleziony i odesłany został na Ruś na wygnanie. Człowiek ten wrócił jednak do Krakowa tajemnie i nie przestawał knuć zdrady. Dorota na wiadomość, że jest tu czarodziej z Rusi (za takiego się podał) uprosiła go o napój miłosny, który przy wymówieniu imienia miał podać królowi, faworyt jego i jéj, *Wichfried.* Ale Kietlicz do żądanego napoju wmieszał truciznę. Wychyliwszy ją Kazimierz w czasie uczty, upadł i życie wyzionął. Jagna, która już przedtém przyjęła była powolny jad, by uwolnić księcia od siebie a siebie od ciężaru życia, na tę wiadomość zgasła. Dorotę, którą strzegła tylko opieka króla, bracia za marnotrawstwo i nierząd zamknęli do wieży. Stach, który dowiedziawszy się tajemnicy Jagny, przestał był marzyć o związku małżeńskim, pokutne i po śmierci księcia prowadził życie.

W takich ramach rozwinięte są trzy ostatnie powieści historyczne J. Kraszewskiego. O stronie ich tak historycznéj jak artystycznéj toż prawie powtórzyć wypada, co powiedzieliśmy mówiąc o piérwszych pięciu; to jest: iż jakkolwiek nić powieściową każdéj oprócz historyi stanowi i różność intryg z życia prywatnego czerpanych, właściwym jednak każdéj z nich bohatérem, t. j. przedmiotem najwięcéj wzbudzającym zajęcia i najwięcéj łączącym owę różność w jedności, jest nie bohatér intrygi, nie ta nawet lub inna osobistość dziejowa, ale *kraj* w danym okresie; iż wykład powieściowy cechuje wszędzie: pokój, powaga i umiejętność przejęcia się duchem i charakterem danego czasu, i wreście, iż przymiotem głównym w ekspozycyi, tak tu jak i we wszystkich innych powieściowych utworach Kraszewskiego jest: charakterystyka osób. Charakterystykę tę kreśli autor już opisem, już przez akcye, już przez dyalog. Dyalog to najsilniejsza strona jego powieściowego talentu. Formą tą kreśli autor wszystkie swoich postaci odcienia psychiczne i formą tą rozwija najrozmaitsze z położeń płynące kwestye, społeczne, religijne, obyczajowe i t. p. i w każdéj z tych czyni nawet nieraz mistrzoskie dotknięcia. Słowa tego dyalogu lubo bez archaizmów nie wydają się oderwanemi od swoich wieków; pamięć na umysłowy poziom danego czasu, unikanie wyrazów nowszych, wtrącenie od czasu do czasu jakiego starosłowiańskiego, kończenie niekiedy frazesów jednosylabnie, i t. p. dostateczne są do utrzymania barwy innego wieku.

Dodajmy jednak, iż gdy trzy obecne powieści krokiem bliżéj weszły w czas kronik i tém samém więcéj się mogły przejąć sobie właściwą barwą — historycznością, tedy bliższy téż i na ten ostatni przymiot wzgląd mieć musimy. Dwa pierwiastki: artystyczny i historyczny jakże się łączyć mogą? w powieści z zadania *historycznéj* o ile dopuszczają się wzajem? Powieść historyczna przez to samo, iż jest *powieścią*, czerpać musi zapewne nietylko z kronik, lecz i fantazyi; lecz przez to samo, iż jest *historyą*, strzedz musi i pewnych granic w bujaniu fantazyi. Granice te są zdaniem naszém następne: Jeżeli wynalazki fantazyi są tylko dopełnieniem i rozjaśnianiem znanych z historyi faktów, jeżeli nawet dają nam wypadki, postaci, całkiem historyi nieznane, lecz czynność ich nie sprzeciwia się w niczém dziejowym faktom i jest w duchu i ramach znanéj historyczności, tedy pomysłów takich nietylko nie mamy prawa uważać za wykroczenie, lecz stosownie do barwy powieści, raczéj za jéj zaletę, przyrost dziejowy. Lecz za ujemność przeciwnie, liczyć wypada, jeżeli w kreśleniu osób i faktów podaje szczegóły, które są jawnym kontrastem z podaniem kronik.

Te zalety lub ta ujemność, jakże się wyraziły w trzech powieściach o których mowa? wspomnijmy tu pokolei.

W powieści *Królewscy Synowie* mimo czterotomową jéj rozciągłość, wszystko prawie, jak już wspomnieliśmy, jest historycznem. Synów księcia autor słusznie nazwał synami króla, bo nawet synowie Krzywoustego nieraz w aktach krajowych i nawet w obcych królami byli mianowani, a tym więcéj tak byli nazywani zapewne w stosunkach domowych. Stosunki wzajemne dwóch braci, Zbigniewa i Bolesława, opisał szczegółowie spółczesny im kronikarz Gallus; Kadłubek, który w kronice swéj pisał raczéj filozoficzno-poetyczny komentarz do dziejów jak dzieje, niektóre z rysów tego stosunku podniósł wymową, Długosz poszykował fakta chronologicznie. Według Galla i według tych historycznych tradycyj skreślił téż właśnie Kraszewski powieść obecną. Jéj pierwszo i drugorzędni bohatérowie jak król Władysław, jego żona Judyta, Bolesław i Zbigniew, Sieciech, Magnus, Wojsław, arcybiskup Marcin, Skarbimir, są to postaci ściśle historyczne; wszystkie téż jéj główne ustępy, o których wzmiakowaliśmy, jak oto: bytność Zbigniewa w klasztorze, szczegóły pobytu we Wrocławiu, w Kruszwicy, Gnieźnie, protekcya arcybiskupa Marcina, poróżnienie się braci o dowództwo, prześladowanie Sieciecha, związek braci przeciw Sieciechowi i ojcu, pojednanie w Żarnowcu, słabość księcia dla ulubieńca, nawet ucieczka jego na łódce z obozu synów, kapitulacya Płocka, wygnanie Sieciecha, wojna braci, szczegóły zdrad Zbigniewa, wojny z cesarzem i t. p. również historycznemi są ściśle. Stosunki Judyty i Sieciecha jakkolwiek wyraźnie historycznemi nie są, są jednak nader prawdopodobne; i owszem, uważać można, iż Gallus ustęp swój poświęcony w kronice Sieciechowi kończy słowami: „lecz dosyć już o królowéj i o Sieciechu“ (II. XVII), chociaż nie czytamy w nim nic o królowéj; wniosek więc, iż było coś w ustępie i o królowéj, co jednak uważał następnie za właściwe kopista opuścić, albo i sam autor przemazać.

Trzeciorzędne osoby w powieści: nasadzeni od Sieciecha i od królowéj do boku Zbigniewa dla podburzania go przeciw bratu: rycerz *Sobiejucha* i faworyta *Greta*, jakkolwiek niehistoryczne, prawdopodobne również, bo jeśli były działania, nie mogły być bez swych następstw.

Pomysłem również fantazyi jest szczegółowy opis spisku urzędowego przez Sieciecha na życie Bolesława, nasłanie do jego boku jednego ze spiskowych *Strzegonia*, skrucha następnie tegoż i spowiedź z winy; gdy jednak kronika Galla mówi wyraźnie, iż była

wieść o tym zamiarze Sieciecha, tedy prosta jest rzecz, że być musiała i podstawa téj wieści, były szczegóły wykonania zamiaru, był ktoś, kto je zdradził i t. p.; ustęp ten może się więc tylko uważać za trafne dopełnienie do dziejów, nie zaprzeczenie im.

Jest wszakże w téj powieści i kilka szczegółów, które już są jawnym kontrastem ze szczegółami kroniki, a do takich należą, np. następne: Magnus figuruje w powieści do końca jako starosta wrocławski, według kroniki był on po kapitulacyi usuniętym z Wrocławia, a następnie wspominanym jest już za Bolesława jako starosta mazowiecki; w powieści w obozie kruszwickim grają rolę szczegółową Czechowie, według kronik w Kruszwicy byli tylko Pomorcy i Prusacy, Czechowie zaś korzystając właśnie z odciągnienia wojsk pod Kruszwicę wpadli do Szlązka; w powieści czytamy szczegółowy opis zwoływania i odbywania się sejmu w Płocku w celu wyznaczenia dzielnic dwom braciom po kłótni ich o dowództwo, spółczesny Gallus mówi przeciwnie, że ojciec po owéj kłótni „*natychmiast* im osobne dzielnice wyznaczył“ (*confestim* inter eos regnum decernit“ II. VII). Pierwszy zjazd panów, o jakim wspominają nasze kroniki, był za Władysława syna Krzywoustego dla oznaczenia stosunków jego do braci (1140), a i sam autor w powieści Stach z Konar wyraża, iż pierwszym sejmem polskim był zjazd w Łęczycy; przypisany w powieści Skarbimirowi czyn, iż do złota, którym go chciał przekupić cesarz Henryk, dorzucił swój pierścień, kroniki przypisują Skarbkowi, i t. p.

Takie kontrasta w powieści historycznéj z historyą, to według nas ujemności, dodać jednak wypada, iż i charakter ogólny téj o któréj mówimy i szczegóły jéj zbyt przeważają barwą ścisłéj historyczności, iżby skazy te za skazy większéj wagi miane być mogły. Kończąc zaś o tle dziejowości, dodajmy, że i w obecnéj powieści jak w innych spotykają się téż i te rysy, które za szczęśliwe godzenie pomysłów z historycznością uważać się mogą; jak to np. kronika Galla wspomina, iż w czasie pasowania Bolesława na rycerza dały się słyszéć słowa prorocze, powieść mówi, iż wyraził je sam Gallus; mówiąc o owéj piosnce, którą według kroniki miano śpiewać w obozie niemieckim na cześć Bolesława, autor wyraża, iż ją śpiewali Czechowie, którzy przeciw woli powołani byli przez cesarza na sojuszników; a podwójnie podawaną tradycyą w kronikach o końcu Zbigniewa, który według jednych miał być w więzieniu życia pozbawionym, a według drugich tylko oślepionym, godzi w ten sposób, iż oprawca, który go miał oślepić, będąc pchnięty nożem przez swą ofiarę, w obronie swéj pozbawił go życia. Słusznie téż czyni autor, iż o szczegółach bitwy na *Psiém polu* opowiedział według późniejszych tradycyj,

że bowiem bitwa wydana przez Bolesława zastępom niemieckim po odstąpieniu ich od Głogowa była stanowczą, potwierdzają to i kroniki niemieckie i sam ten fakt, iż owa „innumerosa multitudo“ i „giganteae legiones“ były zmuszone wyjść z kraju, aby więcéj nie wrócić. Iż kronika Galla nie wspomina psiego pola jak to czynią bliskie następne mogło być powodem, iż okoliczna ta nazwa nie stała się jeszcze była głośną w kraju, a przez kronikarza, najprędzéj cudzoziemca, rozumianą nawet nie była.

Wszakże główną cechą powieści, jako powieści, jest dramatyczność jéj, a w téj charakterystyka osób, na tę więc bliższą zwrócić musimy uwagę. Charakterystyki osób szczególnych już rozwinięte, już krótkie, wszystkie są w powieści mistrzoskie, a zachowaną téż wszędzie jest ściśle i charakterystyka wieku. Główną barwą wieku, z którego jest powieść, była rycerskość, i trafnie téż ją właśnie przedstawił główny bohatér powieści, t. j. główny bohatér i spółczesnéj kroniki Galla: *Bolesław*. Bolesław (autor zowie go wszędzie zdrobniale *Bolko*, jak kronikarze ówcześni Mieczysława zwali *Mesco*, Gedeona *Gedko* i t. p.), ten jedyny prawy syn Władysława, a jeden z najdzielniejszych królów polskich, dobitnie a zgodnie wszędzie ze szczegółami kroniki tu skreślony. Zaraz na piérwszych kartach powieści, wzmiankując o wieku jego dziecinnym, tak go autor określa: „Śliczniejszego pana nad to chłopię, nad to dziecię wymodlone od Boga, widziéć było trudno. Chociaż jedenaście ledwo lat miał skończonych rycerzem mógł się już nazwać, szanowano go jako dorosłego męża. Bił ci już Pomorzan, krew przelewał, raną się chlubił, śmierci w oczy zaglądał nie drgnąwszy. Mówili nań niektórzy: Bolesława to owego wielkiego potomek prawy, odżyje w nim tamten, udał się w niego. Miał odwagę niezłomną Chrobrego a Szczodrego szał wojenny i wspaniałość.“ Opowiada autor daléj za kronikarzem, jak będąc jeszcze (Bolesław) dzieckiem, walczył z dzikiem, przebił niedźwiedzia, wracał zwycięzcą z wypraw na Morawę i przeciw Pomorcom. Religijny, waleczny, szlachetny, z jakiém zawsze był uwielbieniem dla ojca i z jaką rozpaczą był w sercu, kiedy zmuszony ciągnąć przeciw Sieciechowi działał razem i przeciw ojcu, jak w obec jawnych zdrad brata nie zapominał, iż ten jest bratem. W czasie wypraw istotny rycerz chrześciański z wieku wojen krzyżowych, spowiadał się i mszy słuchał w obozie przed każdą walką, z równą żądzą wzdychając i do nawrócenia pogan i do ich krwi. Wszystkie téż główne walki, zwycięzkie czyny, które autor w innych powieściach zwykle kreślił przez omówienia, tu wszędzie z całą szczegółowością i z całą historyczną przedmiotowością są określane. Tę piękną i świetną postać raz tylko (i sądzimy niesłusznie) przyćmił autor w po-

wieści, gdy tak zawsze powściągliwy, szlachetny, nawet w zajściach swych z bratem, w kłótni przy ciele ojca o pozostałe skarby, zowie go „nieprawym,“ „przybłędą;“ o kłótni téj wspomina wprawdzie i kronika, lecz słów skromniejszych wymagała sama jedność rysunku. Winnym śmierci Zbigniewa autor nie czyni brata, i za przesadną uważa tę pokutę, jaką czynił po jego śmierci.

Postać arcybiskupa Marcina, jego wpływ na króla i na królową, jak w ogólności cały kolor religijny kraju w owéj epoce, trafnie równie w powieści skreślony. Autor nie zapomina wprawdzie, iż ten czas, który kreślił, był to dopiéro wiek piérwszy wprowadzonego do kraju chrześciaństwa; ztąd też mowa tu nieraz o małżeństwach uważanych jeszcze za ważne lubo bez pobłogosławienia w kościele, o małżeństwach samych duchownych i o mieszaniu się jeszcze wyobrażeń! Wzmiankując n. p. o posłuszeństwie na wezwanie *dzwonów*, autor mówi: „Pagańskich jeszcze na pół obyczajów ludzie, słysząc to powietrzne wołanie, szli posłusznie do kościoła czując się jakby ciągnieni czarodziejską siłą; w głosie tym było zarazem błogosławieństwo i groźba“ (II. 31.). W inném miejscu wzmiankując o skrusze nasadzonego przez Sieciecha na Bolesława *Strzegonia*, mówi znowu: „Człek był prosty, sobie samemu nie ufał, nie wiedział czy się miał księdzu spowiadać, czy wróżki poradzić. Poganina jeszcze w nim było dużo, bo od młodu na wojnach, o religii myśléć ani się jéj uczyć nie miał czasu. Z innymi razem na pół pogany obawiał się księży jak czarowników.“ Mimo to jednak nie był to już stan kraju z czasu Mieczysławów, ani nawet Bolesława Śmiałego; ani o wskrzeszeniu pogaństwa, ani o naruszeniu chrześciaństwa nikt już wcale nie myślał; i owszem ta walka władzy świeckiéj z kościelną, któréj kraj za Śmiałego był świadkiem, była to jakby miniatura téj, którą niegdyś przebyło całe chrześciaństwo w swojém nastaniu, siła ziemska przemagała zawsze na oko dobitnie, ale rzetelnym zwycięzcą okazywała się w końcu nowa nauka. Biskup poległ na Skałce, ale duch zabitego przeszedł w duch kraju, i sami następcy królewscy o dalszéj walce z kościołem myśléć nie mogli. Król Władysław nie mógł zapomniéć, iż brat jego w skutek téj walki musiał ustąpić z kraju, a królowa Judyta, iż brat jéj boso szedł do Kanossy; mimo całą zawziętość przeciw synom, z ojcem walczącym, i mimo całą słabość dla ulubieńca, Władysław jak w Żarnowcu na wdanie się biskupów, tak w Płocku na przemówienie arcybiskupa i obu synom przebaczył i przystał na wygnanie Sieciecha.

Krótko ale dobitnie, odkreślone są charaktery Sieciecha i Judyty.

O piérwszym w któréjś wzmiance mówi n. p. autor: „Sieciech (dnia tego) był podobniejszym sam do króla niż do wodza stojącego pod rozkazaniem pańskiém. On tu rozrządzał, on władał. Jemu w oczy patrzano i skinienia słuchano. W pośród wszystkich górował i postacią i twarzą i ubiorem wspaniałym. W pięknéj męzkiéj jego twarzy widać było zarazem rycerza, silnéj woli dostojnika i zalotnego człeka, który sobie serca chciał zjednać.“

O królowéj Judycie: „Lubiła królowa to, co świeciło i co wonném było i co się uśmiechało, niosąc z sobą wesele, śpiewy, gędźbę, twarze młode i mowy swobodne, przedłużała swoję młodość okłamując się sama.“

Charakter drugiego bohatéra powieści Zbigniewa trudniejszym był do ujęcia, szczegółowie jednak, w rozwinieniu i zdaniem naszém z wiernością historyczną jest wszędzie skreślony. Na ten rysunek jako i główny w powieści i oryginalniejszy wskażemy tu bliżéj. Niektórzy z historyków naszych w ostatnich czasach próbowali rehabilitować sławę tego księcia zwracając uwagę, iż mamy tylko o nim świadectwo jednostronne (Gallus), wszakże nienaruszony żadném inném świadectwem fakt, iż naprowadzał on nieraz na kraj swój nieprzyjaciół i z nimi walczył, nie dozwala inaczéj pojmować i kreślić postaci téj jak nader ujemnie. Autor przypuszcza nawet, iż w odwrót obyczajom wieku, nie był on wcale rycerzem a raczéj tchórzem, a przypuszczenie to ma opór swój na tém, iż się wychowywał w klasztorze, iż główne czyny, któremi się odznaczył, były to tylko podstępy i wreście, iż z rysem tym zgodną jest nawet ta wzmianka w kronice Galla: że książę ten dowiedziawszy się w Gnieznie, iż listy jego do Czechów pisane zostały przejęte: „Mimo swe zamki i miasta, nie próbowawszy nawet boju, jako jeleń uciekł za Wisłę“ (II. 47). Jego przeto, obok dumy, tchórzostwo, obok niejakiéj nauki klasztornéj przewrotność; chciwość władzy i chciwość bezczynności, to są rysy, które mu autor trafnie w powieści nadał. Tak kiedy wrocławianie, do których najprzód był przybył, nie radzi z krążących wieści, dopytywali się bliżéj o jego przymioty. *Dobek z Morawicy*, który go był uprowadził z klasztoru, rzekł: „To najgorsze, żem dobrego w nim znaléźć nie mógł. Jak na suchéj płonce, com zaszczepił, zmarniało, a dzikie wilki bujają. Ugiąć się, usłuchać, ukorzyć nie umiał nigdy. Rozumu nie brak, słowo ma łatwe, bystrość wielka, ale przewrotność w nim jeszcze większa.“ Rysów jego fizycznych nie określił też autor pochlebnie. Kiedy w czasie przybycia króla do Gniezna, młody Bolesław przechadzając się po mieście z Doliwą, ujrzał siedzącego w więzieniu Zbigniewa, Doliwa rzekł: „Ohydna twarz, z za-

kraty wydał mi się jak zwierz dziki, stworzony, aby siedziéć za kratą.“ Owego rozumu swego umiał używać tylko na podstępy, a także i na usprawiedliwienie tchórzostwa. Kiedy go napędzano do koni, do zbroi i sprawę rycerską wystawiano jako naukę, mówił: „Wy sobie z tego wielką mądrość czynicie co żadną nie jest. Bić się uczyć nie trzeba, bydlę nawet to umié. Każdy się z tém rodzi, że tłuc potrafi.“ Mimo to jednak nader zazdrościł młodszemu bratu jego dzielności i ustępować mu nie chciał. Kiedy ojciec wysłał obu synów przeciw Pomorcom, kronika krótko tylko wyraża, iż „poróżnili się o dowództwo.“ Chwilę tę, to piérwsze poróżnienie się zgodnych dotąd braci, autor dramatycznie rozwinął. Bolko szczęśliwy z wyprawy a nawykły już rozkazywać, zwyciężać, nie wątpił, że razem z wielbiącym go wojskiem, posłusznym mu będzie i brat, gdy więc wszedłszy w nieprzyjacielską ziemię dał rozkaz do pochodu, i wszyscy już się ruszyli, naglił o to i brata, ale ten stał.

„Ja spocząć muszę, rzekł Zbigniew, a no, potém zobaczymy.

— Jak to zobaczymy? odparł Bolko, a cóż to masz patrzéć, gdy wszystko opatrzone?

Zbigniew spojrzał bystro z pod brwi zmarszczonych. — Juźcić ja opatrzéć muszę, *gdyż przy mnie dowództwo.*

— Dowództwo przy tobie? wykrzyknął Bolko ze śmiechem. Nauczże się wprzódy na koniu siedziéć, oszczepem władać. Tyś jeszcze nie wojak, pierwsze pole twoje a już ci się dowództwa zachciewa? Chyba, żeby nas w puch rozbito! Nie znasz ani Pomorców ani ich kraju!

— Ja *starszy*, pod niczyje rozkazy iść nie myślę.

— No, to siedź w Santoku i zostań... ja też pod twoje rozkazy nie idę, tyś nie żołnierz.

— Ale syn króleski, jako i ty, i starszy. Czyń co chcesz, inaczéj nie będzie.

— No, to nie będzie nic, krzyknął porywczo Bolko, na zgubę ludzi prowadzić nie dam.

— Jeżeli sam wojny nie znam, znajdę takiego co za mnie będzie znać i powiedzie, ale z méj ręki.

Bolko się z ławy zerwał.

— Na prawdęś to rzekł?

— Nie na żart.

— No, to ja téż ci powiem na prawdę, że pod tobą, ani wodzem z twojéj ręki, nie idę. Wezmę z sobą połowę ludzi, bierz ty drugą i probujmy szczęścia.

Chciał wychodzić w podwórze, gdyż go już piekło i pilno mu było, gdy Zbigniew zatrzymał:

— Ja cię ztąd nie puszczę, nie pozwolę, jam tu dowódcą nie ty.

Bolkowi krew zawrzała:

— Hej! zakrzyknął, zemną dobrém słowem wiele można dokazać, ale rozkazywać mnie i siłą brać, nie twoja rzecz. Wierz mi, nie probój się mną, nie zadzieraj z bratem! Gdyśmy cię z więzów uwolnili pokornym byłeś, takim zostań, lepiéj ci z tém będzie. Równym cię chcę znać, wyższym nie.

Młodemu chłopcu z oczów ogień się sypał, drżał mówiąc, postawę miał męzką i rycerską, która postrach wyrażała.

Zbigniew pobladł i trząsł się.

— Com rzekł to strzymam, odezwał się zniżonym głosem.

— A ja com powiedział, od tego nie odstąpię, odparł Bolko śmiało.

— Ni ja.

— Ani ja.“ (I. 82.)

Ramy artykułu nie pozwalają nam przytaczania równie drobnych odcieni charakteru Zbigniewa we wszystkich jego następnych przejściach, dla dotknienia jednak obrazu kreślonego wieku pod względem obyczajowym, przytoczymy tu jeszcze ustęp z zalecanek tego głównego bohatéra na dworze królowéj.

Pierwiastku erotyczności, tego głównego źródła ożywienia każdéj powieści, nie znajdujemy prawie w obecnéj. Uczucie Judyty dla Sieciecha było raczéj spekulacyą jak erotyzmem i razem z usunieniem go znikło. Z zawodu Bolesława, dowiaduje się tylko czytelnik nawiasem, że poślubił *Zbisławę*, miłostki zaś Zbigniewa skreślone odpowiednio charakterowi jego i wieku. Wiekom średnim idealna miłość nie była zapewne obcą, dowodem Heloiza, dowodem znane wota rycerzy dla swych idealnych kochanek, dzieje nasze nie przechowały jednak tradycyi podobnych uczuć, i autor wzmiankując w obecnéj powieści o obyczajach romantycznych w kraju z owego czasu, słusznie sądzimy, mówi:

„W owych (u nas) czasach pierwotnych, cale inny był stosunek z niewiastami, swobodniejszy daleko i śmielszy. Mówiono sobie w żartach takie piękne rzeczy, jak w dramatach Szekspira, jak dziś nasi parobcy, folwarczni dziewczętom prawią. Choć we Francyi *Cours d'amour* się poczynały i słodkie słowa a dowcipne igraszki w użyciu były i w modzie, igrano tak grubo, że dziś zagadek, które książęta królewnom zadawali, trudnoby w przedpokoju powtórzyć. Królowa

Judyta lubiła, gdy około niéj o takich wesołych rzeczach mówiono.“

Dwór Władysława Hermana pod względem obyczajowym był kontrastem z dworem Bolesława Śmiałego, jak ten był skreślony w Boleszczycach, tam skromnym i pobożnym był dwór królowéj Wisławy, a odbywały się co dnia swobodne pląsy w komnatach króla; tu przeciwnie pokój i pobożność panowały w pokojach króla, a swobodne zabawy co dnia w komnatach królowéj.

Gdy Zbigniew przybył na dwór a był przedstawiony królowéj, Judyta przyjęła go wdzięcznie, a powziąwszy wnet zamiar dodania mu towarzyszki, któraby stać się mogła narzędziem jéj celów, zaprosiła go na swe wesołe wieczory. Na towarzyszkę tę wyznaczyła dawną i wypróbowaną swą faworytkę *Gretę*, i zamiar ten najskuteczniéj się udał. Zbigniew, znający dotąd tylko obozowe piękności, zachwycony był wdziękiem, chociaż już w istocie mniéj młodéj, ale układnéj damy; i zaraz też rozpoczął zaloty, które autor (może trochę à la Zola) tak kreśli:

„Rozmowa rozpoczęła się dziwnie, od usuwania się na ławie i napastliwego zbliżania. Zbigniew zwyciężył, dano mu przysunąć się blisko. Był pewnym, że zdobył siłą to miejsce.

Nim przyszło do słów, śmiech się rozsiadł na ustach Grety, która aż zakrywała usta i oczy, tak się jéj niepomiernie śmiać chciało. Zbigniew śmiał się tak, że ryhocząc szerokiemi usty, nie kryjąc się, chwaląc przed wszystkimi z zaczepki i walki. Greta się nie wstydziła choć na nią zewsząd patrzano.

— Jak to wasza miłość napastliwy jesteś i dla niewiast niebezpieczny. Prawdziwie!

— Byłoby obrażającém, rzekł Zbigniew, ażebym siedząc około tak ślicznéj panny nie starał się jéj sobie pozyskać.

— O! ja wcale nie jestem piękna.

— Jesteś najpiękniejsza! klnę się, żem takiéj nie widział jeszcze nigdy!

— Boś miłościwy pan w klasztorze nie widział żadnéj, śmiejąc się rzekła Greta.

— Piękna, najpiękniejsza Greto! gdybyś mię przyjęła za miłośnika, kochałbym cię jak należy.

Greta zdawała się namyślać. Nie wypadało jéj przyjmować tak łatwo, co tak bardzo zdobyć pragnęła. Podrożyć się trochę musiała.

U stołu inni się zajmowali, tak dobrze wszelaką swawolą. Błazen królowéj Spatz takie wygadywał słone rzeczy, iż się izba śmie-

chem rozlegała, a Zbigniew mógł tymczasem bez przeszkody z Gretą się zabawiać.

— No, powiedzcież mi, odezwał się w końcu, jakżeż to będzie z nami? i mówiąc to już Gretę obejmował, a Niemka choć się niby wpół wymykała, nie broniła się nadmiarę.

— Ohydne zwierzę, mówiła sobie w duchu, w twarz mu patrząc zbliska, ale i do takiego przyzwyczaić się można. I zapalała go coraz mocniéj niebieskiemi oczyma“ (II. 119.).

A. Tyszyński.

(Dok. nastąpi).

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Rozbiór krytyczny pieśni „Bogarodzica“ napisał dr. Antoni Kalina. Lwów, nakładem Włodzimierza Spasowicza. 1880, str. 122.

W każdéj prawie sferze poszukiwań naukowych napotykamy pytania, które, rzec by można, mają jakiś szczególny urok: uczeni, ulegając niby prądowi magnetycznemu, z upodobaniem zwracają się do nich i szukają odpowiedzi, któraby zadowolniła badawczy umysł w zupełności. Takie właśnie zajmuje stanowisko między pomnikami dawnego piśmiennictwa naszego pieśń „Bogarodzica.“ Po Feliksie Bentkowskim Rakowiecki, po Dominiku Szulcu Wacław A. Maciejowski, a późniéj Przeździecki, N. Bętkowski, ks. Pękalski i bezimienny w Przeglądzie Lwowskim (Listopad 1871 r.) oraz Czech Jireczek zastanawiali się nad dawnością téj pieśni, częściami jéj składowemi lub domniemalnym autorem i wiele trafnych zebrali spostrzeżeń. W ostatnich czasach zajęcie dla tego przedmiotu niemal jeszcze bardziéj wzrosło. Dr. Ks. Liske wykazał, iż najdawniejsza, rzekomo autentyczna, wzmianka o pieśni z roku 1386 pochodząca nie ma żadnego znaczenia, znajduje się bowiem w akcie podrobionym dopiéro w XVI wieku, a jednocześnie prawie pp. Władysław Nehring, Rymarkiewicz i Roman Pilat ogłosili obszerniejsze studya nad starodawnym hymnem bojowym. Dziś oto przybywa nam znowu „Rozbiór krytyczny pieśni,“ dokonany przez dra. Kalinę, autora poważnych prac, pomieszczanych w czasopismach polskich i niemieckich (ob. Archiv für slavische Philologie). Krótka wiadomość o téj książce nie będzie, jak mniemamy, dla czytelników obojętną.

Wspomniawszy, że podanie, przypisujące autorstwo naszéj pieśni ś. Wojciechowi, nie znajduje w dziejach uzasadnienia, dr. Kalina przyznaje, zgodnie z prof. Nehringiem, iż szukanie jéj źródła na ziemi czeskiéj „ma pewne znaczenie,“ ze względu na niewątpliwy wpływ, jaki Czechy na kraj nasz wywierały, lubo oznaczenie granic

tego wpływu nie jest łatwém. P. Kalina zwraca daléj uwagę czytelnika na metodę, jakiéj się trzymać zamierzył. W krytyce starych zabytków piśmiennych należy brać pod rozbiór zarówno formę ich jak treść. Wskrzeszenia pomnika w pierwotnéj postaci, co stanowi ostateczny cel poszukiwań, można dokonać tylko przez porównanie różnych odpisów i oznaczenie wzajemnego ich do siebie stosunku, a to przy pomocy znajomości dokładnéj języka staropolskiego w różnych jego epokach i nie spuszczając z uwagi różnicy, jaka zachodziła między spółczesnemi, ale odmiennemi co do swego przeznaczenia praktycznego pomnikami piśmiennemi, np. między zabytkami kościelnemi a sądowemi.

Autor przeprowadza szczegółowe porównanie odmianek między dziewięciu głównemi tekstami pieśni i układa tablicę, w któréj wszystkie istotne waryanty rozdzielają się między dwie wielkie grupy a jednę podrzędną; tablica uwidocznia zarazem stosunek pokrewieństwa tekstów pod względem liczby jednakowych w nich waryantów.

Dalszy rozbiór zajmuje się określeniem tego pokrewieństwa na podstawie treści zwrotek i stopniowo doprowadza badacza do narysowania drzewa genealogicznego znanych tekstów; wedle tego rodowodu, z pierwotnego źródła wypłynęły bezpośrednio tylko dwa teksty krakowskie, pochodzące z XV wieku, wszystkie zaś inne w odleglejszém zostają z owém źródłem pokrewieństwie, co jednakże nie zawsze przesądza o względnéj ich poprawności co do 27 odmianek zasadniczych.

Rozpoznaniem więc téj ostatniéj kwestyi zajmuje się następnie p. Kalina. Wspierając się na zasadach starodawnéj ortografii, bada wartość fonetyczną znaków graficznych, któremi się posługują rękopisy, rozbiera różne objawy fonologiczne; zaznacza np. między innemi fakt, że u nas dawniéj „egzystencya miękkich zgłosek sięgała daléj, aniżeli w dzisiejszym języku polskim to ma miejsce.“

Tak przygotowawszy sobie pole dalszego badania, autor zwraca uwagę na myśl i logiczny związek, zachodzący lub zrywający się między kolejnemi zwrotkami, wskazuje na pieśni czeskie, które za wzór służyć mogły, wydziela części składowe, z których pieśń w tekście pierwszym krakowskim powstała, dochodzi w jaki sposób odbyła się ta aglomeracya i jakim ulegała przeobrażeniom w tekstach grupy drugiéj. Tym przekształceniom całości, równie jak poszczególnym częściom składowym autor stara się hypotetycznie naznaczyć właściwe daty, i w ten sposób znajduje, że dwie części, zawarte w pierwszych siedmiu zwrotach, sięgają *co najmniéj* połowy trzynastego wieku.

Celem sprawdzenia powyższych wniosków dr. Kalina zajął się rozbiorem kompozycyi wierszów. Zastanowiło nas tu jedno zdanie. „Że od ułożenia wierszów, powiada autor, zależy także układ melodyi pieśni, a nie przeciwnie, jakby się komuś zdawać mogło, jest tak naturalném i koniecznėm, jak naturalném jest, że najprzód istniéć musiał tekst pieśni, a dopiéro dorabiano dla niego melodyą w rozmaitéj formie, stosując ją podług tekstu.“ Znane są wszakże fakta, nie podchodzące pod to prawidło. Wszystkie np. piosenki Berengera pisane były do gotowych już i upowszechnionych wśród ludu francuskiego melodyj. I u nas podobnież, kiedy twórczość pieśniarska doznawała w gorętszych chwilach mocniejszego bodźca, nowe teksty dorabiano do znanych zdawna melodyj. Czyliż więc bezwarunkowo niemożliwą jest taka kombinacya, że wiersze ułożone np. w połowie XIII wieku podłożono pod nutę, którą lud umiał śpiewać już w poprzedniém stuleciu? Zresztą uwaga to nawiasowa.

W pieśni naszéj widzimy jawny „wpływ panującego zwyczaju pisania w ulubionych przeważnie sześcio- i ośmiomiarowych wierszach; wiersze zaś pojedyncze łączą się z sobą w ten sposób, że oprócz rymów końcowych, spajających pojedyncze wiersze w jednę całość, czyli zwrotkę, pojawiają się jeszcze rymy wewnętrzne.“ Taką jest ogólna charakterystyka budowy wierszowéj. Między zwrotkami jednak zachodzą widoczne różnice: wiersze są dziesięcio-, ośmio- i sześciozgłoskowe, a zwrotki liczą wierszy od dwu począwszy aż do sześciu; według więc kompozycyi metrycznéj zwrotki rozpadają się na dziewięć grup, który to podział przedstawia zupełną zgodność z wynikami otrzymanemi poprzednio z analizy pieśni pod względem logicznego następstwa myśli. Główne grupy są następujące: 1) zwrotka piérwsza o pięciu wierszach ośmiozgłoskowych jest pieśnią do Bogarodzicy; 2) zwrotka druga i trzecia stanowią pieśń do Boga Ojca, zawierającą sześć wierszy z odśpiewem „Kyrielejson;“ 3) pieśń wielkanocna, na którą się złożyły czterowierszowe zwrotki, czwarta, piąta i siódma; 4) pieśń postna o męce Pańskiéj obejmuje piętnaście wierszy sześciozgłoskowych, rozdzielonych porówno między zwrotki dziesiątą, jedenastą i dwunastą; 5) pieśń do Matki Boskiéj o pięciu wierszach sześciozgłoskowych. Resztę stanowią dodatki właściwe niektórym tylko tekstom i wtręty, przyczepione do grup wyżéj wymienionych. Trzy piérwsze grupy odznaczają się „dziwnie wykończoną techniką;“ dalsze zwrotki nie mają już tak artystycznéj formy, „lecz dzieląc z sobą na jedną modłę przykrojony szematyzm prosty, równają się zwykłym rymom kościelnym, jakich pełno dostarczają nam owe czasy.“

Okazuje się zatém, iż zabytek, noszący nazwę pieśni „Bogarodzica,“ składa się z kilku oddzielnych utworów: jest to rodzaj Kancyonału obejmującego pieśni na różne uroczystości i do różnych świętych, zebrany po większéj części w XIV wieku. Późniejsi kopiści dodawali doń dla zaokrąglenia nowe ustępy, a całość od piérwszego wyrazu otrzymała nazwę. Formy językowe wskazują, że mianowicie część piérwsza sięga niezmiernie odległych czasów. W formach tych dr. Kalina nie dopatruje czechizmów, jak to powszechnie przyjmowano, lecz uznaje one za archaiczne zabytki języka polskiego. „Odmienna postać jego od dzisiejszéj nadaje mu właśnie charakter staropolskiego języka, który musi mieć także swoję historyą, podobnie jak ją ma naród nim mówiący, a rozwój jego i przemiany pod względem formy i treści, dzieją się według sił żywotnych, działających w pewnym kierunku na jego ustrój, tak samo, jak w świecie przyrody rozwija się i zmienia wszelki organizm, według pewnych praw na niego oddziaływających.“

Ostatnią część swéj pracy poświęcił autor rozbiorowi melodyi, w czém, jak oświadcza, okazał mu uprzejmą pomoc ksiądz proboszcz Bażański. Wbrew naturalnie nasuwającemu się przypuszczeniu, iż jak tekst czeski służył za wzór polskiemu, tak i melodyą mogliśmy zapożyczyć od naszych zachodnich pobratymców, głośnych z wysoko rozwiniętéj muzykalności, ks. Bażański przekonał się, że melodya polska jest zupełnie odmienną.

Dawniejszy układ melodyi, dochowany w rękopisie krakowskim, przypada na wiek XIV. Rozpada się on na dwie, wyraźnie samoistne części, z których piérwsza, odpowiadająca początkowéj zwrotce tekstu, w ścisłéj jest harmonii z metrycznym układem wiersza, ma budowę logiczną, jędrną a ton wzniosły, silnie pobudzający; w części zaś drugiéj, która należy do dwóch następnych zwrotek, przebija się duch słabszy pod względem układu muzycznego i wartości melodyi; ton posępny i niejasność nie pozwalają stawiać téj części na równi z piérwszą. Badacz dosłuchuje w niéj niby zabłąkane echa hymnów oryentalnych (?). Melodya rękopisu częstochowskiego jest modyfikacyą krakowskiéj, ale obejmuje tylko cztery wiersze piérwszéj zwrotki. Melodya tak zwanego „autentyku“ gnieźnieńskiego, lubo zdradza niejakie powinowactwo z krakowską, różni się jednak rozciągłością, gdyż obejmuje cały tekst pieśni, i układem muzycznym; nóty jéj wskazują znacznie późniejsze pochodzenie. Przeciwnie, melodya krakowska ma nóty starodawne i nie da się w żaden sposób podłożyć pod dalsze zwrotki tekstu, które musiały zatém mieć swoje osobne melodye, dzisiaj nam nieznane. Analiza więc

muzykalna doprowadza do wniosków, potwierdzających rezultaty osiągnięte przez autora poprzednio na innéj drodze.

Pożądaną byłaby publikacya, zawierająca podobizny nót wszystkich trzech rękopisów, wraz z transkrypcyą melodyi według dzisiejszego sposobu: wpłynęłoby to na jéj upowszechnienie w szerszych kołach i dałoby możność innym znawcom dawnéj muzyki kościelnéj i świeckiéj do podjęcia studyów krytycznych i wyjaśnienia genezy melodyj. Zaszczyt nakładu na podobną publikacyą słusznie by przypadał tutejszemu Towarzystwu Muzycznemu.

Praca dra Kaliny nad tekstem pieśni zostanie, bez wątpienia, szczegółowo przez lingwistów rozebraną i ocenioną; my zaś ośmielamy się zamieścić tu pobieżne uwagi, dotyczące pierwszéj zwrotki. W czterech piérwszych jéj wierszach panuje stale stopa ośmiozgłoskowa, piąty jednak wiersz, który w tekście krakowskim pierwszym brzmi: „Zyszczi nam, spuszczi nam, kyrieleyson,“ — nie zgadza się z szematem ośmiozgłoskowym; jeśli bowiem oddzielimy od niego wyraz *kyrieleyson*, poczytując go za odśpiew, wiersz będzie miał tylko sześć sylab, a jeżeli uznamy za organiczną część wiersza, liczba zgłosek urośnie do dziesięciu. Dla usunięcia téj trudności, p. Kalina przypuszcza, że końcowe *i* w obu trybach rozkazujących *zyszczi*, *spuszczi* nie ma znaczenia fonetycznego, nie oznacza pełnego dźwięku *i*, lecz jest tylko znakiem graficznym, miękczącym poprzedzającą go spółgłoskę; wiersz tedy brzmiéć by powinien w taki sposób: *zyszcz nam*, *spuść nam*, *kyrieleyson*. Dla uzasadnienia téj zmiany, autor przy rozbiorze ortograficznym starał się w obszernym ustępie dowieść, że końcowe znaki *y*, *i*, mają znaczenie czysto graficzne. Daleką od nas wszelka myśl zarozumiałego wszczynania sporu z uczonym specyalistą; zdaje nam się jednak, że kończenie trybu rozkazującego samogłoską więcéj odpowiada archaicznemu językowi pieśni, aniżeli dzisiejsze zakończenie spółgłoską, co sam autor (na str. 57—58) przyznaje, lubo potrzebę téj archaiczności odrzuca w tym razie dla tego, iż byłaby zbyt dobitną, wyraźniejszą aniżeli nawet w języku starosłowiańskim i odbijałaby dziwnie od dostrzeganych w innych miejscach końcówek krótkich imperatywu. Można tu wszakże wspomniéć, że i dziś zdarza się czasem słyszeć w ustach ludu tryb rozkazujący, zakończony samogłoską. Uważmy nadto, iż nieprzerwane następstwo po sobie czterech wyrazów jednozgłoskowych brzmi tak chropawo w porównaniu z wierszami poprzedniemi, iż pomimowolnie o słuszności poprawki wątpić przychodzi. Nie jest téż ona, jak mniemamy, konieczną, a ośmiozgłoskową stopę otrzymać można, czytając inaczéj ostani wyraz *kyrieleyson*. Nasza pieśń bojowa w drugiéj części odwzorowana jest wyraźnie z pieśni czeskiéj *Hospodyne pomi-*

łuy ny, będącéj również hymnem bojowym, znanym już w r. 1260, którego autorem, według tradycyi, miał być także św. Wojciech. Owóż pieśń czeska kończy się trzykroć powtórzonym wyrazem *kyrieleyson*, ale brzmiącym krócéj z czeska *krlesz*. Niezrozumiały dla Słowian i trudny do wymówienia wyraz musiał w piérwszych chwilach z konieczności być przez nich przekręcanym: wiemy, że Serbowie Łążyccy w X wieku przerobili go na *ukrivolsa*; bez wątpienia, i Polacy przekręcali go wzorem Czechów, ale dla uniknięcia trudnego zbiegu spółgłosek, musieli wyraz ten wymawiać: *kierlesz*. W takiéj postaci nie potrzebuje on być usuwanym z piątego wiersza, mieści się doskonale w obowiązującéj go stopie ośmiozgłoskowéj, a wiersz brzmiéć będzie: *Zyszczi nam*, *spuści nam*, *kierlesz*.

Na usprawiedliwienie téj poprawki, powołujemy się na bardzo dawne, bo spółczesne kontynuatorowi Kosmasa źródło. Jest niém kronika wołyńska, która pod rokiem 6757, czyli niby 1249, opowiada wyprawę Polaków pod Jarosław. W rzeczywistości zaszła ona jednak wcześniéj, bo znacznie wyprzedziła zgon Konrada mazowieckiego, mniéj więcéj około r. 1245. Wtedy książę Rościsław, przy pomocy wojsk danych mu przez księżnę Grzymisławę, wyruszył na Daniela Romanowica i obległ Jarosław'; Daniel zebrawszy Połówców pospieszył na odsiecz grodowi, pod którym zaszła na brzegach Sanu bitwa. Rościsław natarł na hufiec Danielowego wodza Andrzeja, który z wielkim trudem odpierał atak. Tymczasem Daniel ujrzał Polaków idących dzielnie na jego brata, Wasilka, i śpiewających wielkim głosem *kierlesz* (1). Widzimy z tego, że Polacy, idąc do boju, śpiewali jakąś pieśń, w któréj znajdował się wyraz *kierlesz*; musiał on być ostatnim i wyższemi tonami oddawanym, kiedy posłużył przeciwnikom do nazwania całéj pieśni. Nam się zdaje, że była nią właśnie „Bogarodzica."

Nie można tu przypuszczać, jakoby niesłowiański wyraz *kyrieleyson*, chórem a więc nie dość wyraźnie śpiewany, został niezrozumianym i przekręconym przez pisarza kroniki, zna on go bowiem doskonale i umié dobrze wypisać w tych razach, gdy go śpiewano w prawidłowém brzmieniu. Tak pod rokiem 1146 czytamy u niego, że Dźwinogrodzianie, odparłszy wojska oblegające ich, sławili Boga radośnie, wołając: *kurii elison* (2). Gdy późniéj, po bitwie nad rzeką

---

(1) Poln. sobr. letop. II. 183: Widiew że Danił Liachy kriepko iduszcza na Wasilka kierlesz (керьлешь, w drugim rękopisie корелесь) pojuszcza, silen głas rewuszcze w połku ich.

(2) Tenże, str. 22: iwъzwasza kurii elison (куріи елисонъ), s radostju welikoju chwalaszcze Boga preczistuju jego Matier'.

Rutem 1151 r., zwycięzkie wojsko Izasława Mścisławica odnalazło leżącego w ranach swego księcia, pochwyciło go na ręce, a wszystkie pułki wykrzyknęły z radością: *kireleison* (1). Skoro zatém kronikarz, mówiąc o Rusi, pisze *kireleison*, a w usta śpiewających Polaków wkłada *kierlesz*, oczywista, iż ci ostatni tak właśnie wyraz ów wymawiali.

Rozbiór rytmu i melodyi nie powinien dostarczać argumentów przeciw temu wywodowi, melodya bowiem ułożona w XIV wieku nie może przesądzać o nucie, na którą śpiewano pieśń w stuleciu trzynastém.

Jeżeli uwagi powyższe okażą się słusznemi, zyskamy dowód, posuwający dawność naszego hymnu w piérwszą połowę XIII wieku.

Dźwięki pieśni „Bogarodzica" poprzedzały niegdyś idące na bój szeregi rycerstwa, późniéj rozpoczynała ona księgę praw krajowych, wreszcie Niemcewicz oddał jéj pierwszą kartę w swoich „Śpiewach historycznych;" gdy przeto w ciągu tylu wieków używała pod rozmaitemi względami przywileju piérwszeństwa, przewodnictwa, niechże go i na polu badań lingwistycznych dochowa, a po naukowém jéj opracowaniu niech ujrzymy w zwartych szeregach idące opracowania innych zabytków piśmiennictwa staropolskiego. Tém życzeniem żegnamy autora rozprawy i czytelników naszych.

St. Ł.

Mikołaj Biernacki (M. Rodoć). *Piosnki i Satyry*. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1879 (str. 241 i III).

Z pomiędzy mnóstwa płodów niby humorystycznych, które rodzi potrzeba zapełniania peryodycznie łamów w wielkiéj liczbie pism, poświęconych rozweseleniu smutnéj doli śmiertelników, wyróżniły się od lat kilku satyry w formie lirycznéj pisane, pod któremi czytało się pseudonim: *M. Rodoć*. Nie odznaczały się one wprawdzie ani świeżą oryginalnością pomysłów, ani téż wykwintnym wierszem, który dzisiaj stanowi niejednokrotnie całą zaletę niektórych poetów naszych; co więcéj styl i wierszowanie bardzo często były nader zaniedbane, ułomne, niekiedy nawet niesmaczne. Ale satyrki te posiadały jeden przymiot wartości niepospolitéj: były wyrazem uczuć i myśli prawie powszechnych; tak doskonale odzwierciadlały pewne przekonania krążące wśród ogółu, że nie mogły nie przypaść temuż

---

(1) Tenże, str. 64: i tako въzwasza kireleison (киреленсонъ) wsi polci radujuszczesia.

ogółowi do serca. Każdy chętnie je odczytywał i powtarzał, bo to znaczyło tyleż jak gdyby wypowiadał myśli własne. Czy to była mowa o powodzi koncertów i koncercików (*Muzyków zejście na ziemię*), czy o niesumienności prawników (*Dr. Skubacki*), czy o niepoznawaniu się doktorów na chorobie (*Lekarzy dziesięciu*), czy o plotkarstwie i dewocyi (*Strasznie nienawidzę plotek*), czy o manii ubierania się modnie za jakąbądź cenę (*Modnie ubrana*), czy o kłopotach wdowca (*U wdowca na wsi*), czy o wykwintnéj żarłoczności sybaraty (*Nie jestem przy apetycie*), czy o marnotrawieniu grosza w handelku a skąpstwie w domu (*Ciężkie czasy*): zawsze u Rodocia znalazło się słówko lekkie, zręczne, skrzydlate, które nadzwyczaj łatwo wpadało w ucho i zatrzymywało się w pamięci. Przypominał on niekiedy owe wybryki wesołego humoru Syrokomli tak rzadkie w ciągu ciężkiego jego życia a świadczące o wesołém z natury usposobieniu. Niektórzy téż wielbiciele Rodocia nazywali go Bérangerem polskim, jak to u nas zwyczaj zawsze swojskim talentom dodawać etykietę zagraniczną. Wesołe lekkie usposobienie, niektóre wstręty i niektóre upodobania dają mu niejakie podobieństwo do piosenkarza francuskiego; ale porównanie jest bądźcobądź conajmniéj przedwczesne. Béranger, był poetą, a czy Rodoć jest nim, trudno to orzec napewno; znać w nim bystrego obserwatora i zręcznego wierszopisa, ale wyobraźnia jego woli zazwyczaj kreślić karykatury tylko a nie ludzi. Béranger, prócz wesołych i szyderskich obrazków, umiał także dotykać stron głęboko i rzewnie wstrząsających sercem; Rodoć celuje jedynie w kreśleniu sylwetek komicznych; a tam, gdzie wyraża uczucia zadowolnienia, czystéj radości, tęsknego smutku, rzewnéj wdzięczności — co zresztą bardzo rzadko się zdarza — nie wychodzi po za obręb nader powszednich pomysłów i wyrażeń, nie wznosi się nad zwykły poziom poetów tuzinkowych. Takiemi są piosenki nie-satyryczne: *Władysławowi B.*, *Do P. H. J.*, *Prośba-piosenka* i t.p. Najudatniejszą z pomiędzy nich, rzeczywiście w nastroju Bérangerowskim napisana, wydaje mi się piosenka zatytułowana: *I jestem szczęśliwy!* W niéj Rodoć przedstawia swoje proste uciechy, swoje pragnienia i życzenia w szczupłym, ale jasnym i uroczym zawarte obrębie:

Gdy powiodę okiem
Po niebie wysokiem
Po świata kobiercu,
Gdy z miłością w sercu
Widzę piękne w każdéj porze
Nasze piękne niwy
Wielbię ciebie, dobry Boże!
I jestem szczęśliwy!

Gdy sercem lub mieniem
Dzielę się z cierpieniem,
Bratnią łzę osuszę;
Gdy w zbolałą duszę
Promyk nadziei położę;
Widząc uśmiech tkliwy,
Wielbię Ciebie, dobry Boże!
I jestem szczęśliwy.

Béranger obejmował okiem i szerokie także widnokręgi polityczne; Rodoć, w zbiorku, który mam przed sobą, dał nam właściwie jeden tylko, bardzo charakterystyczny wprawdzie utwór, wychodzący po za sferę stosunków towarzyskich. Być może, iż są nieznane mi wiersze, które w zbiorku pomieścić się nie dały; dla tego też zdanie moje, opierając jedynie i wyłącznie na tym zbiorku, podaję warunkowo. Wiersz, o którym wspominam, ma napis: *Ja mu tam nie dam głosu.* Zbliżają się wybory w Galicyi. Dwu sąsiadów rozmawia, na kogo głosować. Kandydatem jest hrabia Adam. Bracia szlachta oburza się na arystokratę. „To tępa głowa!“ powiada; więc jeden szlachcic proponuje pana Siermięgę, bo to i pracowity i wykształcony i ze światem obyty i zna dobrze nasze strony. Tak — odpowiada drugi szlachcic — to czysty brylant, jedno ma tylko ale, że jest.. synem oficyalisty; to jakoś nie uchodzi; możeby już wybrać pana Barskiego. Ba!—zarzuca piérwszy—toć to demagog; u niego herb—to blaga, magnaci—pasorzyty; lepież już głosować na rzecz pana Wagi. Nie ma zgody! — woła oburzony szlachcic, który za czasów urzędowania Wagi przegrał sprawę o młyn i ztąd wnosił, że temu Wadze brak wszelkiéj odwagi. I tak wymieniając jeszcze parę nazwisk: ale żadne z nich nie znajduje aprobaty; gdyż albo są żony ze sobą na bakier, albo skąpstwo kandydata nie podoba się wyborcom; więc, choć hrabia uchodził z początku za tępą głowę, gdy przyszło do porachowania jego możliwych zastępów, wypadła konkluzya:

No, no, kłopot nie lada:
Nie ma ludzi, dzicz sama;
Chyba wrócić wypada
Do hrabiego Adama.
— Tak, to człowiek właściwy,
Gościnny, oprócz tego
Ma stosunki, ma wpływy...
Ja głosuję na niego!

Rodoć jest zapalonym demokratą; hrabiów nie cierpi, widzi w nich tylko krew zepsutą, obłudę religijną, zmienność polityczną, zupełny brak uczuć obywatelskich; nie tyle jednak nienawidzi sa-

mych arystokratów, co ich popleczników, co zaprzańców, co z byłych zwolenników demokracyi przedzierżgnęli się w mniéj lub więcéj liberyowaną zależność względem swoich niegdyś wrogów. Stańczyki i ultramontanie są przedmiotem najzjadliwszych jego pocisków. Kiedy o nich mówi, traci Rodoć zimną krew, zapala się nienawiścią stronniczą a raczéj klubową, rzuca na przeciwników obelgi nie rachując się ze słowami. To téż satyry wymierzone przeciw stańczykom, literatom od stańczyków, księdzu Golianowi, niektórym profesorom Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Umiejętności przestają być satyrami a stają się pamfletami w najgorszém znaczeniu wyrazu. Można być przeciwnikiem stańczyków, ultramontanów, konserwatystów, arystokratów; można walczyć z nimi na każdém polu i w każdéj formie literackiéj; ale przedewszystkiém trzeba zachować pewną godność słowa i w przeciwnikach widziéć ludzi i obywateli tegoż samego kraju, jeżeli chcemy, ażeby i z drugiéj strony podobnież z nami postępowano. Obrzucić błotem przeciwnika, odmówić mu nietylko zasługi, ale zdolności, uczciwości, sumienia nie jest rzeczą trudną; każde złośliwe indywiduum najmniéj nawet wykształcone, i dla tego właśnie tém gwałtowniejsze i zawziętsze zdobyć się na takie inwektywy potrafi; skuteczność ich atoli jest nadzwyczaj mała. Mogą się one podobać w klubie przy piwie czy winie, wpośród stronników mniéj rozważnych niż żarliwych; ale nie zdołają wyrobić dla siebie szerszego uznania. Przeciwnie, zarzuty, któreby godziły w istotne słabe strony, któreby zatém mniéj były ogólnikowe, a za to większą subtelnością się odznaczały, prędzéjby cel zamierzony osiągnęły. Wiemy, że powyżéj scharakteryzowana walka stronnicza jest bardzo w modzie; wiemy, że nietylko demokraci i liberalni posługują się bronią niewłaściwą, że tak samo stańczyki, ultramontanie i konserwatyści szafują obficie słowami ulicznemi; nie zmienia to wszakże naszego przekonania, że tak być nie powinno.

Na samych satyrach Rodocia można się przekonać, że inkryminacye osobiste i zwalczanie przeciwników przez odsądzenie ich od czci i wiary nie działa tak dobrze, jak spokojne i pogodne wystawianie wad ludzkich w ogóle. Ten uśmiech towarzyszący każdéj satyrze ogólnéj Rodocia dowodzi pobłażliwości a raczéj wyrozumiałości koniecznéj w życiu zarówno towarzyskiém jak społeczném, dowodzi zarazem, że Rodoć kocha ludzi pomimo ich wad i słabostek. Ztąd i w czytelniku powstaje to błogie uczucie, że pomimo wszystko, co można złego powiedzieć o ludziach, są oni przecież godni kochania, że świat nie jest zbiorem jakichś wyrzutków i śmieci. Podobają się więc utwory takie i chętnie są odczytywane. Przeciwnie

takie wiersze jak: „Literaci od Stańczyków“ lub „Lucyper-literatem,“ lub „Co ja zrobię z moim synem“ mimo silniejszéj niż w innych formy przejmują wstrętem tych, którzy nie są wmieszani w codzienne sprzeczki czy intrygi zaściankowe. Kto chce ludzi poprawiać, musi ich przedewszystkiém kochać; bo słowa płynące z nienawistnego usposobienia mogą wprost przeciwny wywrzéć skutek; przejmując oburzeniem rodzą nienawiść i zamiast doprowadzić do porozumienia i harmonii, a choćby tylko do rozumnéj walki, czynią ją coraz zawziętszą i coraz bardziéj zaślepioną.

Piotr Chmielowski.

Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów Słowiańskich. Warszawa r. 1880.

Pomijam pochwały, jakie się słusznie należą wydawcom „Słownika Geograficznego,“ który z ostatnim zeszytem stać się może dziełem pomnikowém pomimo wszelkich niedostatków i usterek, jakie w nim z czasem krytyka wykazaćby mogła.

P. Sulimierski, główny redaktor, przeczuwając w swéj Przedmowie możliwe zarzuty, rozbraja poniekąd krytykę i zniewala do uznania zabiegów i trudów, jakich się podejmuje w tém wydawnictwie.

To przecież nie wstrzymuje mnie od skréślenia uwag następujących, wywołanych piérwszym zeszytem wspomnianego „Słownika.“

Nierównomierność w opracowaniu pojedynczych artykułów, różnorodność nazw i pisowni, braki, opuszczenia i błędy, o których wspomina p. Sulimierski w „Przedmowie,“ są, zdaniem mojém, koniecznym wynikiem przyjętéj manipulacyi w zbieraniu materyałów do „Słownika“ bez głównéj i zasadniczéj podstawy, o zaniechanie któréj lub zaniedbanie posądzam Szanownych Wydawców.

Za podstawę taką uważałbym mapy sztabowe, gdyby takowe były przystępne; miejsce ich zastępuje mapa Chrzanowskiego, którą uważam za punkt wyjścia w układaniu Słownika Geograficznego.

Mapa taka dostarcza owych danych „na miejscu,“ nad brakiem których biada p. Sulimierski; mapa taka jest żywym, powiedziałbym, obrazem powierzchni ziemi, którą opisać pragniemy; mapa taka wystarcza przedewszystkiém pod względem geograficznym, a wzgląd ten zajmować powinien piérwsze miejsce w układaniu Słownika Geograficznego. Statystykę, ekonomią, historyą, archeologią, bibliografią i etnografią stawiam na drugim planie. Przedewszystkiém albowiem wiedziéć trzeba, że i gdzie istnieje ta lub

owa miejscowość, ażeby następnie módz się nią zajmować szczegółowo.

I Święcki Tomasz, którego między innymi przywodzi „Słownik,“ opisując Starożytną Polskę miał pod ręką mapę Zanoniego i przeniósł jéj niedokładności do dzieła swego, które w niespełna pół wieku doczekało się trzech wydań. Niedokładności Święckiego prostowali późniejsi ziemiopisarze, jak n. p. Baliński, Lipiński, a inni powtarzali je jak n. p. współpracownicy Starożytności Polskich, wydanych w Poznaniu r. 1842.

Jeżeli więc Zanoni swego czasu mógł służyć za podstawę w układaniu dzieł geograficznych, sądzę, że mapa Chrzanowskiego z wielu względów zasługuje na to, ażeby być uważaną za owę księgę hipoteczną, którą stać się pragnie „Słownik.“

Używa wprawdzie Chrzanowski nieraz pisowni polskiéj w nazwach niemieckich, jak n. p. Kreicburg, Grinhof, Gieorgiental i t. p., nie dopuszcza się atoli w téj mierze takich barbarzyństw jak Reymann i Engelhardt, którzy n. p. piszą „Fikowska“ zamiast Finkówki, wsi Lubelskiéj, w pobliżu Adamowa i Żelechowa; a Reymann pisze „Alarowski“ zamiast Morawska z pod Jarosławia, w ziemi Przemyskiéj.

Nie zna też Chrzanowski wszystkich nazw polskich na Szlązku i w Prusiech, istnieją przecież w tym kierunku prace uczonego Kętrzyńskiego, sumiennego Niemca Knie i słownik Zarańskiego, za pomocą których łatwo poprawić wspomnianego mapografa.

Zasługuje i z tego względu jeszcze na to Chrzanowski, ażeby w układaniu Słownika Geograficznego być użytym za punkt oparcia, za punkt wyjścia i za główną podstawę, iż mapa jego przedstawia nam prawie wszystkie ziemie i kraje, które wchodzą w zakres wydawnictwa.

Wspomniałem powyżéj, że posądzam Szanownych Wydawców o brak takiéj podstawy; usprawiedliwiam podejrzenie to między innemi okolicznością, że w spisie dzieł i czasopism, przytaczanych w „Słowniku“ spotykam jedyną jednę mapę i to Kummerera Galicyą, Lodomeryą, księstwa Krakowskie, Oświecimskie, Zatorskie i Bukowinę.

Dzieła te i czasopisma uważam za zestawienie głównych źródeł, na których się opiera wydawnictwo „Słownika.“ Wykazani zaś w tym spisie: Büsching przypomina n. p. Władysława Łubieńskiego i Bielskiego Jana;

Echard — Karpińskiego Hilaryona i wydane w Poznaniu r. 1842 Starożytności Polskie;

Starowolski, Gwagnin i Kromer—Sarnickiego i Cellariusza;

różnych wreszcie dzielnic monografie, Sieniawskiego Biskupstwo Warmińskie, i inne, których daremnie tam szukać.

Potrąciwszy o to pobieżnie tylko i mimochodem, wracam do głównéj podstawy, któréj dopatrzéć się nie mogę w „Słowniku."

Brak taki sprowadzić musiał koniecznie owę różnorodność, którą przewiduje p. Sulimierski w swéj „Przedmowie". Każdy bowiem z współpracowników ma niezawodnie inną jaką mapę pod ręką, z któréj czerpie i nazwy i odnośne szczegóły. To też, zdaniem mojém, powinno wydawnictwo używanie jednolitéj mapy, a z powodów wyłuszczonych powyżéj, używanie mapy Chrzanowskiego, położyć za warunek współpracownictwa; w przeciwnym razie nie wyjdzie z chaosu, który jest wynikiem obranéj przezeń manipulacyi.

W podobnych warunkach zdarzyć się może wydawnictwu to co np. Encyklopedyi Powszechnéj, która wykazała prawie tyle jezior w Wielkiém Księstwie Poznańskiém, ile w całéj Słowiańszczyznie, dla tego jedynie, że płodność jednego z jéj współpracowników powynajdowała chyba wszystkie na téj ziemi sadzawki, którym często nadał, niezmienioną nawet nazwę wsi pobliskiéj i puścił w świat jako jezioro, ku zdumieniu ziemiopisarzy naszych; zdarzyć się także może, iż, jak wspomniona Encyklopedya, zamieszczać będzie wyczerpujące aż do drobiazgowości opisy strumyków, które wysychają latem, a pominie całkiem lub wspomni tylko pobieżnie o rzekach spławnych;—iż obok arcydzieł znajdą się niewolnicze plagiaty i tłómaczenia.

Do takiéj przypadkowości prowadzi koniecznie przyjęta przez wydawnictwo droga. Nie szukając daleko, przywieść tu mogę za przykład wykazanie w „Słowniku" rzeki Abbus, wpadającéj do Wenty czyli Windawy, a pominięcie zupełne co najmniéj również ważnéj rzeki Abbol czyli Abbul, wpadającéj do Gajwy, na wschód-północ Wolmaru. Zamieszczona w nim jest również wieś, zwana Achthuben, na Szląsku, a pominięte małe i wielkie Aciucewicze pod Mozyrem. Na czém, pytam, zasadza się „ważność" Abramowszczyzny, w powiecie Wieliskim nad „Jelszą"? w czém ważniejszą jest od Abramowszczyzny z ponad Żyzny lub Sniaglicy? Pierwszéj nie szukałem na mapie, druga leży na zachód-północ Lipniszek, a trzecia na północ-zachód Wilejki, wschód Żodziszek.

Nie rozpisuję się tu wreszcie o ważności map, zwłaszcza topograficznych; przypomnę tylko, iż żaden opis nie wywrze tak szybkiego i tak wymownego wrażenia jak taka mapa. Chrzanowski nie uwzględnił wprawdzie ani lasów, ani górzystości poziomu, uzupełniają go przecież w téj mierze Reymann lub Engelhardt.

Słownik geograficzny uważam za podręcznik do używania mapy; powinien on mi wskazać punkta wytyczne, które mi ułatwią odszukanie téj lub owéj miejscowości; chybiony jest cel w tym względzie, jeśli za jego pomocą znaléść nie mogę na mapie, czego szukam, a z wszelką pewnością nie znajdę, jeżeli np. słownik innéj jak mapa używa nomenklatury.

Słownik taki zwracać także powinien uwagę na błędy i niedokładności użytéj przez siebie mapy i tym sposobem torować drogę następnym mapografom; powinien, rzekłbym, skojarzyć, zlać się w jednę całość z taką mapą.

Z przedmowy p. Sulimierskiego dowiedziéć się także można, iż wydawcy nie uwzględniają w zasadzie nazw czysto historycznych, dziś już nie będących w użyciu; że dział historyczny traktuje się tu tylko dodatkowo a przedewszystkiém bierze na uwagę obecny stan kraju i pojedyńczych miejscowości, czyli innemi słowy, informacyjność i praktyczność.

Wstrzymuję się od uwag w tym względzie, niezadowolniony tém, co wydawnictwo daje, choć daje więcéj jak ktokolwiek dał poprzednio.

„Słownik" zamierza wykazywać wszystkie miejscowości w Królestwie Polskiém i wszystkie ważniejsze w ziemiach pogranicznych; do krajów Słowiańskich, o których wspomina tytuł dzieła, liczy Szląsk tak zwany Austryacki, Morawy, słowackie komitaty na Węgrzech i Bukowinę.

I tu pragnąłbym, żeby wydawnictwo było cokolwiek chociaż rozszerzyło granice Słowiańszczyzny; ale i tu przyjmując co wydawnictwo dać chciało lub mogło, posprzeczam się z niém o ważność miejsc w ziemiach pogranicznych.

Pojęcia ważności w leksykografii jest tak giętkie, że wyraz ten uważam za ogólnik, który nic a nic nie mówi.

I tak np. zajmuje dziejopisarza i archeologa każda miejscowość, która zachodzi w dyplomataryuszach, kronikach i pamiętnikach; heraldyka i genealoga każda miejscowość, będąca w związku z rodzinami; żołnierza każdy punkt strategiczny; lingwistę każda bez różnicy nazwa; statystę każda karczma, cegielnia, każdy młyn, wiatrak, folusz itp. ziemiopisarza wreszcie wszystko, co się okazuje na powierzchni ziemi.

Co z tego wszystkiego uchodzić ma za ważniejsze, na to wydawnictwo nie znajdzie chyba odpowiedzi. To téż wypadało i pod tym względem postarać się o pewną normę w wyborze.

I tu nasuwa się mapa Chrzanowskiego, któréj zaznaczone i nazwane miejscowości posłużyć były mogły i powinny za punkt wyj-

ścia w układaniu Słownika Geograficznego; są one zdaniem mojém wszystkie ważne, choćby dla tego jedynie, że je Chrzanowski naznaczył i nazwał, nie wliczając już innych powodów. Dla ziemiopisarstwa i dla krytyki pozostałoby i w tym razie niewyczerpane pole do uzupełniania czego tam nie dostaje i do poprawienia tego co mylne lub niedokładne. Obfitością żaden słownik grzeszyć nie może. Wolę sto nazw niepotrzebnych, niżeli jednę pominiętą.

Z wspomnionéj powyżéj przedmowy p. Sulimierskiego dowiaduję się nadto, iż redakcya przyjęła w zasadzie pisownię p. Małeckiego. Uważam za rzecz podrzędną czy słownik pisze: Marjampol, czy Maryampol, czy wreszcie Maryjampol; chodzi mi o pisownię nazw niekoniecznie równobrzmiących.

Sądzę, iż leksykografom, którzy w odnośnikach uwzględniają różne odmiany jednéj i téj saméj w istocie swéj nazwy, wolno sprowadzać je do jednego, powiedziałbym, mianownika, i tak wszystkie derywatywa słowiańskie od „Abraham“ wykazać pod „Abram“; np. Abramczyce, — jewa, — ki, — kowo, — ów, — owa, —owce,—owice,— owicze,—ówka,—owo,—owsk,—owska,—owszczyzna,—owy i Abramy, zwłaszcza, że w tym przypadku derywatywa od Abraham noszą piętno obczyzny, n. p. Abraham—falu,—falva, Abrahms—dorf,— heide,—hof itd.

Pod światłą rozwagę uczonych ziemopisarzy naszych i leksykografów podaję przy téj sposobności kwestyą, czy nie wypadałoby sprowadzać pod jednolitą pisownię imion swojskich nazwy słowiańskie o mało co różniącéj się w pisowni lub brzmieniu; i tak np. Awramówkę wykazać pod Abramówką, zwłaszcza iż końcówki są równobrzmiące, a całość używaną jest w mowie potocznéj, w obydwóch formach. Nie wciągam do téj kategoryi nazw o różnych końcówkach np. cuków,—cukowo,—owskij itd. rozciągnąłbym przecież propozycyą tę do przeistoczonych nazw słowiańskich, których pierwotwory należałoby odtworzyć w danym razie, lub sprowadzić do jednolitéj, racyonalnéj pisowni. Ackmenischken np. wspomniane w Słowniku przypominają pominięte Akmeniszki pod Zejmiami, Radziwiliszkami i inne; Jebrahmen i Jebramken pod Ełkiem w Prusach wschodnich zaprowadzają na Abramy i Abramki, Jedamken pod Orzyszem na Adamki, Jablonken na Jabłonkę lub Jabłonki, Jadam na Adam, Jadamkowo—Adamkowo itd.

Sądziłbym także, iż przy nazwach niepolskich wypada, w tekście osobnych artykułów, używać nazw spolszczonych lub najwięcéj do brzmienia Sławiańskiego podobnych.

Słownik nasz, przyjąwszy np. nazwę Gauja, spadkuje ją „Gaui z Gauią,“ podczas gdy odmiana Gojwa więcéj odpowiada duchowi

słowiańskiemu i co do formy i co do źródłosłowu. Ten spotykamy na Szląsku w nazwie Goj i Goy (może Gaj?) Gojców w Sandomierskiém; następnie: Gojda, Gojdany, Gojden (Gojdy?) Gojdenowo, Gojdeszczewo, Gojdukowo, Gojdzowski, Gojenka, Gojenki, Gojgoły, Gojgorkino, Gojkowe, Gojść, Gójsk, Gojski herbu Doliwa, Gojsowski czyli Gojszewski herbu Brochwicz, Gojthenen, Gojtke, Gojtowa, Gojwa, Gojżewka, Gojżewski, Gojżgirdy i w innych.

Tak tedy należałoby inflantską Aa nazwać Gojwą i nazwę tę przyswoić językowi polskiemu. Co zaś do rzeki Bolder - Aa, którą Pol nazwał Lentawą, nie śmiem przesądzać; wspomnę atoli, że wrogowie Słowiańszczyzny przeistoczywszy jako nazwę słowiańską, używają z konsekwencyą do pozazdroszczenia i w mowie i w piśmie takiéj przezwy, która z czasem tak się rozpowszechnia, że jeżeli nie zatrze całkiem pierwotworu, zepchnie go przynajmniéj z pewnością na drugie miejsce, a co gorsza i boleśniejsza, sami Słowianie dopomagają im w tym procesie zagłady.

Co do nazw obcych wreszcie tym sposobem ustalonych na ziemiach Słowiańskich, sądzę że „Słownik“ dać powinien pierwszeństwo nietylko nazwom polskim, jak to przyrzeka w przedmowie główny jego redaktor, ale zarówno nazwom spolszczonym, słowiańskim i tym, które do nazw słowiańskich najwięcéj są podobne, uwzględniając w odnośnikach nomenklaturę obcą; gdzie zaś całkiem nieznaną jest nazwa słowiańska, należy pierwszeństwo, choćby z poczucia słuszności, nazwom miejscowym. Odwrotny stosunek jakiego niektórzy autorowie nasi używają ze względów informacyjnych i praktycznych uważam za upakarzający.

Pytam np. co gorszego Lentla—Upe od Bolder—Aa,—Gojwa od Trejder—Aa, Lejas—Mujża od Aahof, Kępa z ponad Szarpówki od Abgunst—Kampe, Bałta od Józefgrodu, Czołhan od Teofilpola i t. d?

Co do nazw równobrzmiących, pragnąłbym, ażeby „Słownik“ wynalazł odpowiednie do ducha języka naszego przymiotniki, któreby je należycie rozróżniały i tym sposobem powetował to, czego przodkowie nasi zaniechali.

Dostały nam się w spuściźnie: Brześć Kujawski i Litewski, Gródek Ostroczycki i Sołomerecki, Janów Biskupi i Ordynacki, Kamieniec Podolski i Litewski itd.; znaczna przecież liczba nazw równobrzmiących pozostała bez bliższego określenia, dodatki zaś nowsze jak np. nad Bugiem, nad Wisłą, nad Drwęcą, pod Krakowem, pod Warszawą i t. p. uważam za inowacye obce, duchowi słowiańskiemu wstrętne.

Mam tu na myśli miasta tylko i miasteczka; gdy nazwa ich z przymiotnikiem się ustali pomyśléć można o wsiach znaczniejszych.

Znamy np. Białą Książęcą czyli Radziwiłowską;—pozostaje Biała w Opolskiém, którą Niemcy przezwali Zülz, a którąby można nazwać Białą Opolską jak również stworzyć tym sposobem Białą Podolską, Pruską, Rawską, nie mówiąc już o Spiskiéj, Czeskiéj i innych.

Zaznaczywszy powyżéj podstawy, na których wydawnictwo „Słownika Geograficznego,“ zdaniem mojém, przedewszystkiém opiérać się powinno, przystąpię do rozbioru niektórych pojedyńczych artykułów, przy sposobności czego przypomnę jeszcze, iż każdy słownik geograficzny uważam za podręcznik, który ma ułatwiać orientowanie się na mapie.

I.

Z artykułu „Abawa“ dowiaduję się, iż rzeka ta bierze początek w parafii Neuenburgskiéj, w Kuronii.

W parafii téj poczynają się dwie jeszcze rzeki, z których każda mogłaby się zwać Abawą; jedna z nich wypływa pod wioską Bitte, a druga wpada między wsiami Lesten i Neuenburg do łączącego się z niemi jeziora. Chrzanowski nie nazwał tych strumieni, sądząc atoli po długości, zakréślonych na jego mapie rzek, przypuszczać tylko można, że Abawa ma swe źródła w pobliżu wsi Fridikien, Georgenhof i Marienhof, na wschód-północ Frauenburga; rzeczka bowiem, która się łączy z inną pod Neuenburgiem, mogłaby się nazywać „Zschaksche“ lub inaczéj, a połączone tak strumienie brać nazwę Abawy, minąwszy Neuenburg w swym biegu.

Miejsce, w którém rzeka się poczyna, i ujście jéj powinno jak najściśléj być określone; znając je dokładnie, błądzić nie można w śledzeniu jéj biegu na mapach, które najczęściéj nazw strumieni nie podają, a imię rzeki dopiéro wtedy kładą, gdy ta różnemi już jest zasiloną dopływami.

Chrzanowski zaznacza różne rzeki hołdownicze Abawy, nie podając ich nazw; wymienia przecież Wessaten, Ammalit i Imalit. Nazwy te spotykam w słowniku zmienione, przypuszczam, że poprawione; czytam bowiem: „Ammul, Immul i Wehsacht,“ którą Encyklopedya Powszechna zwie „Wezat“. Prócz tych podaje „Słownik:“ „Zschaksche, Naudaję, Karratawas—uppe i Weendradse“. Przypuszczając, że tego rodzaju potoki przyjmują swą nazwę od pobliskiéj

wsi, wioski lub miasteczka, albo też odwrotnie, kładę owę „Zschaksche“ tam, gdzie Chrzanowski zaznacza wioskę Alt-Czacze; strumień ten wpada pod Neuenburgiem do Abawy. Resztę trudniéj odgadnąć, a z wydanego dotąd zeszytu nic w téj mierze dowiedziéć się nie można, rzeczki bowiem Ammul nie wykazuje „Słownik“ w osobnym artykuliku, ani jeziora Apsau, przez które płynie Abawa! Jezioro Lestin jest prawdopodobnie owém, które Chrzanowski zaznacza na zachód wsi Lesten.

Z miejscowości, które leżą nad Abawą, wymienia „Słownik“ ogólnikowo wieś Roennen i Abaushof czyli Dwory Abawskie, pomijając miasto Kandawę.

Pod jednym z tych Dworów Abawskich, poniżéj Goldyngi, uchodzi Abawa. Encyklopedia Powszechna, którą „Słownik“ wymienia także między źródłami swemi, zapisuje mylnie „pod Szlokiem.“ W okolicach tych nie ma Szloku; jest wieś kościelna Szlek, która leży w pobliżu strumienia, wpadającego także do Windawy, lecz o milkę na zachód ujścia Abawy.

Trudno wymagać, ażeby „Słownik“ prostował wszystkie błędy, zawarte w poważnych nawet dziełach. Encyklopedya Powszechna Orgelbranda przecież zasługuje ze wszech miar na wyjątek w tym względzie. Jest ona streszczeniem wiedzy i nauki polskiej i przez długie jeszcze lata posłuży za źródło, na które powoływać się będą nasi uczeni, pomimo niedokładności i błędów, jakie do niéj się powkradały.

Zapisuje wreszcie „Słownik,“ że Abawa wpada do Wenty, którą wspomniana Encyklopedya zwie Windawą. Chrzanowski zapisuje oba imiona: pierwsze w okolicach Łajżewa i Żydyków, a drugie w pobliżu jéj ujścia do Bałtyku. Wskazane powyżéj odmiany nazw wprowadzają badacza w niepewność a laika w błędy. Mając np. pod ręką Słownik Geograficzny, Encyklopedyą Powszechną i Mapę Chrzanowskiego, trzy dzieła pomnikowe, spotkać się można w rozebranym tu artykule z następującemi wariantami, których tożsamość sprawdzać trzeba przed użytkiem. I tak czytamy:

Ammul i Ammalit.

Immul i Imalit.

Wessaten, Wezat i Wehsacht.

Wenta i Windawa, nie licząc już rzeczki Zschaksche i jeziora Leskin.

Z rozmysłu dopuściłem się tu takiéj „drobiazgowości“,—jeżeli w ogóle o niéj być może mowa w nauce, ażeby wykazać konieczność główněj podstawy w układaniu Słownika geograficznego. Wzią-

łem pierwszy artykuł z brzegu za przykład, w tém przekonaniu, że z czasem znajdę inne, w których wdzięczniejsze pole dla krytyki się nastręczy.

II.

Zapisuje „Słownik,“ że miasteczko Abele leży nad Krewną czyli Pokrewną, nie wspominając o pobliskiém jeziorze, któremu zresztą poświęca osobny artykulik; Baliński—Lipiński piszą: „Abele nad jeziorem tegoż imienia,“ nie wspominając nic o rzece;—Chrzanowski wykazuje wieś kościelną Abele nad Rzeką Świętą i nad połączoném z nią jeziorem, na wschód-południe Rakiszek i północ Dusiatów, a w pobliżu téj wsi dwór téjże saméj nazwy; te dwie miejscowości, przypuszczam, stanowią wspomniane miasteczko „Słownika“. Rzeka zaś wzięła prawdopodobnie nazwę swą od pobliskiéj wsi Krewno, którą minąwszy w swym biegu stała się może Świętą. Takie i tym podobne niepewności wyradzają się koniecznie z różnicy napotykanéj nomenklatury.

Pod jeziorem Abelskiém wspomina „Słownik“, że ono się łączy przez Krewnę z jeziorem Antonoskiém i odwrotnie; Antonosze zaś leżą nad jeziorem Naszys. Miejscowości tych, pod temi nazwami i w téj okolicy, nie wymienia wcale Chrzanowski, zorientowanie się więc na mapie jego za pomocą „Słownika“ staje się niemożliwém w tym wypadku.

III.

„Abelin“ leży o 65 wiorst od Rosień. Słownik nie podając strony, w którejby znaléźć można tę wieś na mapie, naraża chcącego się z nią bliżéj zapoznać na szukanie jéj w tak znacznym promieniu naokoło Rosień, podczas gdy Abelin leży na wschód-południe Szyłelów. Nie powiada téż, czy wspomniany w „Starożytnéj Polsce“ Balińskiego, III 585, Korszew jest tymże Abelinem.

Za punkta wytyczne bierze „Słownik“ miasto powiatowe bez względu na to czy są bliższe, w których niezawodnie jest jakikolwiek urząd pocztowy. Przy nazwach raz tylko zachodzących w powiecie mogłoby to ostatecznie wystarczyć; w przeciwnym razie wprowadza w błąd a przy zmianie powiatu staje się zapisek taki bezużytecznym.

IV.

„Absze“ zwie Słownik dopływ Bartawy czyli Bardawy, biorący początek na północ Iłoków a uchodzący pod Szkudami i wymienia jeden tylko dopływ, zwany Sartysem.

Chrzanowski zakréśla rzekę z dopływem Sartis czyli Sartys, mającą swe źródła pod wsią Mecedy—Marseniki, na północ-wschód Iłoków, zachód Żydyków, płynącą od wschodu ku zachodowi i wpadającą do Bardawy tuż pod Szkudami. Nie ulega przeto wątpliwości, że to jest ta sama rzeka „Absze", którą wykazuje „Słownik". Ale Chrzanowski zwie rzekę tę „*Pisaraś*" i zaznacza nie jeden dopływ, ale pięć, z których dwa pozostawił bez nazwy a trzy oznaczył następującemi imionami: 1 Kal 2 Sartis i 3 Rumbi.

W tym wypadku byłoby zasługą „Słownika," gdyby był wyśledził nazwę strugi, uchodzącéj pod Gierdawami, i strumienia, wpadającego do Bardawy, opodal Willażu i Saupeneku.

V.

Pod „Abschruten" czytam, że dziewięć wsi w Prusiech nosi tę nazwę. Z tych w powiecie Wystruckim zwie się też jedna inaczéj Usswarten; w powiecie Ragnickim inaczéj Jacken, a w powiecie Pilhaleńskim inaczéj Petczinken. Na mapie Chrzanowskiego znalazłem ośm takich wsi zaznaczonych i nazwanych, z odmienną nieco pisownią; wszystkie leżą w okolicach Insrucia, Pilhalniów, Rognicy i Tylży. Pytam tedy, która z nich zwie się Jacken, która Petczinken a która Usswarten?

I w takim razie nie wystarcza wymienienie powiatu, którego granice są nieraz kapryśne i zmianie losów ulegają.

VI.

Pomimo, że p. Sulimierski w „Przedmowie" zapowiedział, że zamieszczać będzie w Słowniku wszystkie miejscowości, leżące w Królestwie Polskiém, szukam w nim daremnie Abramów, wsi Mazowieckiéj, na północ Kałuszyna, którą Engelhardt i Reymann zwą Jabrami. Są inne jeszcze Abramy między Kobylnikiem a Żodziszkami, w pobliżu jeziora Narosz, ale te mógł uważać Słownik za nieważne i nie zamieścić. A jeżeli przyjął pisownię „Jabramy," co zarzutu tego nie zbija, wypadało zamieścić odnośny odsyłacz pod Abramami.

Tu nasuwają mi się nazwy składane, w które obfituje zwłaszcza Mazowsze i Podlasie. Zdaniem mojém zasługują te nazwy, jeżeli w skład ich wchodzą dwa imiona własne, na to, ażeby dwukrotnie były zamieszczane; to też pod Abramami np. należało odesłać do

Mieczków — Abramów, pod Abramkami do Janczewa — Abramków i t. d.

* *

*

Tyle uwag do zrobienia znalazłem na dwóch pierwszych stronach Słownika Geograficznego i na nich zatrzymuję się, nie chcąc nużyć uwagi czytelnika. Bogactwo nazw słowiańskich w „Słowniku" nie jest dostatecznie uwydatnione a pomimo różnych zalet, które w nim słusznie inne pióra wykażą, nie waham się powiedzieć, że pierwszy zeszyt nie zupełnie odpowiada wymaganiom dzisiejszéj nauki.

E. Callier.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Składki na Szlązaków.—Przyczyny tego ruchu.—Jaki byłby pożądany praktyczny rezultat obecnie zawiązanych stosunków ze Szlązakami.—Towarzystwo Kredytowe miast prowincyonalnych.— Czy kupowanie listów zastawnych jest grzechem.—Co dobrego przyniesie towarzystwo, Raport p. Kowalskiego o ulepszeniach rolnych dokonanych u nas.—Nasze dzisiejsze karczmy i nowe gospody.—Potrzeba zreformowania szynku, sklepy dworskie, ich ekonomiczne i towarzyskie znaczenie.—Rozrywki warszawskie.—Królowanie sceny i estrady w publicystyce.—Charakter odczytów.—Lekcye dla kobiét w Płocku.—Nauka włościan w Gołębiu.—Trzeba zwrócić uwagę na szkołę wiejską.—Legaty pani Rapackiéj.—Pismo „Dla Głodnych.“— Uwagi z powodu egzaminów w szkole kobiét lekarek w Petersburgu.

Kronika, w piśmie takiém jak nasze, ma swoję złą i dobrą stronę, a obie wydatne. Złém jest, że nie możemy, jak się to mówi, podawać faktów „prosto z pieca,“ lecz w zapisywaniu ich musimy o kilka tygodni spóźniać się za innymi kolegami. Dobrém zaś jest to, że mamy czas krytycznie rozejrzéć się w faktach.

Na szczęście istnieją dwa gatunki czytelników. Jednym chodzi o nowość, choćby nią był człowiek, żółw bawiący przez pewien czas gazety amerykańskie, albo cudowny magnetyzer zdumiewający wiedeńczyków. Inni mniéj dbają o lekki pokarm dla wyobraźni, lecz bardziéj o prawdę i pożytek. Wiedzą oni, że z odmętu codziennych wiadomości, połowa jest lada jakich, a czwarta część fałszywych. Chcą myśléć o zdarzeniach ogarniających wielkie zbiory jednostek, albo też o faktach typowych, które chociaż drobne z rozmiaru powtarzają się jednak nieustannie, w różnych miejscach i z tego powodu są ważne w życiu.

Otóż kronika miesięczna ma czas przesiewać codzienne dary Boże, wybiérać z nich fakta godniejsze uwagi w danéj chwili, wskazywać przyczyny, stawiać niejakie przypuszczenia co do skutków, słowem, dostarczać materyałów do głębszego namysłu.

Najbardziéj charakterystycznym wypadkiem z początku roku bieżącego jest składka na Szlązaków. Nie ma większéj gazety u nas

którąby na ten cel nie zebrała od prenumeratorów kilku tysięcy rubli. Nie ma okolicy z któréjby jakiegoś grosza lub jakiegoś korca nie wysłano. Z wyjątkiem chyba miasta Szczebrzeszyna, którego municypalność w skutek niepojętych kombinacyj umysłowych zatrzymała 3o korcy zboża przeznaczonego dla Szlązaków. Nie ma wreszcie klasy społecznéj i wyznania z istniejących w kraju, którąby się do ofiar nie przyczyniła. Jest to więc dobrowolny ruch ogólny, o ile nie staje mu na zawadzie głęboka polityka powiatowych dyplomatów. W ruchu tym wielką gra rolę zgodna agitacya całéj prasy, zachęconéj świetnym rezultatem jaki osięgnęły dzienniki francuzkie w sprawie powodzian z Murcyi. Jeszcze więcéj przypisać należy ogólnie ludzkiemu współczuciu dla niedoli. Ale nadewszystkiém góruje chęć przypomnienia się rodakom, którzy według jednych stali się ofiarą ekonomicznego i moralnego ucisku Niemców, a według drugich mieli czas o nas zapomniéć.

Jakie sympatye przeważały na Szlązaku do dziś dnia, a jakie obudzą się w roku bieżącym, trudno zgadnąć. W każdym razie sprawa to dość powikłana. Głód wprawdzie jest bezpośredniém następstwem zjawisk klimatycznych, ogłoszono o nim wcześnie i rząd pruski duże fundusze na stłumienie go wyznaczył, nie licząc ofiar prywatnych, z drugiéj jednak strony kto obliczy, ile do zaostrzenia klęski dzisiejszéj przyczyniła się edukacya w języku obcym, absenteizm niemieckiéj szlachty na Szlązku, napływ oficyalistów wrogich ludności miejscowéj i cały system szykan skierowanych do tego celu, aby nie pozwolić na rozwinięcie się, wśród mas samodzielności nie niemieckiéj. Ile to tam polskich wieców zamknięto, ilu spółkom nie dano zawiązać się, a wszystko w imię téj idei, jeden ze sług któréj powiedział niedawno w parlamencie, że: „szlązki głód jest skutkiem niedostatecznéj znajomości języka niemieckiego u mieszkańców!!!

Pragnąć należy, aby zawiązany dziś stosunek ze Szlązakami w przyszłości utrwalił się i wydał dla nich i dla nas jakieś rezultaty praktyczne.

Wiadomo, że ludność niemiecka zagęszcza się, prze coraz silniéj ludność słowiańską w granicach cesarstwa Niemieckiego osiadłą, a nawet wkracza do nas, zajmując różne gałęzie przemysłu i ziemię. Współcześnie ludność słowiańska, nie mogąc wydołać naciskowi naturalnemu, wspieranemu przez środki administracyjne, uchodzi do Ameryki.

Wciskanie się Niemców do nas i jednoczesna ucieczka Polaków aż na drugą półkulę tworzą razem dotkliwą klęskę dla narodowości, czemu do pewnego stopnia zapobiedzby mogło skierowanie emigracyjnego prądu do Królestwa.

Bo na szczęście i nasza ludność gęstnieje i, jeżeli nie zajdą jakieś nadzwyczajne wypadki, może stać się tak zbitą masą, że już w nią nie będzie mógł wsiąkać nadmiar zaludnienia niemieckiego. Zagęszczenie to zaś, istotny ratunek nasz od germanizacyi, przyśpieszyłoby się znakomicie, gdyby włościanie z Poznańskiego, Prus i Szląska, zamiast do Ameryki, przychodzili do nas. Oni nie wynarodowiliby się między jankesami, a my wygralibyśmy wielorako. Uwolnilibyśmy się od kolonizacyi niemieckiéj, zyskalibyśmy nową ludność swojską i to ludność wyższą cywilizacyjnie od naszych włościan, a nawet od drobnego mieszczaństwa.

Już w tym roku kilku obywateli ziemskich z Królestwa zwróciło się do p. Miarki z propozycyami co do przesiedlenia pewnéj liczby rodzin szlązkich; rzecz się jednak nie udała. I nic w tém złego. My nie mamy potrzeby zachęcać ludności szlązkiéj do emigracyi. My tylko mamy interes i obowiązek przyciągać do siebie tych, którzy sami emigrować postanowili i myślą o Ameryce.

Słyszeliśmy wprawdzie opinią, że ten kto wędruje do Ameryki, nie przyjdzie do nas, bo jego za ocean ciągnie nadzieja karyery. Fakta przecie dowodzą, że bardzo wielu włościan polskich wypycha do Ameryki nędza, a zachęcają agenci towarzystw przewozowych. Ruch do Królestwa tém łatwiéj może się zacząć, że wielu emigrantów powróciło z drugiej półkuli w strasznéj biedzie.

Zresztą ludy chodzą utartemi szlakami i byle ktoś dał dobry przykład, inni będą go naśladowali.

Projekt Towarzystwa Kredytowego miast prowincyonalnych w Królestwie Polskiém, przesłany już został do ministeryum skarbu. Ustawę opracowało Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, które nowéj instytucyi ma udzielić wszelaką pomoc w pierwszych czasach jéj bytu. Zatwierdzenie Towarzystwa Kredytowego dla miast jest prawie pewne, ponieważ, jak chodzą pogłoski, losem jego miał zająć się p.p. generał-gubernator Królestwa i minister skarbu.

W dziennikach naszych niejednokrotnie spotykaliśmy się z oryginalnym poglądem, a mianowicie: z wyrzutami skierowanemi do tych, którzy „zamiast używać kapitałów swoich produkcyjnie, więżą je w listach zastawnych,“ a całą obywatelską działalność swoję ograniczają do obcinania kuponów.“ Ponieważ wraz z powstaniem Tow. Kred. miast prowincyonalnych przybędzie mnóstwo nowych listów zastawnych, a więc nowa pokusa do „nieprodukcyjnego obcinania kuponów,“ uważamy więc za stosowne przypatrzéć się téj sprawie bliżéj.

Przypuśćmy, że w pewnéj okolicy, jakiś Piotr ma nieruchomość wartującą 300 tysięcy, a jakiś Paweł posiada 100 tysięcy gotów-

ką. Gdyby Piotr posiadał gotówkę, umiałby z niéj duże zyski ciągnąć, ponieważ jest człowiekiem obrotnym. Paweł przeciwnie ma gotówkę, ale jest bojaźliwy i nie chce za żadną cenę ryzykować.

W takim stanie rzeczy przychodzi do niego Piotr i mówi: „Daj mi twoje 100 tysięcy na kilkanaście lat, a ja będę ci płacił 5% rocznie i kilka procentów na umorzenie długu. Na twoję sumę wystawię ci rewers, który wszędzie przyjmą jak gotówkę, ponieważ ubezpieczam go na mojéj nieruchomości. Gdybym kiedykolwiek nie zapłacił ci należnéj raty, sprzedasz mój dom i sumę swoję odzyskasz.“

Paweł jako człowiek rozsądny przyjmuje ubezpieczenie na nieruchomości i kontentuje się niewielkim procentem, który mu jednak daje wszelką pewność odzyskania kapitału. Pożycza swoje 100 tysięcy Piotrowi, który za tę sumę stawia jakiś budynek i powiększa swój dochód,—spłaca długi, które go kosztowały np. 7% na rok i znowu powiększa swój dochód, albo wyposaża dzieci, które wchodząc w społeczeństwo przynoszą mu nietylko pracę i zdolności, ale nadto gotowe piéniądze.

I otóż ów z pozoru martwy papiér Piotra zrobił dogodności następne.

Wydobył z ukrycia 100 tysięcy gotówki, leżącéj dotychczas nieczynnie.

Piotrowi i Pawłowi pomnożył dochody, a temu ostatniemu dał jeszcze wszelką pewność, że swego mienia nie straci.

Taką jest rola i takie jest dobrodziéjstwo papiérów kredytowych. Same przez się nie są one gotówką, złotem lub srebrem, ale dają się łatwo zamienić na gotówkę, z tego powodu, że są gwarantowane przez istnienie kapitału nieruchomego, bezpieczniejszego niż złoto.

Poważny czytelnik miałby może prawo oburzyć się za ten wykład ekonomicznego abecadła. Niech jednak wybaczy przez wzgląd, że zapomocą tak niewinnego środka chcemy poprawić opinią, jaką potomność mogłaby mieć o dzisiejszych czasach. Bo wyobraźmy sobie, przyszłego archeologa, który, przeglądając komplet naszych pism, znalazłby w nich klątwy na listy zastawne i ani słówka z powodu owych klątw.

Bywają teorye tak śmiałe, że dla odżegnania wpływu ich czarów, wypada, niekiedy odwoływać się do ewangelicznie prostych przypowieści.

Pożyczka, na związku miast czy dóbr ziemskich oparta, daje wierzycielowi wszelką pewność. Gdy spali się jakiś dom, wierzyciel ma pewność na tysiącu innych domów i na Towarzystwie Ubezpie-

czeń od ognia. Taka gwarancya ściągnie do kraju kapitały zagraniczne, dla których 5% lub 6% jest wielkiém wynagrodzeniem. Tym nawet sposobem zwiększy się naprawdę ilość kapitału obiegowego w społeczeństwie, bo pieniądze napłyną z zewnątrz, nietylko za zboże, wełnę i drzewo, ale jeszcze za nasze listy zastawne.

Nie potępiajmy więc listów zastawnych, gdyż one wydobywają na świat taką gotówkę, któraby w przeciwnym razie chowała się po piwnicach. Jeżeli zaś w kraju naszym jest wielu ludzi „obcinających kupony“, to tylko dowodzi, że mamy własnych kapitalistów, kapitalistów ostrożnych, a naieszcie takich, którzy gdyby wdali się w „produkcyjniejsze interesa“ niezawodnie straciliby majątek, nie posiadając dość wprawy, energii, wiedzy i w ogóle tych przymiotów, które pozwalają człowiekowi bez nadużyć zarabiać 12% i 20% rocznie.

Z tych więc powodów, a mianowicie że kraj pozyska kilkadziesiąt milionów rubli kapitału obiegowego, Towarzystwo Kredytowe dla miast Królestwa będzie dobrodziejstwem.

Łatwo przewidzieć następstwa takiego napływu gotówki.

Część długów hipotecznych obciążających dziś domy, długów, za które płaci się obecnie 7%, 8% do 10% zostanie usunięta. A wówczas owe kapitały muszą sobie szukać innych umieszczeń, przejdą na majątki ziemskie, albo na fabryki, warsztaty i handle. Z konieczności stopa procentu zniży się, chyba że szybki rozwój ekonomiczny wymagać będzie jeszcze większéj ilości gotówki.

Inna część pożyczek zaciągniętych w Towarzystwie pójdzie na budowę nowych domów, lub na udogodnienie dawnych. Jeszcze inna część ożywi przedsiebierstwa, któremi zajmują się właściciele domów, albo ich familia, naprzykład handle, fabryki, warsztaty.

Ponieważ jednak każda rzecz ma dwie strony, nie bez tego więc, aby jakiś procent spodziewanych milionów nie pocieszył fabryk angielskiego porteru i strasburskich pasztetów, nie odział pewnéj liczby kokotek, nie powiększył cyfry lokajów, nie zginął przy zielonym stoliku. Będą i takie fakta, będą nadużycia i bankructwa wywołane łatwością kredytu, będą nieruchomości, które wyślizgną się z rąk właścicieli krajowców i staną się punktem oparcia dla obcéj stopy na ziemi naszéj. Nie o to więc chodzi, ale raczéj o to: o ile dobre skutki napływu pieniędzy przeważą złe? A to już zależy od dojrzałości społeczeństwa, które zapewne pamięta, że łatwy kredyt był jedném z narzędzi germanizowania Poznańskiego.

Obok gotowego już projektu udzielenia kredytu miastom, wypada wspomnieć o dawniejszym i głośnym projekcie kredytu na polepszanie majątków ziemskich. O sprawie téj dużo pisała *Niwa*, a za

nią my i dzienniki. Potém wszystko ucichło, a dziś mamy do zanotowania nowy krok naprzód.

Tym krokiem jest sprawozdanie z badań nad majątkami poddanemi ulepszeniom rolnym, dokonanych przez Dra Tadeusza Kowalskiego, jednego z najszanowniejszych i najświatlejszych rolników naszych. Inicyatywę do tych badań dało uczonemu Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, szczerze myślące o utworzeniu kredytu melioracyjnego. W ciągu półtora roku Dr. Kowalski zwiedził około 100 majątków ulepszonych; w większéj ich części, jak się to u nas trafia, nie znalazł dat rachunkowych, w trzydziestu kilku jednak mógł zbadać kwestyą gruntownie. Z tych danych złożył sprawozdanie Tow. Kred. Ziemskiemu i ogłosił je w *Gazecie Rolniczéj*.

Pierwszą część sprawozdania stanowi osuszanie, które dokonywano bądź zapomocą drenów faszynowych, bądź rowów krytych, bądź sączków czyli drenów glinianych. Dreny faszynowe są tanie, ale i nie trwałe. Koszt rowów krytych wynosi 20 kop. od pręta bieżącego, ten jednak system osuszania po kilkunastu latach staje się bezużytecznym. Najlepsze rezultaty wydały sączki.

Po bliższe szczegóły odsyłamy czytelników do *Gazety Rolniczéj* z roku bieżącego. Tu zaś podamy wyniki ostateczne badań p. Kowalskiego.

Drenowanie na gruntach jałowych i piaszczystych nie zdało się na nic, ono bowiem nie stworzy brakującego roślinom pokarmu.

Dla gruntów cierpiących od nadmiernéj wilgoci z powodu własności wierzchnicy (warstwy górnéj), albo z powodu nieprzepuszczalności podłoża leżącego tuż pod płytką wierzchnicą, drenowanie jest kwestyą życia albo śmierci. Ono bowiem z ziemi prawie co roku zawodzącéj robi grunt doskonały.

Na gruntach, w których nadmiar wody zbiera się w warstwach niższych, drenowanie wynagradza się sowicie i jest niezbędne do dalszego rozwoju gospodarstwa.

Na gruntach wreszcie posiadających grubą warstwę rodzajną, a podglebie trudno przepuszczalne, skutkiem czego, plony tylko w mokrych latach ulegają wpływowi wilgoci,—drenowanie chroni i utrwala posiewy.

W ogóle skutkiem drenowania fizyczne własności ziemi ulegają zmianie, rośliny kwaśne znikają, wegetacya cechująca ziemie umiarkowanie wilgotne jest pyszna, wpływ suszy daje się mniéj uczuwać, zasiewy jare i dojrzewanie jest o trzy tygodnie przyśpieszone, zaraza na pszenicy pojawia się rzadziéj, a nawet znika zupełnie.

W części dotyczącéj drenowania pomieszcza p. Kowalski dwie tablice, z których przytoczymy ostateczne rezultaty.

Ilość robót ziemnych na morgę gruntu wynosi średnio 93,8 prętów bieżących.

Koszt zdrenowania morgi rubli 26 kop. 79.

Korzyści zaś, przyjmując cenę korca żyta na rs. 4, pszenicy rs. 6, jęczmienia rs. 3,50, owsa rs. 2,25, rzepaku rs. 8, buraków rs. 1, kartofli 75 kop. centnara koniczyny kop. 60, są następne.

Dochód z morgi po zdrenowaniu powiększył się średnio o rs. 14 kop. 27, a że koszt utrzymania drenów i procent wynoszą średnio rs. 1 kop. 68, więc czysty dochód z morgi odpowiada 12 rs. kop. 59.

Porównawszy cyfrę kosztów drenowania z cyfrą dochodu uzyskanego na czysto, dochodzimy do wniosku, że melioracya ta opłaca się w ciągu lat trzech. P. Kowalski zaś żąda dla umorzenia pożyczek melioracyjnych terminu dziewięcioletniego, na co odpowiednie powody przytacza.

W przyszłéj kronice streścimy uwagi Dra Kowalskiego nad nawadnianiem gruntów, dzisiejszą zaś wzmiankę zakończymy tém, że kraj nasz znajduje się na drodze do pożądanych zmian w rolnictwie. Mamy na myśli osuszania i nawadniania gruntów, które cechują najwyższy rozwój gospodarstw, mnożą dochody z ziemi, a u nas zdają się być niezbędne. Zwykle, w życiu obok jakiéjś potrzeby ukazują się zaraz środki do jéj zaspokojenia. Tak i u nas, rolnicy nietylko czują potrzebę podniesienia wydajności gruntów, ale i widzą drogę, którą przejść muszą tudzież czynniki pomocnicze. Do nich zaś należą ciągle upowszechniające się fabryki sączków,—spółka melioracyjna, która podobno doskonale wywiązuje się ze swych obowiązków,—majątki, które tytułem próby zaprowadziły u siebie melioracyą, a nareszcie sprawozdanie Dra Kowalskiego, po którém już powinienby ukazać się projekt ustawy dla instytucyi kredytowo-melioracyjnéj i sama instytucya. Małe to wprawdzie objawy, ale charakterystyczne.

Gdy tym sposobem w dalszéj, czy bliższéj przyszłości zarysowują się widoki zmian na lepsze, jakim ulegnie własność większa, spotykamy również pewne wskazówki, dotyczące reform w życiu ludu wiejskiego. W osadzie Odrzywół (gub. Radomska, około 800 mieszkańców) założono „Gospodę Chrześciańską,“ w któréj obok napitków znajdują się pisma, taka zaś sama „Gospoda“, a przy niéj ochronka istnieje w Nowém Mieście (gub. Piotrkowska 2.400 mieszkańców).

Nie ma chyba człowieka, którvby nie znał naszych wiejskich, i miejskich szynków. Prócz właściwości cechujących podobne im in-

stytucye w reszcie świata, są one jeszcze stekiem brudu i niewyczerpanym rezerwoarem mnóstwa występków i nieszczęść. Tu biedak pożycza piéniądze na bajeczne procenta, tu złodziéj ukrywa zdobycz, albo umawia się o wyprawy, tu zaczynają się spory wiodące do zabójstwa, albo przyjaźnie ułatwiające nierząd. A jeżeli gdzie indziéj z tych powodów szynk znajduje się pod szczególnym dozorem, u nas przeciwnie jest publicznym rozsadnikiem złego, które wówczas dopiéro zwraca uwagę, gdy próg przekroczy.

Dwie wymienione „gospody chrześciańskie" i kilka miejscowości, w których dzięki pracom duchowieństwa lud wyrzekł się pijatyki, świécą jak nieliczne pochodnie wśród powszechnéj ciemności. Mówią one, że gdzieś w głębi drzemią siły dobre, że są jakieś popędy szlachetniejsze, gdy rozwijają się samodzielnie, a nawet wbrew licznym przeszkodom, ale i na tém kończy się dziś wszystko.

Owszem, obok tak pomyślnych zjawisk, jak towarzystwa wstrzemięźliwości, pojawiają się jakieś nowe, szkodliwe i upajające trunki, naprzykład „wino międzyrzeckie" w Międzyrzecu, albo „trunek Hofmantropów (?)" na granicy Pruskiéj.

Do walki z szynkownią, jeżeli wszechmocny jéj wpływ ma być kiedy ograniczonym, musi wystąpić cały ogół, prowadzony przez klasy światłe, wsparty przez prawo i takie instytucye, jak chrześciańskie gospody. Nie chcemy przez to powiedziéć, aby gospody owe miały zastąpić hiszpańską inkwizycyą i wytępić głodem dzisiejszych karczmarzy—izraelitów. Przeciwnie, jesteśmy przekonani, że karczmarz taki widząc w dziesiątéj wsi szynk czysty, zaopatrzony w pisma zechce swój zreformować i uczyni go arcy-chrześciańskim, niwecząc szkodliwy wpływ spirytusu za pomocą niebywałych domieszek wody, choćby przegotowanéj z pieprzem tureckim „dla mocy."

Opłata od trunków przynosi wprawdzie dochody skarbowi, ale i te dochody nie są tak znowu pewne. W roku 1877 było w kraju 506 gorzelni i 13.181.214 rubli z opłat od akcyzy; ale już w roku 1878 było gorzelni tylko 486 i 11.448.305 rubli opłat. Dochody więc rządu zmniejszają się dość szybko, wcale nie dla tego, że wzrasta wstrzemięźliwość, z nią dobrobyt mieszkańców i możność otrzymania większych podatków na inném polu, ale z powodów ze wstrzemięźliwością nie mających nic wspólnego.

Walka przeciw brudnym szynkom i rozpuszczonym szynkarzom mogłaby w którymś roku dochody akcyzy znacznie zmniejszyć, ale w latach następnych, przy wzrastającéj zamożności ludu trzeźwego, niezatruwanego, nieoszukiwanego przez karczmarzy, opłaciłaby się wielokrotnie, z korzyścią dla społeczeństwa. Tym-

czasem na to się nie zanosi, a sami znamy okolice, w których pedanci urzędnicy istnienie towarzystw wstrzemięźliwości uważają za występek.

Swoją drogą jednak takich drobnych ale samodzielnych objawów reformy ludu wiejskiego, jak owe „gospody“ i towarzystwa wstrzemięźliwości lekceważyć nie należy. Obiecują one, że gdy w sprawach krajowych przyjmie udział inteligencya, gdy szkoła znajdzie się w harmonii z ogółem, gdy sąd o rzeczach publicznych stanie się więcéj niezależnym i jawnym, społeczeństwo w ciągu jednego pokolenia szybkie zrobi postępy na drodze cywilizacyi i dobrych obyczajów.

Mniéj szkodliwemi, ale w każdym razie uciążliwemi dla ludu są sklepiki małomiasteczkowe z artykułami piérwszych potrzeb.

Przypuściwszy nawet, że w sklepach tych sprzedaż soli, nafty, mydła, tytuniu, towarów bławatnych, butów, sukman i kożuchów odbywa się najrzetelniéj, to już sama okoliczność, że włościanin po towary potrzebne mu jeździć musi do miasteczka, tracić czas i część pieniędzy zamieniać na wódkę, już ta okoliczność jest złą. Z tego powodu silny kładziemy nacisk na potrzebę „sklepów wiejskich.“

Na Szlązku, z inicyatywy zacnego Miarki, sklepy podobne zakładają spółki włościańskie i dobrze na tém wychodzą. Nasz wieśniak ze spółką wymagającą drobiazgowych rachunków rady sobie nie da, a przytém konieczność odpowiednich koncesyj w wysokim stopniu utrudnia ich zakładanie.

Czy więc sklepy wiejskie, dobre na Szlązku, są u nas jeszcze przedwczesne i nie mogą istniéć? Czy włościanin szlązki dla tego ma być szczęśliwszy od naszych i mniéj od nich wyzyskiwany, że umié czytać, rachować i posiada przymioty niezbędne do utworzenia spółki? Prawda, wieśniak nasz niższy jest cywilizacyjnie od szlązkiego, ale za to obok niego mieszka szlachta, która przecie mianuje się i jest uważana za inteligencyą narodu.

A ponieważ szlachta umié pisać i rachować a o najbliższych sąsiadów dbać powinna, ona więc mogłaby otwiérać sklepy wiejskie z pożytkiem dla siebie, dla włościan i dla kraju.

Na to nie potrzeba ani koncesyi, ani lokalu, ani wielkich pieniędzy,—trzeba tylko mieć dobrą wolę. Założenie sklepu wiejskiego we dworze nie będzie nawet poświęceniem, pominąwszy bowiem kwestyą zysku, zawiążą się między wsią i dworem nowe, bardzo pożądane stosunki interesu. A ileż to uczciwych posług oddałoby się na téj drodze ludowi jakby on zbliżył się do dworu, w ilu sprawach zasięgałby jego rady.

Na nieszczęście w ziemiańskim stanie tkwi jeszcze wiele przesądów i braków. Jeden będzie się wstydził z domu swego robić sklep. Drugi zechce bawić się w dobrodziejstwa i, widząc ciągle same straty, zniechęci się w końcu. Trzeci sam nie znajdzie czasu, a wśród rodziny ani jednéj osoby, którąby miała czas. Czwartemu obmierzną rachunki, zabraknie cierpliwości, nie stanie punktualności. A piąty wprost nie zechce wdawać się z chłopstwem! I każdy z nich jako człowiek miłujący swobodę osobistą będzie w swojém prawie. Chociaż od ludzi wyżéj wykształconych możnaby wymagać czegoś więcéj, a mianowicie postawienia po nad osobistemi nałogami interesu publicznego.

Parę sklepów podobnych istnieje już w kraju, o czém zresztą wspominaliśmy dawniéj. Dziś wróciliśmy do téj kwestyi w przekonaniu, że sklepy wiejskie, inaczéj dworskie, upowszechniwszy się i zyskawszy wiarę u ludu, mogłyby stać się jednym z szańców do walki z szynkami, niezbędnie potrzebującemi reformy.

Do urzeczywistnienia tych marzeń niewiele potrzeba: kilku wpływowych ludzi w każdéj guberni i którzyby stworzyli *modę* zakładania sklepów. Bo na świecie mnóstwo rzeczy robi się przez modę. Tylko jedne z nich, jako dzieła kaprysu albo chwilowego zapału (np. Domy Zleceń), rychło upadają, inne zaś jako zgodne z interesami społecznemi (np. żniwiarki, melioracye) upowszechniają się i trwają. Byle piérwsze lody przełamać!...

Oświeconym klasom Warszawy zima obecna przyniosła wiele rozrywek. Słońcem teatru, jak łatwo domyśléć się, była pani Modrzejewska, któréj dzisiejszy stopień talentu znawcy porównywają z talentem Ristori. Nie można powiedziéć, aby po powrocie artystki z Ameryki nie zauważono w niéj pewnych zmian. Piękność i wdzięk postaci zostały te same, w głosie jéj jednak pojawiło się parę tonów niższych, a w grze—większa siła dramatyczna. Nic dziwnego, grając przed publicznością amerykańską, mało znającą się na scenicznych subtelnościach, grając w języku obcym, musiała pani Modrzejewska główny nacisk kłaść na intonacyą głosu i mimikę. Przytém tryumf ośmiela. Wróciła więc do nas artystka z większą wiarą we własne siły, ze śmielszą, plastyczniejszą grą i oczarowała publiczność.

Wiele téż hałasu narobił Antoni Rubinsztajn, piérwszy po Liszcie fortepianista, którego krytyka nasza nieledwie ubóstwiła. Nieulega kwestyi, że piękna gra na jakimkolwiek instrumencie może zachwycać, tém więcéj, jeżeli przechodzi granice pospolitości i staje się czémś niezwykłém. Z drugiéj jednak strony niepodobna dziwić się i tym profanom, którzy zapytują jakiemi wyrazami pisma nasze wi-

tałyby np. rzeczywistych bohatérów, po wyszafowaniu tylu wykrzykników na cześć znakomitych fortepianistów i skrzypków?

Faktem jest, że u nas piśmiennictwo za wiele kładzie nacisku na czyny kapłanów, laików i zakrystyanów sztuki. Dobrzy z nich są tak wychwalani jak żaden rodzaj ludzi, źli są tak potępiani, jak zbrodniarze. Współcześnie zaś inne objawy życia społecznego traktowane są w tych samych dziennikach pobieżnie i lekko.

Zjawisko powyższe tłómaczy się nietylko tém, że ocena dzieł sztuki jest łatwą i ponętną, ale i tém, że sztuka oddawna była u nas jedynem polem, na którém publiczność występowała zbiorowo, choć biernie, przyczém można było wypowiadać sądy otwarcie i wyczerpująco, skutkiem tego kilka dzielnych talentów krytycznych, jakie posiada nasze dziennikarstwo, zajęło się wyłącznie teatrem, muzyką i poezyą. Ludzie ci zgruntowali swój przedmiot, potworzyli pewne piękne i rzecz malujące zwroty w języku i ułatwili całéj falandze swoich naśladowców to, że mogą przynajmniéj znośnie pisać o teatrze, muzyce i poezyi. Skutkiem tego znowu dział sprawozdań ze sztuki w naszych dziennikach rozwinął się przesadnie, obok kompletnego prawie zaniku przyzwoitych sprawozdań i krytyk z innych dziedzin życia.

Niech kto probuje zakładać u nas dziennik i wyszukiwać współpracowników. Na pytanie: o czém pan chcesz pisać? usłyszy szereg odpowiedzi: o sztuce, o sztuce i o sztuce... Ruchem zaś ekonomicznym, pedagogicznym, naukowym, politycznym, zajmą się chyba ci, którzy w żaden sposób o sztuce pisać nie mogą, choćby z powodu ciężkiego stylu. Ale, wybaczmy entuzyastom sztuki. W sercu ludzkiém znajdują się komórki przeznaczone do niezwykłych uniesień, a w słowniku—wyrazy do malowania tych uczuć. Jedne i drugie wyczekują przez jakiś czas okoliczności, któreby je w ruch wprawiły, a nie mogąc doczekać się nic wielkiego, wybuchają nareszcie w obec rzeczy drobnych. Okrzyki na cześć przejezdnych fortepianistów są rozpaczliwą protestacyą przeciw jałowym warunkom życia, wśród których instynkta wyższe albo muszą zaniknąć, albo stwarzać sobie sztuczne pobudki działania.

Téj również zimy przybyła nam stała wystawa obrazów, urządzona przez p. Ungra i parę wystaw czasowych. W jednéj z tych ostatnich mieszczą się gipsowe odlewy dra Levittou, w drugiéj oryginały i kopie dawniejszych malarzy różnych szkół, których obrazy znajdują się w posiadaniu mieszkańców Warszawy.

Jądro wystawy p. Ungra stanowią dzieła przedwcześnie zgasłego Maurycego Gotlieba, zdradzające duży talent, głębsze pomysły, lecz po większéj części niewykończone. Obok nich prawie co ty-

dzień pojawia się jakiś nowy, nieznany Warszawie utwór. Arcydzieł tam nie bywało dotychczas, były jednak rzeczy piękne i ładne, ale że często zmieniały się, więc salon p. Ungra chwilowo przynajmniéj zepchnął na drugi plan wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

Przytém p. Unger piérwszy w mieście naszém zaprowadził oświetlenie elektryczne w salonach i od ulicy. Jest to także swego rodzaju zasługa, a przynajmniéj—dowód ruchliwości.

Nie bylibyśmy sprawiedliwymi gdybyśmy, mówiąc o zasługach i ruchliwości, pominęli nazwisko p. Kazimierza Dobieckiego, który na cel dobroczynny urządził w pałacu Brühlowskim wystawę obrazów starych mistrzów.

Nazwisko P. Dobieckiego stało się już popularném w Warszawie, jest on duszą wszystkich zabaw na cele dobroczynne i co rok tworzy i urzeczywistnia jakieś nowe pomysły, które z jednéj strony napędzają grosza biednym, z drugiéj robią przyjemność tysiącom osób.

Odczytów w roku bieżącym zbierze się ogółem cztery serye w Warszawie: na dochód czytelni przy Warsz. Tow. Dobroczynności, na Towarzystwo osad rolnych, na głodnych, i serya, urządzona w lokalu stowarzyszenia subiektów handlowych. Występowało lub wystąpi publicznie kilku mówców nowych, tematy w ogóle są zajmujące, forma niektórych odczytów bardzo piękna, a poziom— ten sam co w latach poprzednich. Dla publiczności odczyty są wciąż widowiskiem, na których bywają powiększéj części kobiéty, gdzie wymaga się od mówcy, aby bawił, wzruszał, pięknie czytał i o ile można, był choć przystojny!

Z pragnieniem dowiedzenia się czegoś nowego, poznania jakiéjś kwestyi bieżącéj a ogół zajmującéj, zaczerpnięcia nowych idei, chodzi u nas na odczyty bardzo mało osób. Chociaż ci sami mówcy, którzy dziś częstują nas retorycznemi bukietami, może potrafiliby z równą siłą i talentem roztrząsać żywotne kwestye społeczne, a sale nie pomieściłyby słuchaczy zdolnych odczuć, zrozumiéć i ocenić podobne tematy.

Za taki stan rzeczy nie spada wina ani na osoby urządzające prelekcye, ani na prelegentów, ale na inne względy. W naszym duchowym szpichlerzu, działają nieustannie niewidzialne strychulce, nazywające się przyzwoitością, ostrożnością, pobożnością, konserwatyzmem i Bóg wié jeszcze jak, skutkiem czego żadna myśl śmielsza nie może wykwitnąć na strzyżonéj łące literatury współczesnéj. Dopóki zaś te wpływy trwają, odczyty muszą być tém, czém są dziś: źródełkiem dochodu dla kilku instytucyj dobroczynnych, elegancką

rozrywką i ramami, w których kiedyś pomieścić się może jeden z objawów naszego umysłowego życia.

Ważniejszym symptomem niż prelekcye warszawskie, jest szereg „wykładów dla kobiét,“ urządzonych w Płocku przez miejscowych pedagogów, pod kierunkiem pani Jurkowskiéj, gdyż tam będą wprawdzie zwięzłe, ale systematyczne kursa pewnych nauk, co w pamięci słuchaczek głębszy i trwalszy ślad zostawi. Jeszcze zaś ważniejszą jest nauka czytania i pisania dla włościan dorosłych, wykładana wieczorami w szkole elementarnéj wsi Gołębia (gub. Lubelska, około 800 mieszkańców). Zainteresowani tym wypadkiem w ogólnych bardzo wyrazach wspomnianym przez pisma, zasięgnęliśmy bliższych wiadomości u źródła i oto szczegóły:

Jeszcze w roku 1876 dyrekcya naukowa chełmska upoważniła nauczycieli wiejskich do udzielania lekcyj starszym mieszkańcom w porze wieczornéj, jeżeli zebranie gminne zgodzi się na to i wyznaczy fundusz na światło. Z pozwolenia tego jednak mało gmin korzysta: niektóre z powodu braku nauczyciela lub znacznéj odległości szkoły, inne z powodu niechęci mieszkańców. W dwu naprzykład miejscowościach powiatu Nowo-Aleksandryjskiego, a mianowicie: w osadzie Końskowola i wsi Klementowie, włościanie uczyli się przez jednę zimę a późniéj zaprzestali. Sądzimy, że w podobnych razach, nie tyle może wypadłoby obwiniać brak dobréj woli ze strony uczących się, ile wadliwą metodę uczenia.

W Gołębiu lekcye wieczorne trwają nie pierwszy rok. Obecnie zapisało się na nie 49 mężczyzn od 15 do 34 lat wieku, uczęszcza zaś 20 lub 30. Nauka odbywa się codzień (z wyjątkiem soboty i niedzieli), od 6-éj do 10 éj wieczór. Jest jednak kilku pilniejszych włościan, którzy i w sobotę przychodzą do szkoły i czytają sami.

Wykłada im nauczycielka, panna Antonina Pelda, była uczennica gimnazyum żeńskiego, osoba uboga, wątła, ale bardzo dobra i pilna, która pomimo wyczerpującéj pracy z dziećmi w ciągu dnia, nietylko nie odstręcza od szkoły, ale owszem umié zachęcać do niéj starszych. Uczą się oni czytać i pisać po polsku i po rosyjsku, robią rachunki ustne i piśmienne i słuchają krótkich objaśnień z zakresu geografii, fizyki, zologii. Najzdolniejsi nauczyli się czytać w ciągu 15 lekcyj, od 1-go zaś Listopada r. z. do połowy Lutego r. b. dziewięciu tak postąpiło, że już czytają i przepisują z książek.

Piérwszą pobudką, zachęcającą starszych wieśniaków do nauki, są przywileje jakie mają w wojsku osoby piśmienne. Stopniowo jednak poczynają oni lubić naukę dla niéj saméj, a niektórzy okazują wielką pilność i zdolności. Ważną przeszkodą w kształceniu się

jest brak książek ludowych, nietylko w tamtéj wsi, ale w ogóle w naszéj literaturze. Te jakie są nie odpowiadają wiedzy wieśniaków tak dalece, że nawet następujących: „Odpowiedź ciekawemu Kubie, czém wieśniak być może i powinien,“ „Jakie są obowiązki obywatela,“ Jak rządzić się w gminach,“ „Kto jest Kraszewski,“ bez objaśnień zrozumiéć nie potrafią. Umyślnie powtórzyliśmy z listu tytuły powyższe, aby piszący dla ludu pamiętali, że sfera faktów społecznych nie może stanowić treści „piérwszych“ książek do czytania. Dla tego też głęboko i dokładnie znający wieśniaków Zygmunt Gloger zaczął od „Krakowiaków,“ „Dum i pieśni“ i tych powiastek, które lud niemal zna na pamięć. To też pożądane jest, aby książki jego stanowiły dalszy ciąg elementarza i znajdowały się w każdéj chacie.

Wykłady wieczorne powinnyby z czasem upowszechnić się w całym kraju; o ile bowiem wiemy, w roku bieżącym p. Kopyłow wypracował już odnośny projekt dla dyrekcyi naukowéj kieleckiéj. Według niego, nauczyciele wiejscy powinni w niedzielę zbierać włościan w budynku szkolnym, przez godzinę czytywać im „Zorzę“ i wydawnictwa popularne, potém zaś pragnących tego starszych włościan, uczyć czytać i pisać po polsku i po rosyjsku. Nie wątpimy, że przykład ten zechcą naśladować i inne dyrekcye.

Takie rozszerzenie działalności szkół elementarnych i nadewszystko zbliżenie ich do potrzeb miejscowych, stanowi wypadek ważny, na który zwracamy baczność inteligencyi wiejskiéj. Zakładanie nowych szkół i rozsądny wpływ na takowe, dostarczanie dzieciom i włościanom książek i pism, lepsze uposażanie nauczycieli wiejskich, są to kwestye, któremi zająć się potrzeba, tém mocniéj, im szkoła z instytucyi obojętnéj stawać się będzie instytucyą użyteczną, źródłem oświaty.

Przed niedawnym czasem jeszcze dużo mówiło się w dziennikach o szkole ludowéj i kształceniu włościan, chociaż warunki zewnętrzne i setnéj części pięknych projektów nie pozwalały spełnić. Dziś, zdaje się, że zachodzi pewna zmiana w tych rzeczach i korzystać z niéj wypada, jeżeli nie chcemy, aby ludność wiejska rozwijała się wkierunku obcym zarówno jéj własnéj pomyślności jak i potrzebom całego społeczeństwa.

Pomimo zniechęcającego wpływu, jaki na publiczność wywrzéć musiały dzieje niewykonanych dotychczas testamentów Staszica i Konarskiego, widać, że nie wygasa na téj ziemi uczucie miłosierdzia i dbałości o dobro ogólne, bo otóż znowu mamy do zanotowania wielki dar na cele dobroczynne. W początkach Lutego r. b. bardzo majętna osoba, pani Rapacka, aktem rejentalnym podzieliła

sumę *dwustu tysięcy* rubli między kilkanaście istytucyj. Z daru tego korzystać mają: tanie kuchnie (jedna będzie przeznaczona dla studentów uniwersytetu); ogródek frebIowski p. Mleczko; szkoły rzemieślnicze prywatne; dozorczynie ochron; szkoła ogrodnicza; osady rolne; głuchoniemi i ociemniali; stowarzyszenie nauczycieli i nauczycielek; szpital dziecinny; szpital dla chorych piersiowych w Mieni; przytułki dla starców i sierot wyznania katolickiego, ewangielickiego i mojżeszowego. Nadto, czcigodna pani ta ustanowiła ośm stypendyów dla uczącéj się młodzieży.

W stanach Zjednoczonych, w Anglii i Francyi, gdzie wszystkie tętna życia biją silnie, gdzie użyteczne instytucye nie zawiązują się dopiéro, ale już istnieją, gdzie wreszcie wola zapisodawców jest szanowana i natychmiast wykonywana bogaci przyjaciele ludzkości nie rozdrabniają wielkich sum na rozmaite cele, ale swoje krocie czy miliony przeznaczają na stworzenie, albo wzmocnienie jakiéjś pojedynczéj gałęzi życia narodowego. Jeden zapisodawca przeznacza cały majątek na biblioteki, drugi na szkoły wyższe, trzeci na założenie szpitala, inny na obserwatoryum astronomiczne... Takie legaty mają tę dobrą stronę, że raz na zawsze stawiają na nogi jakąś instytucyą, która już potężnie oddziaływa na społeczeństwo.

U nas widać, że legaty podobne są przedwczesne. Instytucye jakie posiadamy podobne są do wątłych dzieci w pieluchach, z których każde potrzebuje opieki, a nie wiadomo któréj z nich dać przed innemi piérwszeństwo. Nadto nasze stosunki pobobne są do niespokojnego morza, a zapisodawca do kapitalisty, który na drugi brzeg ma przesłać większą sumę. Powierzyć ją jednemu okrętowi, rzecz niebezpieczna, bo nuż go zatopią bałwany. Lepiéj więc umieścić piéniądze na kilkunastu statkach. Zginie jeden czy kilka, ale reszta swoje cząstki dowiezie.

W chwili kiedy to piszemy urzeczywistnia się inny zamiar dobroczynny, a mianowicie wydawnictwo „Dla głodnych“ na wzór *Paris-Murcie*. Będzie to zbiór rysunków, aforyzmów, krótkich poezyj i powiastek pomieszczonych na trzech arkuszach druku. O ile oko profana mogło sięgnąć do tajników redakcyi, to chociaż wydawnictwo nasze, wyłącznie polskie, nie będzie mieściło w szpaltach swoich nazwisk sławy wszechświatowéj, może jednak dla nas okaże się przyjemniejszém, bardziéj zajmującém i pouczającém, aniżeli *Paris-Murcie* dla narodów, które się na nie złożyły.

Dochód z wydawnictwa tego, którego koszt dzięki ofiarności artystów, autorów i drukarzy będzie żaden, pójdzie w części na Szlązaków, w części zaś na tych głodnych, których mamy tuż pod bokiem, a mianowicie w Sandomierskiém i Kieleckiém.

Wybornie charakteryzuje stosunki nasze ta okoliczność, że piérwéj poznaliśmy obszar klęski Szlązkowi grożącéj, piérwéj potworzyły się komitety dla Szlązka, aniżeli dowiedziano się o biedzie w Kieleckiém i Sandomierskiém, a témbardziéj aniżeli pomyślano o poratowaniu jéj. Nie chcemy twierdzić, zdaje się nam jednak, że prasa może zanadto przymrużała oczy na niedostatek bliższy, choć nader łatwo dałyby się pogodzić interesa szlązkie z miejscowemi. W paru pismach dziwiono się, że głodni Szlązacy pomimo wezwań nie kwapili się do nas na osiedlenie. Mieli oni jednak słuszność i śmiało mogliby odpowiedziéć zgorszonym: „wolimy zostać od was daléj, bo jeżeli zbliżymy się, to zostaniemy zapomnieni!“

Prawda, że trudno jest zachować miarę tam, gdzie potrzeb wiele i gdzie, między interesami moralnemi, plączą się materyalne. Nasza prasa jednak ma obowiązek nauczyć się przestrzegania téj miary, jako jedyny organ, z którego publiczność czerpie wiedzę o kierunkach ogólnéj działalności.

Nie dosyć jest czuć, trzeba jeszcze umiéć rachować. Nie dosyć jest mieć wielkie idee, trzeba jeszcze znać drobne potrzeby i troskliwie je zaspakajać. Byłby to piękny interes (na szczęście mało prawdopodobny), gdybyśmy wydali w Marcu kilkanaście tysięcy rubli „na wsparcie“ 700.000 Szlązaków i gdyby w Kwietniu umarło na tyfus głodowy paręset kielczanów lub sandomierzan, którychby już publiczność, znudzona składkami, nie wspiérała dość skwapliwie!

Zakończymy niniejszą pogadankę kilkoma uwagami o sprawie, faktycznie odległéj od nas, która jednak teoretycznie posiada między inteligencyą naszą kilka setek zwolenników.

Oto na egzaminie „kobiét lekarek“ w Petersburgu, z 58 słuchaczek ostatniego kursu, tylko 7 przeszły wszystkie egzamina, a i o tych nie wiadomo, czy każda otrzyma patent. „Podobno skończyły się już w Petersburgu miodowe miesiące uczenia się sztuki lekarskiéj przez kobiéty!“ mówi jedno z naszych pism.

Zawikłana to kwestya z owém równouprawnieniem kobiét w ogóle, a wyższém i specyalném kształceniem ich w szczególności. Rozpada się zaś ona na kilka części, które kolejno, choć pobieżnie, rozpatrzymy.

Czy kobiéty we wszystkich dziedzinach prac mogą być równouprawnione z mężczyznami? Na to odwieczna praktyka i fizyologia odpowiadają, że nie. Przeciętna kobiéta pod wieloma względami jest słabszą od przeciętnego mężczyzny, i z téj racyi nie widzieliśmy i nie zobaczymy podobno kobiét oddających się w wielkiéj liczbie zajęciom drwalów, cieśli, kowali, marynarzy, górników, żołnierzy i innych.

Prócz tego, że kobiéta jest słabszą, natura powołała ją jeszcze do rodzenia i karmienia dzieci. Jest zaś już rzeczą dowiedzioną, że nadmierny chłód, silne wzruszenia i wysiłek w fizycznéj a jeszcze bardziéj w umysłowéj pracy, przy stosunkowo małém odżywianiu, źle oddziaływa na sprawę rodzenia. W warunkach wymienionych płodność zmniejsza się, a potomstwo przychodzi na świat wątłe. Interes więc przyszłości narodów wymaga, aby kobiéty strzegły się prac nadmiernych. Ten sam interes wiele zyskuje na tém, jeżeli kobiéty są piękne, łagodne, uczuciowe, słowem, jeżeli są kobiétami, co zresztą niekoniecznie pociąga za sobą próżnowanie po całych dniach i ograniczenie umysłowe.

Czy jednak, opiérając się na „interesie przyszłości narodów," mamy odsuwać kobiéty nawet od zajęć nie wymagających zbytecznego wysiłku z ich strony?

To znowu byłoby złém. Gdyby w pewnym kraju lekka praca kobiét dała się, bez szkody dla ich zdrowia, zamienić na produkcyjniejszą, kraj pozyskałby nowe siły, co byłoby rzeczywistém dobrodziejstwem.

Otóż sądzimy, że gdyby apostołowie oświecenia, równouprawnienia i pracy kobiét, a także ich przeciwnicy, zamiast rzucać się w ostateczności, myśleli raczéj o pogodzeniu wymagań fizyologicznych z interesami ekonomicznemi i cywilizacyjnemi narodów, to „kwestya kobiéca" rozwiązałaby się powoli, stopniowo, bez gwałcenia praw natury, bez łamania wielu istnień kobiecych i szkód społecznych.

Bo, że nowe a użyteczne kierunki pracy znaléźć można, dowodem tego „szkoły rzemieślnicze dla kobiét" i ich wychowanki. Że dać wyższe i lepsze ukształcenie kobiétom potrzebne, dowodem niski poziom umysłowy bardzo wielu kobiét dzisiejszych, skargi i apostolstwo stronników emancypacyi i energiczne rwanie się dziewcząt do nauki. Że jednak nie wszystkie z nich wiedzę wyższą i specyalną zdobywają, dowodem tego choćby owe *siedm* składających egzamina, na pięćdziesiąt ośm mających do tego prawo.

Dziś wyższe ukształcenie, osobliwie dla naszych kobiét, byłoby połączone z wielkim wysiłkiem i niezliczonemi zawodami. Lecz bynajmniéj nie z tego powodu, że kobiéty są „ograniczone," ale raczéj dla tego, że obecny system wychowania jest bardzo wadliwy. Nikt chyba nie zaprzeczy, że na udzielenie człowiekowi wiedzy potrzebnéj do tego, aby zdrowie swoje umiał chronić, na życie zapracował, rodzinę utrzymał i wychował, był dobrym obywatelem, a nareszcie rozwinął swoje wyższe uzdolnienia w ciągu życia, że na to,

przy jakimś lepszym systemie uczenia, zużywałoby się mniéj czasu i sił niż obecnie.

Miejmy nadzieję, że kiedyś pojawią się także systemy edukacyjne. Gdyby to przewidywanie się spełniło, wówczas dzieci byłyby zdrowsze, mniéj ślęczałyby nad książką, lecz za to więcéjby się rozwinęły. Lata obowiązkowéj nauki skróciłyby się, egzamina uprościły i ułatwiły, oświata stałaby się powszechniejszą i tańszą, a zarówno chłopcy jak i dziewczęta, ukończywszy średnie zakłady naukowe, bez nadmiernych wysiłków i z korzyścią dla siebie mogliby i mogłyby zdobywać wiedzę wyższą, z lepszém niż dotąd powodzeniem.

Stanowcze zaś i uparte dowodzenie, że kobiétom wyższéj oświaty nie potrzeba, jest poprostu rzeczą szkodliwą i śmieszną. Co to naprzykład szkodzi Francyi, że posiada dziś 200 poetek, 1.000 powieściopisarek i autorek pism dla dzieci, 150 autorek książek szkolnych i 350 literatek w innych gałęziach? Czy Francya nie zyskuje na ich pracy? a ileżby straciła, gdyby te skromne światełka unoszące się nad jéj życiem społecznėm nagle zgasły?

Owóż, trudno być literatką, nauczywszy się tylko tańca, lichéj gry na fortepianie, haftu, manier towarzyskich i prowadzenia rozmowy choćby w kilku językach o rzeczach nudnych i płytkich.

Taki zasób wykształcenia może wprawdzie wystarczać do zaspokojenia powszedniéj ambicyi, efektownego nawet wykonywania czasem roli...... figurantki salonowéj, dla zadosyć uczynienia jednak obowiązkom matki rodziny lub pani domu nieraz okazuje się za szczupłym. Cóż mówić dopiéro o stanowisku autorki!

Ale gdzie umysł kobiécy hojniéj został przez naturę wyposażony, a staranne wykształcenie zaopatrzyło go w zasadnicze prawdy naukowe, uzbroiło trzeźwym poglądem, rozwinęło siły, tam „słabość płci“ nie będzie przeszkodą we wspinaniu się ku wyżynom wiedzy, z pożytkiem dla jednostki owéj i dla ogółu.

Oto leży przed nami książka, która jest wymownym powyższéj prawdy dowodem, książka, którą witamy serdecznie, przyniosła nam bowiem podwójną pociechę: raz, swoją wewnętrzną wartością, powtóre, jako otwierająca seryą (obyjak najdłuższą i najbogatszą) wydawnictw nowéj firmy wileńskiéj pani „Elizy Orzeszkowéj i Spółki.“ Szanowna edytorka rozpoczyna swój wydawniczo-księgarski zawód własném dziełem, pod napisem: „Patryotyzm i kosmopolityzm. Studyum społeczne.“

Trudno podobno o inny temat, któryby zawsze i wszędzie tak splatał się mocno z najżywotniejszemi interesami społeczeństwa, jak ten, który p. Orzeszkowa w swém studyum rozbiéra, ani téż wątpić można, że znajdzie szerokie koło czytelników. Godząc się na zasa-

dnicze myśli autorki, pragnąc jak najmocniéj, aby zamierzony przez nią cel został pomyślnym uwieńczony skutkiem, nie zawsze byśmy jednak zgodzić się mogli na niektóre tezy historyozoficzne, nie wszystkie téż dowody, na których budowa rozumowania opartą została, dość przekonywającemi nam się wydają. Miejsce na „kronikę miesięczną“ wydzielone nie pozwala nam wdawać się w obszerniejszy rozbiór, ograniczyć się więc musimy do jednego przykładu.

Na samym czele wyrażoną jest myśl, że branie idei patryotyzmu pod skalpel krytyczny, z którém się w czasach obecnych nieraz napotkać można, jest jednym z objawów ogólnie krytycznego ustroju umysłów w naszém stuleciu. O ile byłaby mowa o krytyce ściśle umiejętnéj, wolnéj od przymieszki namiętności i od napływów przemijających danéj chwili, niczby téj myśli zarzucać nie można. Ale autorka miała na widoku krytykę innego gatunku, jak to zaraz z dalszego ustępu widzimy; a w takim razie położenie całkiem się zmienia. Symon-Piotr rzekł do mistrza: „Panie z tobą jestem gotów i do więzienia i na śmierć iść;“ Symon-Piotr w obec niebezpieczeństwa dobył korda; a wszakże, niebawem, zanim kur zapiał, Symon-Piotr wypiera się mistrza potrzykroć. Dla zrozumienia tego, czy koniecznem jest dopatrywać w Piotrze złéj wiary, lub krytycznego nastroju? Księga, która opisuje to odstępstwo, powiada: „Duch ci wprawdzie jest ochotny, ale ciało mdłe.“

Gdy wspomnimy sobie, że i dawniéj kosmopolityzm lichéj próby, a raczéj, jeśli nazwiemy rzez po imieniu, marny egoizm zabiérał nieprzyjazne stanowisko względem patryotyzmu i, zwalczając ideę onego, mniemał, że zdobędzie dla siebie podstawę logiczną; gdy sama autorka daléj wyraźnie powiada, że obecnie istnieją tylko „*pewne* miejsca i warstwy społeczne, krytycyzm których, *dla przyczyn rozlicznych* zwrócił się w tym także kierunku:“ to, zaprawdę, nie możemy uznać w owym pseudo-kosmopolityzmie prawego syna krytycyzmu naukowego.

Nie! Temu potworkowi ojcem jest rozumujący może, ale nie rozumny egoizm, a matką — nędza dnia wczorajszego i dzisiejszego. To małżeństwo skleiły potrzebujące i szukające upojenia swaty, wyrzuty sumienia, a stułą, która złączyła ręce tych nieszczęsnych oblubieńców, mógł być tylko sofizmat.

Nie! Pomiędzy krytycyzmem naukowym a tym bękartem nie ma żadnego pokrewieństwa. Daremnieby się do niego wpierał; zdrowy rozsądek zarówno jak instynkt powszechny nie uwierzą mu. Nie mniéj jednak potrzeba przy każdéj sposobności zdzierać larwę, którą się osłania. Zasługą autorki, że go starannie analizuje, że ostrzega by szychu nie brać za złoto.

P. Orzeszkowa jak w powieściach, tak i w obecném studyum szuka odważnie prawdy. „Odsłonięcia i zbadania, smutnéj choćby prawdy — powiada —takie pociąga za sobą następstwa, że z czasem, kiedyś, dla tych, którzy przyjdą późniéj, sprowadzić ono może prawdę wesołą.“

Każdy, kto dla takiego celu gotów jest prawdzie spojrzeć w oczy (a bodajby znalazło się takich jak najwięcéj), z zajęciem pracę p. Orzeszkowéj odczyta.

Ofiary na rzecz głodem dotkniętych Szlązaków.

Do dnia 1-go Lutego złożono			rs.	900
W ciągu mięsiąca Lutego:				
Świętorzecka Anna	rs.	100		
S. K.	„	15		
Wróblewska Emilia	„	15	— „	130
		Razem .	rs.	1.030.

Za te pieniądze wyekspedyowano do K. Miarki 22 Stycznia:

510 pudów mąki żytniéj za rubli	686 60
13 Lutego 30 korcy kaszy grycz. za rubli . . .	229 35
Razem za rs.	915 95.

Pozostaje do rozporządzenia rs. 114 kop. 5.

Takowe złożone zostały w zarządzie Stow. Merkury dla dalszych przesyłek do komitetu K. Miarki w Mikułowie.

Sprostowanie omyłki druku.

Stronica	wiersz	zamiast	powinno być:
405	2	Mecenas	Moecenas.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**

NOWE KSIĄŻKI,

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu Lutego r. 1880.

---

1. **Syn Margrafa.** Tragedya z X-go wieku p. *Br. Grabowskiego.* Wydanie Red. Bibl. Warsz. 1880.
2. **Zasady i sposoby zapewniające trwałe bogactwo plonów** i ochronę od klęski nieurodzaju wskazane przez życie roślin. *Ludomił Jastrzębowski.* Warszawa, 1880.
3. **Gramatyka historyczno porównawcza języka polskiego** p. Dr. *Antoniego Małeckiego* Tomów 2. Lwów, 1879.
4. **Album uczącéj się młodzieży polskiéj** poświęcone J. I. Kraszewskiemu—Lwów, 1879.
5. **Warszawa, jéj życie umysłowe i ruch literacki** w ciągu lat trzydziestu (1800—1830) p. *K. Wł. Wójcickiego.* Warszawa, 1880.
6. **Rozbiór krytyczny pieśni Bogarodzica** napisał Dr. *Antoni Kalina.* Lwów, 1880.
7. **Pisma Henryka Sienkiewicza** Tom II-i listy z podróży. Warszawa, 1880.
8. **Przemysł cukrowniczy** w Królestwie Polskiém p. *Antoniego Wrotnowskiego.* Warszawa, 1880.
9. **Hollandya.** Wspomnienia z podróży Edmunda de Amicis, przekład *Maryi Siemiradzkiéj.* Warszawa, 1880.
10. **J. I. v. Kraszewski** in seinem Wirken und seinen Werken—Eine biographisch-kritische Skizze von *S. v. Bohdanowicz.* Leipzig. Wilhelm Friedrich, 1879.
11. **Upominek Wileński.** Pismo zbiorowe poświęcone J. I. Kraszewskiemu—dochód przeznaczony na stypendyum imienia Kraszewskiego. Wilno. J. Zawadzki, 1880.
12. **Patryotyzm i Kosmopolityzm** studyum społeczne p. *E. Orzeszkową.* Wilno, 1880.
13. **Vade-mecum de la langue Française**—arranged according to the best grammars and dictionaries, by *J. I. Baranowski* London. Paris. Ev. Leroux. Rue Bonoparte 28.1880.

Дозв. Цензурою, Варшава, 18 Февраля 1880 г. Druk K. Kowalewskiego, Królewska 23.